

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 27 (1475) ROK XXIX

5 LIPCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

- Skąd się bierze ból głowy? – str. 7
- Wizyta w „poprawczaku” – str. 5
- Największy uwodziciel Giacomo Casanova o Polsce i Polakach – str. 14

Kto nami rządzi?

EDWARD K. NOWAK

W Polsce, tak jak i w innych krajach socjalistycznych, których rozwój opiera się na planowaniu i centralnym sterowaniu, jakość życia zależy w ogromnym stopniu od jakości ekipy rządzącej. Cennie ujął specyficzną i szczególną pozycję władzy ludowej Jan Szczepański: „Wzięła ona na siebie w Polsce dobroć i zło, wzięła na kres zadań stąd każdy się na nią ogląda zatając najdrobniejsze sprawy i o każde głupstwo każdy ma do niej pretensję, a nie do siebie czy kogoś innego”.

Bezsilność, bezradność i niedołęstwo grup rządzących ciążyło zawsze wazyla na polskim losach. Nieadekwatne do stanu społeczeństwa sposoby sprawowania władzy doprowadzały do dramatycznych wydarzeń: czerwiec 1956, grudzień 1970, czerwiec 1976, sierpień 1980. Stąd problematyka ekipy rządzącej w Polsce winna być stale przedmiotem badań, a nie tylko obiektem potocznych za-

cowe odtworzenie obrazu polskiej ekipy przywódczej funkcjonującego w zróżnicowanych środowiskach intelektualnych, a nawet na pokazanie niektórych różnic między wyobrażeniami o władzy intelektualistów i „szarych obywateli”. Poniższe rozważania nie są jednak prezentacją wyników badań socjologicznych. Stanowią raczej subiektywną refleksję autora, która zrodziła się w trakcie zbierania opinii społecznych i uczestniczenia w „burzach mózgów” organizowanych przez Warsztat Opiniodawczy CBOS. Oto „średnio ważony” wizerunek polskiej ekipy rządzącej w okresie między IX a X Zjazdem PZPR.

SKŁAD SPOŁECZNY POLSKIEJ EKIPI PRZYWÓDCZEJ

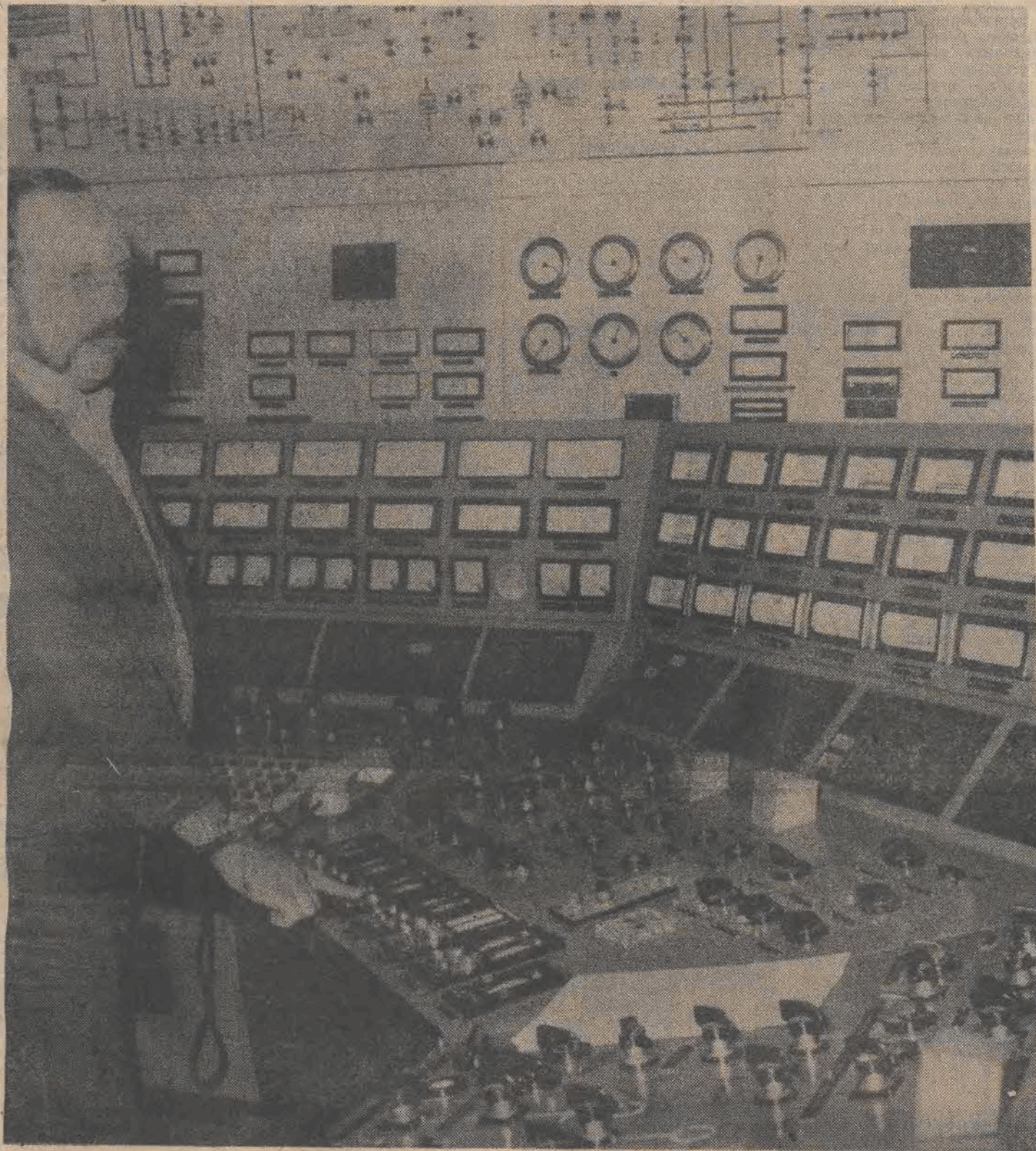
Pytania: „Kto rządzi w Polsce?” stawiane są często w środowiskach opiniotwórczych. Odpowiedzi padają różne w różnych momentach dziejowych. PRL 29 lutego 1968 r. na zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich sformułowano nawet taką opinię: „Sprawa dostała się w ręce ciemniaków wyposażonych w absolutną, monopolistyczną władzę” (z przemówienia W. Gomułki wygłoszonego na spotkaniu z warszawskimi aktywem partyjnym 19 marca 1968 r.). Dziś opinie o władzy, chociaż różnią się znacznie, są coraz wyraźniej obiektywizowane. Mimo wielu jeszcze ostрых sformułowań dominują oceny krytyczno-afirmujące. Stopień afirmacji polskiej ekipy przywódczej jest jednak różny: od poparcia do uznawania za konieczności — „z mocy tyroków historii”. Opinie podobne do wyrażonej na wspomnianym wyżej zebraniu literatów nie występują dziś nawet w środowiskach związanych z politycznym podziemiem.

Na pytania: kim są ludzie z grupy przywódczej, z kogo składa się kierownictwo partyjno-państwowe padają różne odpowiedzi i różny też zakres krag tej grupy. Dominuje przekonanie, że w warunkach polskich do „ekipy rządzącej”; „grupy przywódczej” — jak nazywają to drudzy, czy „elity władzy” — jak chcą jeszcze inni, należą przywódcy partii i stronnictw politycznych oraz najwyżsi funkcjonariusze państwowi. Jest to nieliczna grupa, którą różnie się charakteryzuje. Odnosząc wrażenie, poparte czterolletnią analizą zbieranych w środowiskach opiniotwórczych opinii, sugeruję i proponuję, że w świadomości dominuje wizerunek polskiej ekipy rządzącej w okresie między IX a X Zjazdem PZPR o party na takich sdach:

W kierownictwie partyjno-państwowym jest bardzo duży udział osób wywodzących się z rodzin chłopskich, a także inteligentów w pierwszym pokoleniu, którzy na ogół całą swoją karierę odbyli w aparacie partyjnym. Dopily ludzi do ekipy rządzącej spoza aparatu partyjnego jest niewielki. Ludzie nie parają się zawodowo polityką dominując natomiast w Sejmie, Komitecie Centralnym i w najwyższych ciach wybieralnych stronnictw politycznych i stowarzyszeń katolików, świeckich. Udział wojskowych w

6

3



Zaczęły się tradycyjne letnie remonty sieci ciepłowniczej. EC-IV pracuje jednak jeszcze na pełnych obrotach

Foto: Grzegorz Gałasiński

Ludzie spod znaku maltańskiego krzyża

WITOLD WERNER

Będzie to opowieść o ludziach morza. O zwykłych ludziach i o ich zwykłej, codziennej pracy.

Statki, na których pracują bohaterowie tej opowieści, spotkać można we wszystkich większych portach naszego wybrzeża od Tolkmicka do Swinoujścia. Łatwo rozpoznać je z daleka: na śnieżnobiałych burtach mają wymalowany czerwony maltański krzyż — międzynarodowy znak jednostek ratownictwa okrętowego. I nazwy też mają charakterystyczne: „Wicher”, „Pasat”, „Tajfun”, „Halny”. Gdy podejdziemy do nich bliżej, nie dostrzeżemy na pokładzie zwykłej, gorączkowej krzątania. Wszystko dokładnie sklarowane jakby w oczekiwaniu na...

No właśnie. Oni czekają na sygnał złożony z trzech kropek, trzech kresków i znów trzech kropek. Czekają, jak wtedy, w sylwestrową noc 1978 roku, gdy m/s „Anna Broere” nadął w eter słowa MAYDAY. I gdy inni szli na bal, oni wyszli w morze. Wyszli, choć wiatr wiał z siłą jedenastu stopni w skali Beauforta, choć dwudziestopięciostopniowy mróz szczypał w twarz. Wyszli — bo gdzieś tam, na wzburzonym, siwym Bałtyku zagrożone było ludzkie życie. Wrócili po przeszło dwóch tygodniach. Zmęczeni — ale szczęśliwi, że udało im się uratować i ludzi, i statek, i morze. Bo przecież gdyby nie oni, cały ładunek paraksylenu zalałby nasze plaże.

Ale dziś w eterze jest spokój. Przynajmniej na razie, bo sygnał wzywający do akcji może zostać nadany w każdej sekundzie. I od tej reguły nie ma odstępstw: może to nastąpić w dzień lub w noc, w czasie sztormu lub flauty, w śniegu lub deszczu. Ale na razie nie się nie dzieje. Można więc pograć w karty, poczytać lub opowiedzieć po raz kolejny ten sam stary dowcip o babie, która przyszła do lekarza. I czekać. Jak wtedy, gdy rybacki kuter Hel-126 nie powrócił do portu. Nie powrócił także dnia następnego i następnego. Szukali go kilka dni. Przepłynęli

wzdłuż i wszerz obszar prawie pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych morza, wypatrywali oczy aż do bólu. Nic nie znaleźli. Morze na zawsze zamknęło się nad rybakami.

— A znanie to? Przychodzi baba do lekarza...

Znają. Ale posłuchaj raz jeszcze. Bo skąd brać nowe kawały? Dwa tygodnie służby, dwa tygodnie w domu. A dom — to przecież nie miejsce na opowiadanie kawałów. Trzeba nacieszyć się żoną i dziećmi. Bo gdy znów wróci się na statek, dom, żona, dzieci będą tylko wspomnieniem. Mglistym, nierealnym wspomnieniem. Realne będzie tylko morze, okrutne w swej sile i potęgzie. Każdy ich rejs może przecież być ostatnim. W każdej minucie, każdej sekundzie akcji mogą odejść na Wieczną Wachtę. Tu ryzyko wkałkulowane jest w zawód. Jak przy „Annie Broere”, gdy wielka fala położyła statek na burcie w studziesięciostopniowym przechyle. Woda wdarła się przez komin do maszynowni, do nawigacyjnej, do messy. Zalała echosonde, radionamiernik, ukafkę. Wielki trwał, nim statek powstał z przechyli. Ale czy następnym razem też wstanie?

Zegar rytmicznie odmierza swoje: cyk, cyk, cyk, cyk. Trzy tysiące sześćset razy na godzinę. Sześćdziesiąt razy na minutę. Sześćdziesiąt razy w ciągu minuty może wydarzyć się nieszczęście. Sześćdziesiąt razy w ciągu minuty nad morzem może rozbić się milionami gwiazdek czerwona rakietka. Rozbyszczy się jeden raz — i zgaśnie. Może była to ostatnia rakietka na pokładzie? A może to tylko ktoś wystrzelił ją „na wiat”? Oni nie mają prawa mieć tych wątpliwości. Wychodzą. Najpóźniej w ciągu piętnastu minut oddają cumy i wychodzą. W sztormową noc, w mglisty czy deszczowy dzień. Wychodzą, choć w główkach falochronu mijają idący kontryksem ostatni, najodważniejszy rybacki kuter. I będą tak

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grzyzna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Marek Koprowski,
Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch”, 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dore-
czyteli; 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dore-
czyteli; osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych, nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używa-
jąc blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego
Oddziału RSW „Prasa — Książka
— Ruch”; 3. prenumeratę ze zlece-
nieniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch”, Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 28, 00-958 War-
szawa, konto NBP XV Oddział
w Warszawie, nr 1153-201045-
139-11. Prenumerata ze zlece-
nieniem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc., dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających in-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 1981. B-2.

Przegląd prasy

Druga wojna światowa skoń-
czyła się 41 lat temu, a jej ta-
jemnice nadal nas nurtują. Im
dalej od tej strasznej wojny,
tym więcej tajemnic do rozwia-
zania, do wykrycia. Czy musi-
my tym się zajmować? Musimy,
gdyż chcemy wiedzieć: jak było?
Przeszłość nie jest bowiem bez
znaczenia dla teraźniejszości. A
poza tym

CZŁOWIEK LUBI ROZWIĄZYWAĆ ZAGADKI

a po drugiej wojnie światowej
zagadek pozostało wiele. Jedną
z nich jest Linia Nibelungów.
Pisze o niej w trzech kolejnych
numerach (24, 25, 26 z 1986 ro-
ku) poznaliśmy tygodnik
„WPROST”. Autorem artyku-
łów jest Antoni Łęszczak. Wszy-
stkie one ukazują się pod wspólnym
tytułem: „Linia Nibelungów”.

Na ogół sporo wiemy —
szczególnie ci, którzy się tym
interesują — o fortyfikacjach
wybudowanych przez Niemców
na ich granicy zachodniej, czy-
li o Linii Zygfryda, jak też o
francuskich fortyfikacjach na
ich wschodniej granicy, czyli
o Linii Maginota, która ciągnę-
ła się od granicy z Belgią do
granicy ze Szwajcarią. Znany
jest również Wał Pomorski na
Pomorzu Zachodnim — szczegó-
lnie z walk o jego przełamanie
oddziałów Wojska Polskiego na
początku 1945 roku. Mało na-
tomiaś wiemy — niektórzy do-
wiedzą się o tym dopiero teraz —
o istnieniu Międzyrzeckiego
Rejonu Umocnionego.

Jeśli od Skwierzyny poprowa-
dzimy linię prostą na południe
przez Międzyrzecz, Świebodzin
w stronę Sulechowa, to stwo-
rzymy coś w rodzaju cieciny
luku, jaki dalej na zachód tworzą
Odra i Warta. Właśnie
wzdłuż tej cieciny, głównie w
rejonie Międzyrzecza budowano
w latach 1933—1938 umocnie-
nia, które — jak twierdził Antoni
Łęszczak — były nie tylko
przykładem najwyższych osią-
gnięć sztuki fortyfikacyjnej
tamtych czasów, ale przewyższa-
ły fortyfikacje Linii Zygfryda.
Doszło nawet do tego, że gene-
rał saperów Otto Wilhelm
Förster zarządził dowództwu
Wehrmachtu, że „w filmach
propagandowych, wychwalających
jego range, pokazując w nich
dzieńcia krecone w międzyrzeckich
podziemiach gdy tymczasem
Wał Zachodni żadnych podziemi
nie posiadał”. Wał
Zachodni — dla wyjaśnienia —
to właśnie Linia Zygfryda.
Jaka miała być

LINIA NIBELUNGÓW

Budowano ją na Pojezierzu Lu-
buskim, gdzie rzeki i jeziora
tworzą naturalne przeszkody.
Tak więc zaprojektowano taki
układ bunkrów i podziemnych
korytarzy, aby tworzyły razem
z rzekami i jeziorami jeden sys-
tem przeszkód nie do zdobycia.
Zbudowano, bądź tylko za-
planowano, system szlaków „po-
zwalających na spiętrzenie w
krótkim czasie wody i zalanie
wielu kilometrów kwadratowych
pobliższych terenów”. Były to
służby chowane w żelbetowych
budowlach, zdalnie sterowane.
Pobudowano przeszkody, które
w razie zalania przedpola zna-
lazłyby się pod wodą, stanowiąc
przez to dodatkowe zagrożenie
dla nacierającego przeciwnika.
Miał tu być cały system „ba-
terii pancernych”, które dyspo-
nowałyby armatami kalibru 100
mm i haubicami kalibru 150 mm.
„Każda bateria pancerna dyspo-
nować miała zapleczem w postaci
ci podziemnego systemu maga-
zynów amunicji, sprzętu oraz ko-
szar”. Ale — jak dalej pisze
Antoni Łęszczak — „z planowa-
nych czterech baterii nie pozos-
tała w skończonej postaci żadna”.

Miał też powstać „milczące
schrony”, bunkry o ścianach
grubych na 3,5 m — wyposa-
żone w działa przeciwpancerne
i karabiny maszynowe, które
miałły otwierać ogień do
nacierającego nieprzyjaciela z
bardzo bliskiej odległości. Miał
też być bunkry wyposażone w
miotacze granatów specjalnej

konstrukcji. Fragmenty jednego
z nich zachowały się do dziś. A
także wyposażone w miotacze
ognia. Miały te bunkry i kory-
tarze zaprojektowane różne za-
padnie i stanowiska ogniowe,
które miały uniemożliwić ich
zdobycie nawet wtedy, gdy na-
cierającemu nieprzyjacielowi u-
dałoby się wdrzeć na zaplecze
i próbowałby forsowania wnętrza
bunkrów i podziemnych koryta-
rzy.

„Zalogi schronów — pisze An-
toni Łęszczak — wraz z wojska-
mi granicznymi liczyły łącznie
ok. 20.000 osób. Do obsługi
najcięższych schronów przeznaczo-
no 1795 ludzi, schronów cięż-
kich — 1120, lżejszych zaś —
3338 osób. Dodatkowo 500 lu-
dzi stanowiło dowództwo, perso-
nel łączności i zaplecze techniczne.
Łącznie liczba osób w
fortyfikacjach miała wynieść ok.
7000. Później jednak znacznie
stan zalogi uległ zmniejszeniu
w porównaniu z planowanym.
Schrony miały bronić wyspec-
jalizowane zalogi forteczne...”

Fortyfikacje te budowano na
wschodniej granicy Niemiec, a
więc na granicy z Polską. Czy
miały one bronić Niemcy przed
agresją Polski? Otóż Antoni
Łęszczak sugeruje, że „linia ta
stanowiła osłonę przyszłego ataku
na Polskę”. Wszakże sytuacja
tak Niemiec, jak i Europę
zmieniła się radykalnie z
upływem czasu i już w 1938 ro-
ku Adolf Hitler mógł podjąć
decyzję o zarzuceniu budowy
Linii Nibelungów. Budowę
przerwano z dnia na dzień, ale
resztki umocnień trwały do dziś.
Zmieniła się też taktyka prowa-
dzenia wojen i takie fortyfika-
cje mogły przydać się tylko w
przypadku ataku na terytorium
ówczesnych Niemiec, co też sta-
ło się w styczniu 1945 roku, gdy
radzieckie jednostki i Armii
Pancernej Gwardii podeszły do
rzeki Odry, która stanowiła
skraj obrony Międzyrzeckiego
Rejonu Umocnionego. Przełamały
one szybko skonstruowaną obro-
nę niemiecką. Wcześniej 29
stycznia 1945 roku 44 Brygada
pancerna dotarła do Między-
rzeckiego Rejonu Umocnionego,
saperzy rozebrali przeszkody
przeciwkołowe na szosie pro-
wadzącej do wsi Wysoka i czołgi
zaskoczyły Niemców organizu-
jących obronę. 31 stycznia 1945
roku oddziały radzieckich czoł-
gów były już w Międzyrzeczu.
Dziś lochy Linii Nibelungów
stanowią atrakcję turystyczną,
ale też są dewastowane. Pod-
ziemia mogłyby być wykorzy-
stane w różny sposób, ale nikt
poważnie nie chce się tym za-
jąć. Jest tam kolonia nietope-
rzy niespotykanej wartości dla
nauki. Nietopere są też nisz-
czone przez wandalów. Koncepcje
rodzą się i upadają, „a Między-
rzecki Rejon Umocniony jest na-
dal dewastowany”.

Lochy Linii Nibelungów są
zagadką, gdyż nie wszystko, co
było związane z ich budową,
późniejszym wykorzystaniem tego,
co wybudowano, jest dziś
wiadomym i może być wiado-
mym. Inną zupełnie zagadką
stanowią dzieje okupacyjnej or-
ganizacji.

„MIECZ I PŁUG”

która do dziś nosi na sobie piętno
zdrady narodowej, choć nie
wszystkie okresy jej działalno-
ści można takim mianem okre-
ślić. Mało znane są początki tej
organizacji. Jerzy Janusz Terej
w książce „Na rozstajach dróg”
napisał, że „w 1939 r. z inicja-
tyw grupy oficerów rezerwy,
a także zawodowych wojsko-
wych, przy pomocy udziału
ludzi o chadeckiej i endecko-
pawłowskiej proweniencji po-
litycznej przystąpiono do two-
rzenia konspiracyjnej organiza-
cji wojskowej pod nazwą
„Miecz i Pług”. Ale autorzy cy-
klu artykułów „Tajemnica
Miecza i Pługa”, „Piętno zdrady”,
„W sieci gestapo”, „Wyrok”
Włodzimierz Kopczuk i Jacek
Wilamowski — artykuły te u-
kazywały się w trzech kolejnych
numerach „KULTURY”: 24, 25
i 26 z 1986 roku — mają wątpli-
wości, czy była to rzeczywi-
ście tylko organizacja wojskowa.
Wiele tajemnic związanych z
początkiem tej organizacji, ale
i jej późniejsze losy też nie są
zupełnie takie jasne.

W czerwcu i lipcu 1942 roku
gestapo zaatakowało różne
jednostki organizacji podziemnej
„Miecz i Pług”. Nie ulega wą-
tpliwości, że już wtedy gestapo
miało w tej organizacji rozga-
łęzioną siatkę agentów. Naj-
pierw aresztowano kierownika
„Młodego Nurtu” — młodzieżo-
wej organizacji „Miecz i Pług”
— „Habera”, który 13 czer-
wca 1942 roku załamał się i
zaczął ujawniać adresy i na-
zwiska ludzi z kierownictwa

„Miecza i Pługa”. Aresztowano
miedzy innymi ppłk. Zygmunta
Bierowskiego „Piwskiego”, je-
go zastępcę por. Jerzego Wró-
bla „Nowaka”, Mariana Boga-
cza i innych. Zaatakowano dru-
karnie „Miecz i Pług” oraz
kolporterów. 20 czerwca 1942
roku aresztowano Jerzego Hib-
nera „Wiktora”, byłego redak-
tora „Przedwójnej”. „Polski
Zbrojny”, o którym wszelki ślad
zagał. Razem z nim aresztowa-
no Kazimierza Skorupnińskiego
i Władysława Niewiarowską
„Wiśkę”. W Częstochowie aresz-
towano szefa organizacyjnego
„Miecza i Pługa” — Antoniego
Szkolkowskiego. Niektórzy z nich,
jak Antoni Szkolkowski czy Wła-
dysław Niewiarowski i inni
niebawem znajdą się na wolności.

W tym czasie na czele „Mie-
cza i Pługa” stali Anatol Sło-
wikowski i dr Zbigniew Grad.
Tu jawi się

KOLEJNA ZAGADKA

w całej tej tajemniczej historii
polskiego podziemia. Otóż Ana-
tol Słowikowski, którego praw-
dziwe nazwisko brzmiało Sło-
wiew i który był związany z
białogwardyjską rosyjską emi-
gracją, miał brata starszego,
Mieczysława Zygmunta. Jego
brat był dyplomowanym kapi-
tanem WP i pracował w Mini-
sterstwie Spraw Wojskowych.
Ich matka Katarzyna powie-
działa po śmierci Anatola: „Syn
starszego zamordował Niem-
cy, a młodszego zabił swój”.
Radomskie gestapo, gdzie obaj
z dr Zbigniewem Gradem fi-
gurowali jako agenci, wszystkie
dane starszego przypisało w
zachowanych dokumentach
młodszemu. Pomyłka, przypa-
dek, czy celowa robota? Jeśli
to ostatnie, to czy Niemcy nie
zabili starszego, aby jego miej-
sce w podziemiu mógł zająć
młodszy?

W lipcu 1942 roku, gdy w
warszawskiej kawiarni dr Zbi-
gniew Grad czekał na Anatola
Słowikowskiego podeszł do niego
gestapowiec i zaproponował
rozmowę. Nadszedł Anatol Sło-
wikowski i wyraził zgodę. W
wyniku tej rozmowy nastąpiła
współpraca z gestapo. Obaj na-
pisali też list do Adolfa Hitlera,
w którym proponowali miedzy
innymi: „1) utworzenie przy
pomocy Wehrmachtu i władz
bezpieczeństwa polskiej siły
zbrojnej do walki przeciw
ZSRR... 2) współpracę w dzie-
dzinie pracy przymusowej, go-
spodarczej i administracyjnej,
3) bezbolesną walkę z partyzan-
tami, bandami, walkę z żydo-
stwem i wolnomyślicieli”, a
także przeciw „obcym agentom”
oraz „grupom sabotażo-
wym i terrorystycznym w kra-
ju”. 4) przygotowywanie Pola-
ków do przyszłej roli w hitle-
rowskiej Europie. W zamian
nie żądali nic. Gestapo zape-
wniło im jedynie, że mogą do-
magać się zwalniania tych Po-
laków, których wskaza, a któ-
rzy są z nimi związani. I tak
zaczęła się zdrada.

Niemcy zwalniali Polaków
na żądanie przywódców „Mie-
cza i Pługa” nie szczędili in-
formacji, komu zawdzięczają
wolność oraz, co to oznacza. Tak
prawda wyszła na jaw, ale i
z innych powodów zaczęło do-
myślać się tej prawdy. 18
września 1943 roku zastrzelono
z wewnętrznej wyroki „gru-
py zamachowej” organizację
„Miecz i Pług” Anatola Sło-
wikowskiego, Zbigniewa Grada
i Czesława Kłobutta. Wyrok na
Anatolu Słowikowskim i Cze-
sławie Kłobutcie wykonała gru-
pa likwidacyjna „Miecz i Pług”
Janusza Czarneckiego. Wy-
rok przyjęto ze zrozumieniem,
ale później były próby rehabi-
litacji przywódców „Miecza i
Pługa”, jak też nie wszyscy u-
wierzyli w ich winę.

Nad przeszłością „Miecza i
Pługa” zawisił cień zdrady. Or-
ganizacji tej nie zawiadomiono
o nadchodzącej „godzinie W”.
Wzieli jednak udział w Powsta-
niu Warszawskim samorządnie,
bili się pod komendą AK dziel-
nie. Po wojnie nie podjęli żad-
nej działalności przeciw Polsce
Ludowej, ale niektórzy niechę-
tnie i dziś przyznają się do
przynależności do „Miecza i
Pługa”.

Nadal nie jest wyjaśniona ro-
la obu zdradzieckich przywódców
„Miecza i Pługa” w aresztowa-
niu gen. Stefana Roweckiego
„Grotu”.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Kanikuła

Kanikuła, czyli „suczka” (canicula), jak Rzymianie nazywali
Syriusza, w gwiazdozbiórze, pojawiającego się o tej porze roku,
Psa Wielkiego, synonimu letnich upałów. Termin ten pokrywa się
z naszym „sezonem ogorkowym”, który oznacza posuch równie
na poważniejsze tematy w środkach masowego przekazu, które
usłużnie serwują swoim odbiorcom najnowsze doniesienia o wężu
morskim, o yeti czy zgoła o wziętych kosmitów. Podobnie usłu-
gują nas rozrywki wszelkim sposobem te placówki artystyczne,
które wyjątkowo nie urlopują.

Uważam jednak, że to utarte wyobrażenie o spadku poważniej-
szych zainteresowań w okresie letnim zawiera sporo przesady i
że np. ktoś kto przez cały rok pasjonuje się literaturą popularno-
naukową nie przetruci się automatycznie, wraz z nastaniem go-
rącej pory, na opowiadki „porno”, a miłośnik muzyki dawnych
mistrzów nie da się porwać, ni stąd ni zowąd, urokiem rocka.
Sklonny jestem nawet przypuszczać, że dopiero w czasie letniego
urlopu człowiek, uwolniony od całorocznych trudów wykonywa-
nego zawodu, może nareszcie dostarczyć wypoczętemu umysłowi
tręciwego pokarmu niż kiedykolwiek. A ponadto — czy do-
prawdy treści rozrywkowe cieszą się w czasie jesiennych świąt
mniejszym wzięciem niż w okresie kanikuly?

Abym jednak tradycjom stało się zadość, dalszy ciąg komentarza
poświęcam tematyce typowo kanikularnej, a mianowicie... mi-
łosnej. Nie, nie żadnej wznieśli miłości, np. umiłowaniu — bo-
skiej czy ludzkiej — idei, lecz najzwyczajniej sprawom erotycznym
pomiedzy (trzeba to zaznaczyć) ludźmi odmiennej płci (bo prze-
cież różnie z tym bywa).

Otóż wyczytałem w zachodnoniemieckim tygodniku „Der Spie-
gel” wstrząsające epitety, jakie skierował pod adresem miłości
pewien profesor seksuologii: „Orgia najnieczystszych udręk,
pełna wyrafinowanego poniżenia. Brutalne ubezwłasnowolnienie,
gorzkie rozczarowania, złośliwa zemsta, nienawistna agresja”.

Podejrzewam, że pan profesor akurat doznał dotkliwej porażki
erotycznej i że jego opinie nie są typowe dla pozostałych seksuo-
logów, zajmujących się w RFN naukowo tą ważną dziedziną ży-
cia. Tym bardziej chyba nie będą one typowe dla dziesięciokro-
tnie liczejszej grupy ludzi, którym tygodnik przypisuje inkli-
nacje erotyczne i traktowanie zagadnień erotycznych na zasadzie
milenego hobby. Bo czym wytłumaczyć fakt, że w większości należą
oni jednocześnie do trzech różniących się wzajemnie towarzystw
seksuologicznych...

Nie ma co ukrywać, że okres podniesionych (były nie nazbyt
wysokich!) temperatur sprzyja erotycznym nastrojom i zwłaszcza
seksualnemu pobudzeniu, a w każdym razie przygodowo-rozrywko-
wej stronie miłości i chyba jest to zjawisko ponadczasowe, nie
znające granic państwowych i — rzecz jasna! — różnic ustrojo-
wych. Ale, co znamienne, że występujące w nowszych czasach
poszerzenie się swobody seksualnej, a nierzadko rozwijanie
seksualnego, bywa (jak niemal wszystko na tym podzielnym
świecie) różnie kwalifikowane pod względem... politycznym. Znam
osobiste co najmniej kilkanaście osób obojga płci, które twierdzą,
że to właśnie socjalizm, osłabiając dawne więzi i normy społeczne,
jest głównym sprawcą dzisiejszego upadku obyczajów w sferze
życia erotycznego. Zarzut ten stoi w ostryj sprzeczności z fak-
tem, że życie u nas poddane jest na ogół nieporównanie surow-
szej cenzurze moralno-obyczajowej niż w większości krajów ka-
pitalistycznych.

Myszę, że winę za nieobecność wzajemnie przychylnych uczuć
pomiedzy seksualnymi partnerami (co jest objawem dehumaniza-
cji spraw seksualnych) ponosi często nieświadome i mocno świę-
toszkowate przypisywanie pozamałżeńskiemu życiu seksualnemu
znamion tzw. ciężkiego grzechu, co rozelega się nawet na te sto-
unki miłosne, które — jak zwłaszcza u młodych — często za-
barwione są uczuciem. Nieraz więc taka miłość, moralnie czysta,
spotyka się ze znacznie surowszym potępieniem niż przejawy
ludzkiej nieuczciwości i podłości — od kradzieży po zniesławienie,
od zawiści po zgnębienie moralne i fizyczne nad innymi, nie-
rzadko w najbliższej rodzinie. Takie niesprawiedliwe traktowanie,
zrównujące miłość z wyrządzaniem krzywdy ludziom może i nie-
kiedy musi rodzić bunt przeciwko uznawaniu spraw cielesnych za
droższe i grzeszne.

Należymy do społeczeństw o stosunkowo niskim poziomie świa-
domości i kultury erotycznej, nacechowanym z jednej strony ob-
łudą i zakłamaniem, a z drugiej wyzywającym cynizmem. Jedno
i drugie jest pośrednim świadectwem nierozumnego demonizowa-
nia tej dziedziny ludzkiego współżycia, której — jako sferze ściśle
prywatnej — należy się przede wszystkim dyskrekcja i tole-
rancja.

Mam jednak wątpliwość, czy kanikuła, która wpływa rozluź-
niającą na dyscyplinę obyczajów, stwarza sprzyjającą aurę dla
obyczajowej refleksji...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- artykuł Tadeusza Mendelskiego „Chleb i idee”.
- reportaż Ryszarda Nakoniecznego z Meksyku o
dniu zmarłych i niesamowitej ciszy panującej pod
wulkanem,
- rozmowa Dariusza Dorożyńskiego o podatkach
i tych, którzy się od nich uchylają,
- pierwszy reportaż Pawła Tomaszewskiego i Ro-
mana Kubiaka z cyklu: „Nasz Belchatów”,
- opowieść Witolda Wernera o człowieku, który
żył z ogywania innych w karty,
- opowieść Ryszarda Binkowskiego o tym, jak pe-
wien złodziej fatalnie wpadł przez zazdrośną kobietę,
czyli „Male frico”,
- dalszy ciąg przygód wielkiego uwodziciela Gio-
vanniego Giacomo Casanovy w Polsce,
- humoreski Arkadiusza Awerchenki — w przekła-
dzie Adama Ochockiego.
- oraz felietony, listy, polemiki, wiersze, proza.

W połowie 1986 roku Polska ma 37,5 mln obywateli. Pod względem liczby ludności zajmujemy 7 miejsce w Europie oraz 23 w świecie. Polacy stanowią tylko 5,3 proc. mieszkańców Europy i zaledwie 0,8 proc. ludności świata. Nasz udział w wytwarzaniu produktu światowego (GDP) wynosi ok. 1 proc. Jesteśmy państwem, które w dziedzinie gospodarczej utrzymuje od 1950 r. swoją pozycję na zasadniczo nie zmienionym poziomie. W ciągu tych lat Polska uczyniła wprawdzie olbrzymi krok naprzód, ale inne kraje też nie stały w miejscu.

W bieżącej dekadzie naród nasz przeżył bardzo dramatyczne wydarzenia i wciąż jeszcze boryka się ze skutkami głębokiego i wszechstronnego kryzysu. Ludzi myślących niepokoi rosnąca dekapitalizacja majątku narodowego, niska jakość wyrobów, wysokie zadłużenie zagraniczne, dewastacja środowiska naturalnego, brak spektakularnych wyników reformy ekonomicznej. W istniejącej sytuacji trudno się dziwić, że społeczeństwo oczekuje jakiegoś wyraźnego przełomu, że nie zadowala się już spokojem i względnie wypełnieniem półek sklepowych, lecz chce czegoś więcej. Pragnie jasnych perspektyw oraz znaczącego postępu gospodarczego i kulturalnego.

Liczne mankamenty teraźniejszości i niepewna przyszłość rodzą negatywne oceny przeszłości. Polacy Ludowej, podważają dorobek partii i socjalizmu. Zapomina się o tym, w jakich warunkach komuniści polscy zdobyli władzę, jak głębokie przeobrażenia nastąpiły w ciągu 42 lat we wszystkich sferach życia społecznego. Tylko zdolni do obiektywizmu ludzie starzy od czasu do czasu przywołują smutne obrazy dawnego świata, ale rzadko przy tym znajdują chętnych słuchaczy.

W liście do dziennikarza katolickiego tygodnika „Ład” pewien czytelnik z Lublina napisał: „Nie zna Pan przeszłości, którą my, starsze pokolenie, przeżyliśmy. Nie zna Pan okresu dzisiaj już historycznego, Polski z lat 1918—1939. Przypuszczam, że nie zna Pan okresu okupacji i tragicznej w skutkach wojny z lat 1939—45. Nie zna Pan popularnego w latach 1918—39 słowa *przebudowa*. Ja znam to słowo, co ono oznaczało — pamiętam i będę pamiętał do śmierci. Wyjaśnij Panu: to słowo oznaczało głód i nędzę dla 3/4 społeczeństwa polskiego. Głód zaczynał się na wiosnę każdego roku, a trwał do pierwszych zbiorów zbóż. (...) Dodam, że w Polsce sanacyjnej nie było we wsiach ani światła elektrycznego, ani bitych dróg; bardzo mało szkół, a nie było wcale ośrodków zdrowia. Leczeniem ludności zajmowały się stare babki. (...) Panie Redaktorze, jakby Pan naszą polską przeszłość widział tak jak ja i miliony starych weteranów, to nie pisałby Pan takiego artykułu, w którym widzimy wszystko w czarnych barwach: wszystkiego brak, mieszkań, odzieży, pieniędzy. Ludzie są niedożywieni, wszystko źle — jak to w socjalizmie, należącego do bloku komunistycznego. A jaka jest rzeczywistość? Panie Redaktorze? Zatrzymajmy do sklepów miesięcznych, stoją w kolejce biedni, niedożywieni ludzie, na

Konieczność przyspieszenia rozwoju

hakach wisi kielbasa zwyczajna, serdelowa, wołowina, ale biedacy czekają na szyneczkę, baleronik, kielbasę myśliwską albo szynkową. (...) Panie Redaktorze, który z nas źle widzi, Pan czy ja. Ja widzę dzisiejszą naszą polską młodzież — całe społeczeństwo. Ładnie ubrane, dobrze odżywione, wyśmienite, czyste, wyglądające przyswoicie, inteligentne. (...) Panie Redaktorze, o czym świadczą dziesiątki tysięcy samochodów stojących na ulicach, na placach, ostatnio na chodnikach w każdym mieście — jest to obraz nędzy czy dobrobytu. (...) A tysiące budujących się kościołów w Polsce, o czym świadczą — o nędzy czy dobrobycie. Muszę dodać, że nasze dzisiejsze potrzeby fizyczne, konsumpcyjne, kulturalne są zbyt wygórowane. Przecież chyba Pan mi racie, że my chcemy dużo, a z siebie dajemy mało”.

Czytając ów list zastanawiałem się, jaką wartość i moc perswazyjną mogą mieć tego rodzaju argumenty dla współczesnej młodzieży. Czy to wszystko młodzi Polacy są w stanie zrozumieć? Raczej nie. I na to, jak sądzę, nie ma rady. Albowiem z aktualnej struktury życia wyrastają zupełnie inne odniesienia oraz nowe potrzeby i aspiracje. Nie tylko zresztą ludzie młodzi, lecz również większość starszego pokolenia ocenia władzę i ustroj na podstawie przeżywanych trudności rozwojowych i opóźnień Polski w stosunku do krajów produkujących. Podstawą oceny jest także wizja bliższej i dalszej przyszłości.

Stąd też ogromne znaczenie ma fakt, że jednym z efektów obradującego właśnie X Zjazdu będzie uchwalenie „Programu PZPR”. Nad projektem, jak wiadomo, toczyła się długa i pełna kontrowersji dyskusja. W jej wyniku powstało opracowanie zasadniczo różniące się od wersji pierwotnej. Tylko 1/3 nie uległa zmianie!

Ostatecznym kształcie „Programu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej” zdecydowały 1776 delegatów reprezentujących 2 mln 128 tys. członków i kandydatów. Wśród wybranych większość (51 proc.) stanowią robotnicy i chłopcy, lecz dużo jest też osób z wykształceniem wyższym (44 proc.) — w tym 50 profesorów oraz 96 docentów i doktorów. Warto zwrócić uwagę, że aż 85 proc. delegatów wywodzi się ze środowiska robotniczego lub chłopskiego.

W okresie od IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, który obradował w lipcu 1981 roku, odešlo z partii prawie 700 tys. członków, a wstąpiło 160 tys. nowych kandydatów. Obecnie do PZPR należą 8 proc. dorosłych obywateli Polski — 12 proc. mężczyzn oraz 4 proc. kobiet. W składzie partii 51 proc. stanowią pracownicy umysłowi, 38 proc. robotnicy i 9 proc. chłopcy. Najwyższy udział robotników mają organizacje

województw: katowickiego, leszczyńskiego i wai-brzyskiego, a najniższy: warszawskiego, łomżyńskiego i zamojskiego. W końcu 1984 roku członkowie i kandydaci PZPR mieli następującą strukturę wykształcenia: wyższe — 17,4 proc., niepełne wyższe — 2,5 proc., średnie zawodowe — 23,5 proc., średnie ogólnokształcące — 10,7 proc., niepełne średnie — 3,6 proc., zasadnicze zawodowe — 15,4 proc., podstawowe — 24,0 proc., niepełne podstawowe — 2,9 procent. Jak z tego wynika, przeszło połowa partyjnych legitymuje się co najmniej maturą. Co druga osoba należąca do PZPR posiada pochodzenie robotnicze, co trzecia chłopskie i tylko co dziesiąta inteligentnie.

Według „Statutu PZPR” najwyższą władzą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jest Zjazd zwolniony co 5 lat przez Komitet Centralny. Delegatami może być wybrany każdy członek z co najmniej pięcioletnim stażem partyjnym. Zjazd min. „określa linię polityczną i uchwała program partii” oraz wybiera w tajnym głosowaniu Komitet Centralny, który z kolei wyłania ze swego grona Biuro Polityczne i sekretarzy KC. W okresie między zjazdami najwyższą władzą partii jest Komitet Centralny, a między posiedzeniami plenarnymi KC kieruje pracą partyjną i nadzoruje działalność sekretarzy Biuro Polityczne.

Z podanych wyżej względów statutowych oraz z racji kierowniczej roli partii każdy Zjazd PZPR był najważniejszym wydarzeniem politycznym roku. A szczególne znaczenie obecnego dodatkowo bierze się stąd, że ma wytyczyć zadania perspektywiczne na 15 do 20 lat i spowodować konieczne przyspieszenie rozwoju naszego społeczeństwa.

W referacie KC na X Zjazd podkreśla się: „Musimy iść szybciej naprzód! Przyspieszenie jest historyczną koniecznością. Stanowi myśl przewodnią projektu Programu partii, jego strategiczne założenie. Jest ono obecnie konkretyzowane w planie perspektywicznym, którego projekt rząd skieruje do społecznej konsultacji”.

A nieco dalej znalazło się istotne wyjaśnienie: „Konieczność przejścia od metod ekstensywnych do intensywnych jest prawidłowością obecnego etapu budowy socjalizmu. W przeszłości również niejednokrotnie taką wolę deklarowano. Jednakże przy ówczesnym przyroście zatrudnienia, surowców i materiałów wzrost dochodu narodowego oraz poziomu życia był możliwy, chociaż poprawa efektywności następowała bardzo powoli. Dzisiaj, gdy kurczy się zasoby, pracujemy krócej, spłacamy zadłużenie — efektywność to nasze ekonomiczne „być albo nie być” — podstawowy warunek, by lepiej żyć jako naród”.

Na podstawie dyskusji przedzjazdowej Komitet Centralny PZPR uznał pięć spraw za najważniejsze w najbliższych latach: 1) lepsze wyżywienie narodu; 2) poprawę sytuacji mieszkaniowej; 3) unowocześnienie oświaty i rozbudowę jej bazy materialnej; 4) postęp w ochronie zdrowia i środowiska naturalnego; 5) sprawliwy podział, umocnienie zasady — każdemu według efektów pracy. W bieżącym planie pięcioletnim min. zakłada się blisko 20-procentowy wzrost liczby wybudowanych i 50-procentowy wzrost modernizowanych mieszkań. Przewiduje się też zwiększenie o prawie 150 proc. nakładów na ochronę środowiska.

W kwestii reformy ekonomicznej stwierdzono, że obowiązujące obecnie regulacje prawne są już wystarczające. Teraz, chodzi o to, żeby szybciej doprowadzić przyjęte zasady do brzozy i stanowisk pracy oraz upowszechnić doświadczenia najlepszych przedsiębiorstw. A przede wszystkim należy bardziej konsekwentnie egzekwować efektywność.

O ile IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR zainicjował reformę gospodarczą, to X Zjazd ma za proponować generalny przegląd struktur organizacyjnych i stanowisk w całym państwie, aby odbloować wszelkie hamulce rozwoju. W szczególności powinno się dokończyć reformę centrum i zakończyć ją przyjęciem ustawy o Radzie Ministrów. Następnie, trzeba podjąć zadanie optymalizacji rozwiązań organizacyjnych i racjonalizacji zatrudnienia.

Według oceny Komitetu Centralnego PZPR dojrzały warunki do zmian w sferze nadbudowy politycznej. Można by rozszerzyć demokratyzm prawa wyborczego, stworzyć instytucję społecznych rzeczowników praw obywatelskich, powołać przy wojewódzkich radach narodowych organa analogiczne do Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL. Ponadto powstaje możliwość nowelizacji Konstytucji PRL, co warto byłoby dokonać w 200 rocznicę historycznej Konstytucji 3 Maja.

W realizacji wielkich zadań, które czekają nasze społeczeństwo, jest miejsce dla wszystkich Polaków: partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących. Polsce potrzebna jest konstruktywna współpraca państwa z Kościołem. Razem można działać na rzecz pokoju, troszczyć się o środowisko naturalne, chronić zabytki, zwalczać patologie, umacniać zdrowie moralne narodu.

Pod koniec obszernego referatu wprowadzającego KC Wojciech Jaruzelski stwierdził: „Wspólne w dyskusji przedzjazdowej było oczekiwanie prawdy i nadziei. Prawdy o stanie społeczeństwa, państwa i gospodarki. Nadziei na przezwyciężenie trudności, szybszy ruch do przodu. Tym oczekiwaniom musimy sprostać”.

E. L.

ze str. 1

ządzeniu umocnił jeszcze chłopski rodowód polskiej ekipy przywódczej. Stąd w ekipie tej dominuje mentalność chłopska, „etos trudu” — jaki wyrobiła w sobie ta klasa społeczna zmagając się z przyrodą i warunkami atmosferycznymi. Ma to dobre i złe strony. Polska elita władzy czuje się i faktycznie jest „siołą tej ziemi”. Niedopuszczalne przeto są sugestie, a nawet funkcjonujące tu i ówdzie oskarżenia wobec ekipy rządzącej, że jako całość nie zna i nie czuje problemów mas pracujących. Jeśli nawet „ten” lub „ów” polityk nie liczy się z odczuciami społecznymi, to nie może to stanowić o całości ekipy rządzącej.

Politycy o chłopskim rodowodzie skazani są jednak wewnętrzną niepewnością. Zewnętrznie zdecydowanie maskując czasem niepewność podtrzymywaną także stosunkiem społeczeństwa polskiego do ekipy rządzącej i butą niektórych przedstawicieli Kościoła.

Stosunek społeczeństwa do rządu to jeszcze wciąż mieszanina założeń, urazów, a nawet niechęci. Te zjawiska wyjaśnia się na różne sposoby. Osobiście przychyliam się do nurtu głoszącego, że rozczarowanie wobec poprzedniej ekipy, ciężkie doświadczenia, szok „stanu wojennego, upadek „Solidarności” i obniżenie stopy życiowej zachwiały wszelkie autorytety — i równowagę psychiczną większości społeczeństwa. W takich warunkach społeczeństwo nie zawsze kieruje się chłodnymi racjami, ale raczej emocjami i trudno mu koncentrować się na szarej, codziennej pracy. Gardłuje za demokracją. Nie umie jednak z nią żyć”. Szuka kózla ofiarnego i sprawy niepowodzeń. W polu widzenia wszystkich jest grupa przywódcza. Stąd utrwała się stereotyp zwalania win na nią. Stąd podejrzliwość i nieufność wobec decyzji płynących z góry.

CECHY PSYCHICZNE EKIPY RZĄDZĄCEJ

Cechy psychiczne, mentalność — jak to się często nazywa, ekipy rządzącej budzi żywe zainteresowanie środowisk opiniotwórczych. Wypowiadane są również różne sprzeczne opinie.

Dominuje nurt głoszący, że w ekipie rządzącej jest „zdrowe jądro”, które szczerze pragnie reform. W jednych środowiskach taka opinia formułuje się wprost. W innych — pośrednio, poprzez kierowanie do rządu i wybiegających w przyszłość propozycji i wiązanie z rządem nadziei na ich realizację.

Aktualne kierownictwo partyjno-państwowe jest — według jednego nurtu poglądów — zdolne do kompromisów, pragmatyczne i dąży do zmniejszenia zakresu konfliktów. Jest o towarne na cudze opinie, a nawet na krytykę. Czuje się za pewne często dotknięte, że je niesprawiedliwie oceniają niektórzy środowiska. Obok tego

podmiotowania społeczeństwa. Silna centralna władza wykonawcza i szerokie uczestnictwo obywateli w sprawowaniu władzy to dominujący nurt myślenia w środowiskach opiniotwórczych. Trzeba jednak tu mocno podkreślić, że aktualna gotowość obywateli do szerszego uczestnictwa w sprawowaniu władzy i ponoszenia odpowiedzialności nie jest zbyt wielka. Społeczeństwo nie korzysta w pełni z możliwości, jakie stworzyło kierownictwo partyjno-państwowe w latach osiemdziesiątych. Jednakże tęsknota za charyzmatyczną władzą występuje coraz częściej czasem ukryta za postulatami utworzenia urzędu prezydenckiego, czasem za postulatami „socjalistycz-

wśród społeczeństwa różne odpowiedzi. Daleko idące zbieżne poglądy występują w środowiskach opiniotwórczych w takich sprawach jak:

1. Podział społeczeństwa na rządzących i rządzonych jest w gruncie rzeczy sprawą naturalną. Ważne jest jedynie, aby sposób sprawowania władzy był wiązany z odczuciami, poglądami i interesami mas pracujących, aby rządzono ze społeczeństwem, a nie obok lub wbrew niemu.

2. Znajdujemy się wciąż jeszcze w takim poniekąd błędnym kole: duże kłogi społeczne są niezadowolone i sfrustrowane, obwiniają rząd za wszelkie niepowodzenia; ekipa przywódcza proponuje to, co możliwe: poli-

tycznie wzrost wydajności i zaciśnięcia pasa; znaczna część społeczeństwa tego nie przyjmuje do wiadomości i niezadowolone kumuluje się w postaci apatii, bierności i postaw rozczarowania.

3. Kanały społecznej komunikacji funkcjonują wciąż jeszcze nieprawidłowo. W okresie stabilizacji informacja w postaci wytycznych dyrektyw i zaleceń spływa z góry; kanał informacyjny z dołu do góry jest zablokowany. W okresach kryzysów z dołu do góry płynie falina założeń, pretensji i postulatów: odbiór informacji z góry zostaje jednak zablokowany; znaczne kłogi społeczne nie przyjmują do wiadomości racji i argumentów kierownictwa partyjno-państwowego.

Takie i podobnego typu konstatacje wyrażają względnie zgodność środowisk opiniotwórczych. Spory i polemiki wybiegają na sile przy mechanizmach rządzenia.

Z punktu widzenia oceny sposobów sprawowania władzy podzieliłbym środowiska opiniotwórcze na dwie grupy. Przynależność partyjna, orientacje polityczne i światopoglądowe mają tu mniejsze znaczenie. Jedni twierdzą, przy różnych zróżnicowanych zastrzeżeniach, że sposoby sprawowania władzy są mi-

mo wszystko adekwatne do stanu społeczeństwa. Co znajduje dobitny wyraz w hasłach: „społeczeństwo ma taki rząd, na jaki sobie zasłużyło”, „rząd jest taki, jakie społeczeństwo”, „działania i zaniechania władzy muszą być odpowiednie do stanu świadomości społecznej”.

Drugi nurt poglądów ocenia sposób sprawowania władzy akurat odwrotnie. Przemilczanie tego nurtu ocen byłoby chowaniem głowy w piasek i złe wróżyłoby na przyszłość. Warto więc przytoczyć koronne argumenty tej szkoły myślenia i porównać je z odczuciami, ocenami i opiniami „szarych obywateli”.

Oto argumenty krytyków aktualnych sposobów sprawowania władzy wywodzących się ze środowisk intelektualnych: 1. Społeczeństwo oczekuje liberalizacji, a władza zastrzega represje, czego dowodem ma być wycofanie się z ustawy z 4 maja 1982 r. o szkolnictwie wyższym oraz zastrzeżenie odpowiedzialności karnej.

2. Władza wciąż dąży do kontroli wszystkiego i wszystkich, stawia nadal na „twardy kurs”, a potrzeby takiej nie ma; nikt tak nie rządzi w podobnych warunkach, to wbrew logice.

Dane empiryczne z badań na ogólnopolskich próbach reprezentatywnych, prowadzonych przez CBOS, informują o czymś zgola przeciwnym. Badani nie tylko przyzwalała na zastrzeżenie odpowiedzialności karnej, ale wręcz domagała się jeszcze większej surowości w zwalczaniu patologii społecznych. Zasad ogólnie ocenie sposobów sprawowania władzy mogą pośrednio poinformować odpowiedzi na pytania postawione w badaniach ankietowych na próbie liczącej 2300 osób, reprezentatywnej dla wyborców do Sejmu w 1985 r. Na pytanie: „Czy Pana(i) zdaniem działalność wymienionych niżej organizacji i instytucji dobrze służy społeczeństwu i jest zgodna z jego interesami?” uzyskano odpowiedź: 75,5 proc. badanych uważało, że działalność rządu zdecydowanie tak i raczej tak służy społeczeństwu i jest zgodna z jego interesami; 66,2 proc. badanych taki sam sąd wypowiedziało o PZPR; 62,4 proc. o ZSL, 55,6 proc. o SD.

Tak więc krytycy aktualnych sposobów sprawowania władzy nie mogą powoływać się na społeczeństwo. Ich stanowisko pośrednio podziela, jak wykazały równocześnie badania reprezentatywne dla wyborców do Sejmu w 1985 r.: odnośnie rządu — 12,9 proc. badanych; odnośnie PZPR — 13,3 proc.; ZSL — 11 proc.; SD — 13,1 proc. Pozostali respondenci w omawianych tu badaniach nie umieli się wypowiedzieć.

EDWARD K. NOWAK

Kto nami rządzi?

nurtu ocen występuje i inny, który polemizuje z tymi sądami. Jego racje i argumenty przytoczę niżej.

Tragizm „polskiej zapaści” polega na tym, że grupa przywódcza nie może wciąż dotrzeć do najszerszych kręgów społeczeństwa. Stąd musi kalkulować szanse i środki, działać niezwykle ostrożnie, nawet chwiejnie, „od ścian do ścian”, co niewiele zadowala, a wielu irytuje.

Ekipę przywódczą opinia społeczna personifikuje często z osobą gen. W. Jaruzelskiego, u niej się jednak na ogół charakteryzowana wprost osobowość głowy państwa i przywódcy partii. Pośrednio polskiego przywódcę postrzegają jako pragmatyka zmierzającego do łagodzenia konfliktów, otwartego na innowacje i krytykę swojej osoby, jako typ kierownika i organizatora, nie korzystającego jednak z osobistej charyzmy. Warto tu podkreślić, że tego typu opinie dominują również w środowiskach niechętnych obecnej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Tęsknota za charyzmatyczną władzą, jako rzecz potrzebna w obecnych warunkach pojawia się coraz częściej w wypowiedziach opiniotwórczych. Wywołują ją również różne sprzeczne opinie.

cznego absolutyzmu oświeceniowego”, a kiedy indziej za fascynacją osobowością Michaiła Gorbaczowa i wielkim dziełem reform podjętym na XXVII Zjeździe KPZR. W kwestii urzędu prezydenckiego należy mocno podkreślić, że w stawianych postulatami ujawniają się równocześnie różne nadzieje i oczekiwania z tym związane. Zwolennicy utworzenia urzędu prezydenckiego, uważający się za marksistów, widzą w tym urzędzie środek umocnienia centralnej władzy wykonawczej i tamę przeciw partokularyzmowi resortów. Nosiciele innych nurtów politycznych lokują w urządzie prezydenckim głównie nadzieje na ograniczenie „samowoli aparatów”. Ale i jedni, i drudzy na plan pierwszy wysuwają szanse na integrację wciąż podzielonego społeczeństwa wokół Prezydenta Rzeczypospolitej.

OCENY SPOSOBÓW SPRAWOWANIA WŁADZY

Jak polska ekipa przywódcza sprawuje władzę — adekwatnie czy nieadekwatnie do warunków społeczno-psychologicznych w których przyszło jej działać? Na to pytanie można zebrać

Zjazd „Solidarność” posiadał bardzo wiele aspektów godnych odnotowania.

— Od których zaczniemy?
Od charakterystyki delegatów. W zjeździe udział wzięło 894 delegatów reprezentujących 42 regiony według klucza wyborczego: 1 delegat na 10.000 członków. Najwięcej delegatów reprezentowały takie regiony, jak: śląsko-dąbrowski (106), mazowiecki (89), dolnośląski (89), wielkopolski (66), gdański (53), Ziemi Łódzkiej (49), Pomorza Zachodniego (35) i środkowo-wschodni (30). W skład delegatów wchodziło 339 robotników (37,9 proc.) i 555 inteligentów (62,1 proc.). Delegatów w wieku do lat 35 było 438. Spośród 555 inteligentów, 261 osób wywodziło się z inteligencji technicznej (29 proc.), a 294 z inteligencji humanistycznej. W delegacji Mazowska 71 proc. delegatów legitymowało się wyższym wykształceniem, a w delegacji Małopolski — 61 proc. Warto odnotować, że w delegacji gdańskiej jedynie 38 proc. delegatów posiadało wyższe wykształcenie. Co oznaczały te liczby? Nie tylko to, że Warszawa i Kraków stanowiły zaplecze intelektualne Związku, lecz także i to, że najbardziej robotniczy charakter miała gdańska „Solidarność”. Na 894 delegatów było 53 członków PZPR (5,9 proc.) — przypominać, że na IX Zjeździe PZPR 20 proc. delegatów stanowili członkowie „Solidarności” — 10 członków SD (1,1 proc.), 6 członków ZSL (0,7 proc.) i 825 bezpartyjnych (92,3 proc.). Średnia wieku delegatów wynosiła ok. 37–38 lat. Najstarszą reprezentację miał Gdańsk, gdzie średnia wieku wynosiła 39 lat, najmłodszą Region Śląsko-Dąbrowski — 34 lata. Służbę Zdrowia reprezentowało 45 osób, w tym 34 lekarzy i 11 osób niższego personelu, oświatę i szkolnictwo wyższe 100 osób, w tym: 45 nauczycieli akademickich. Spośród nich 26 osób posiadało stopnie naukowe (dr hab. i dr.), środowisko naukowe reprezentowały 32 osoby (dr hab. — 8, dr — 10). Wśród delegatów było pięciu dziennikarzy i sześć osób ze środowiska aktorskiego, 150 delegatów określiło się jako członkowie i sympatycy KOR, zaś 75 jak członkowie i sympatycy KPN. 109 delegatów podało, że są powiązani z klerem i organizacjami katolickimi. Sądzę, że każda z tych liczb zasługuje na komentarz, i to nie zdawkowy. Zwróćmy np. uwagę na wiek delegatów. Potwierdza on, że w „Solidarności” główną siłę stanowili młodzi robotnicy. Kto o tym zapomina w projektowaniu rozwoju Polski tak w obecnej jak i w przyszłej dekadzie, ten popełnia wielki błąd.

A teraz spójrzmy na listę zaproszonych gości. Z kraju zaproszono 24 osoby duchowne, w tym Prymasa Polski Józefa Glempa, kardynała Franciszka Macharskiego, arcybiskupów Henryka Gulbinowicza i Jerzego Stroba, biskupów: Bolesława Pylaka, Brunstawa Dąbrowskiego, Ignacego Tokarczuka, Lecha Kaczmarka, Czesława Domina i Józefa Rozwadowskiego oraz księży Alojzego Orszulika i Józefa Tischnera. Lista osób świeckich liczyła 154 osoby. Byli wśród nich: Anna Walentynowicz, Alina Piehowska, Bogdan Borsewicz, Joanna Duda-Gwiazda, Edmund Baluka, Stanisław Matyja, prof. Edward Lipiński, Józef Rybicki, Aniela Steinbergowa, prof. Jan Kiełanowski, Adam Michnik, Andrzej Kijowski, Wojciech Ziemiński, Stefan Patkowski, Ryszard Reiff, prof. Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Kazimierz Dejmek, Andrzej Wajda, Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa, Wiktor Woroszyński, Tadeusz Konwicki, Jan Józef Szczepański, Andrzej Drajewicz, Jacek Fedorowicz, Daniel Olbrychski, prof. Aleksander Gieysztor, prof. Henryk Samsonowicz, Władysław Bieńkowski, Klemens Szaniawski, Jacek Taylor, Lech Bądkowski, Halina Winarska, gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, kpt. Antoni Heda — „Szary”, doc. dr Wiesław Chrzanowski, prof. dr Paweł Czarotyski, dr Waldemar Kuczyński, Jacek Kuroń, doc. dr Stefan Kurowski, Antoni Macierewicz, mec. Sila-Nowicki, Jan Olszewski, dr Jan Strzelecki, prof. dr Andrzej Stelmachowski, prof. dr Andrzej Tymowski, Andrzej Wielowieyski, Jan Cywiński i Witold Trzeciakowski. Co się tyczy władz, to Zarząd Regionu Gdańskiego, a nie Prezydium KKK, zaprosił ówczesnego wojewodę gdańskiego Jerzego Kołodziejskiego i Tadeusza Fiszbacha, ówczesnego I Sekretarza KW w Gdańsku, którego przedstawiono Zjazdowi jako przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Wśród gości zagranicznych obecni byli przedstawiciele wszystkich najważniejszych narodowych central, związkowych Europy Zachodniej, USA i Azji, z których większość posiada orientację prawicową, podobnie jak Międzynarodowa Konfederacja Związków Zawodowych i Światowa Konfederacja Pracy, której reprezentanci również byli obecni na zjeździe. Nie było natomiast nikogo ze Światowej Federacji Związków Zawodowych, która skupia 57 central krajowych, w tym wszystkie z krajów socjalistycznych. Z krajów socjalistycznych nie było ani jednego przedstawiciela. Ważne stwierdzić, że wysłano zaproszenia do central z krajów socjalistycznych, ale nikt na nie nie odpowiedział.

Sprawa ta wymaga wyjaśnienia. Otóż wiadomo nam było, że kierownictwo „Solidarności” w fazie przygotowań do zjazdu dalekie było od myśli zaproszenia przedstawicieli związkowców z krajów socjalistycznych. W związku z tym, Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekazało kierownictwu Związku oświadczenie, w którym zajęło stanowisko wobec tego faktu. W rezultacie tej interwencji, kierownictwo Związku podjęło decyzję o wysłaniu w przeddzień zjazdu zaproszeń dalekopolowych do organizacji związkowych niektórych krajów socjalistycznych. Tak np. do centrali radzieckich związków zawodowych zaproszenie dotarło wieczorem 3 września.

Skożo już mówimy o delegacjach zagranicznych, to warto dodać, że z pozdrowieniami występowali głównie przedstawiciele central związkowych o profilu chrześcijańsko-demokratycznym i socjaldemokratycznym. Były to nie tyle pozdrowienia, co przemówienia instruktażowe. Zawierały pouczenia dla „Solidarności”, jak powinna walczyć z reżimem. Niektóre z nich nie były niczym innym jak odtwórzonymi wierszami z wewnętrznego sprawu Polski. W związku z tym, nasze władze odmówiły niektórym z tych panów wiz wjazdowych na drugą turę zjazdu, co spowodowało uchwalenie przez zjazd protestu. Protest nie został uwzględniony. Aby dać próbkę tych wy-

stąpien przytoczę niektóre myśli wypowiedziane przez przedstawiciela DGB, kierownika Wydziału Zagranicznego tej centrali, Kristoffersena, który stwierdził, że jego organizacja nie pozostanie obojętna wobec jakichkolwiek prób, które przeskoczyłyby w rozwoju „Solidarności”. Stwierdził też, że zdaniem DGB w Polsce dąży się do „zgaszenia ruchu związkowego”. W kontaktach między DGB a „Solidarnością” upatrywywał otwarcie nowego rozdziału w stosunkach pomiędzy PRL a RFN. Niemiec znał Renę wyraził przekonanie, że „Solidarność” opowie się za nowym, wolnym państwem niemieckim. Oto co marzyło się Kristoffersenowi, który w następnych latach jednoznacznie zaangażował się w poparcie Biura Zagranicznego „Solidarności”, kierowanego przez wspomnianego już Milewskiego. Nie ukrywał także swego powiązania z podziemną strukturą „Solidarności”.

— Zjazd rozpoczął się 5 września, a więc w pięć dni po upływie pierwszego rocznicy podpisania porozumienia w Szczecinie i w Gdańsku. Porozumienia podpisywano na terenie Stoczni, zjazd obradował w hali „Oliwii”. Czy dostrzegasz w tym coś szczególnego?

Nie byłam w Gdańsku podczas podpisywania porozumienia, ani też w trakcie trwania zjazdu.

Czasy nadziei i rozezarów

I na sali obrad panowała anarchia

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

du „Solidarności”, ale myślę, że na niektóre okoliczności zewnętrzne towarzyszące jednemu i drugiemu zdarzeniu warto zwrócić uwagę. Podpisanie porozumienia gdańskiego odbyło się w atmosferze powagi. Przypominam sobie uchwycenie tego dnia przez kamerę telewizyjną twarz stoczniowców. Widać było na nich uczucie ulgi, że wreszcie skończył się ten napięty i niepewny, że będą mogli powrócić do pracy. W tym dniu w Stoczni i jej okolicach nie dostrzegano już śladu jarmarecznego wrzasku. Stoczniowcy z robotniczą godnością witali nowy rozdział w dziejach Polski Ludowej. Uważali że byli jego głównymi autorami. Sądzę, że pamięć o tym dniu stała się jedną z przyczyn, dla których wielu stoczniowców do dziś nie może się pogodzić z tym, co stało się w grudniu 1981 roku oraz z „Solidarnością”. To właśnie wówczas, w sierpniu 1980 roku — jak mi się wydaje — w ich sercach i umysłach rodził się bezkrytyczny stosunek do ruchu, który w następnych tygodniach nazwał się „Solidarnością”. Był bezkrytyczny, ponieważ ich intencje były czyste. Nie mogli uwierzyć, że ruch przez nich zapoczątkowany stał się groźny zarówno dla nich jak i dla całej Polski. W rok później, wokół „Oliwii” i na sali obrad nie było już śladu po nastroju powagi i poczucia, że powstaje coś wielkiego. Wokół budynku rozsiadli się sprzedawcy specyficznej literatury. Handlowano publikacjami o jednoznacznej wymowie politycznej. Wśród publikacji wyróżniało się pismo rzeszowskiej „Solidarności” pt. „W Ryj”. Na okładce umieszczono m. in. tytuły: — „Kiedy Lenin płakał...”, „Tajemnica Breżniewa i kremleskich kurantów”. Był także duży wybór plakatów o treści również jednoznacznej jak wspomniane pismo. Można też było nabyć różnego rodzaju znaczki: „Jestem bezpartyjny”, „pelzający manipulo” itd. itp. Przy stoiskach z propagandową bibułą kłębiły się tłumy. Panował nastrój jak na bazarze.

Obrady zjazdu toczyły się w dwóch miejscach, w kuluarach i na sali. W kuluarach komentowano wystąpienie delegatów, werbowano głosy dla jednego i organizowano bloki przeciwko innemu, zwolennicy Gwiazdy kpił z Wałęsy, a jego wyznawcy oburzali się na krecia robotę tych pierwszych. Rozprawiano także o taktyce i strategii Związku, w niewybrednych słowach krytykowano władzę itp. Na sali obrad panował rozgardiasz, co chwila wybuchaly jakieś nieporozumienia, z trybuny zjazdu padaly nie tylko dosadne slowa, lecz wręcz kretynskie. Tak np. Anna Walentynowicz oświadczyła, że podczas pobytu w Anglii została przyjęta w Izbie Lordów, gdzie powiedziano jej, że Rakowski prosił Anglików, aby nie popierali „Solidarności”, bo to spowoduje interwencję Rosjan. Walentynowicz tak się przywiązała do tej gigantycznej bzdury, że powtarzała ją po zjeździe na różnych spotkaniach.

Anarchia panująca na sali obrad spowodowała, że zjazd, którego pierwsza faza miała trwać od 5 do 7 września, został przedłużony o trzy dni. Notorycznie nie przestrzegano regulaminu obrad, z reguły około 40 proc. delegatów było nieobecnych na sali, były przypadki, że w głosowaniach liczbę głosów za i przeciw obliczano „na oko”, a zdarzyło się nawet, że podczas jednego z głosowań ktoś wstał i oświadczył, że delegaci nie wiedzą, na co głosują. Jeden ze współpracoowników Cłoska dzieląc się wrażeniami ze zjazdu mówił mi, że to, czego doświadczył przez pięć dni w „Oliwii”, nie da się wprost opisać. Jego zdaniem tak chyba musiały wyglądać sejmiki szlacheckie. Obrońcy bazarowego nastroju, jaki panował w „Oliwii”, mogą oczywiście powiedzieć, że czepiam się spraw drugorzędnych, bo przecież byli tam ludzie bez doświadczenia. Nie przyjmuję takiego tłumaczenia. Po pierwsze, delegaci byli dorośliymi ludźmi i dobrze znali zasady ładu i porządku, jakie powinny panować na tego rodzaju zgromadzeniach, i po drugie, było tam wielu delegatów, którzy mieli już poza sobą niezły trening w działalności publicznej. To, co działo się w kuluarach „Oliwii” i na sali, nie było wynikiem braku doświadczenia, lecz uwięzieniem choroby, która niemal od chwili powstania „Solidarności”, a na pewno od wiosny 1981 roku jak rak toczyła organizm tej organizacji. Nazwa tej choroby — niestety brzmiała: anarchia, a objawiała się w łamaniu podstawowych zasad dyscypliny pracy, lekceważeniu przepisów wynikających z danej usta-

wy bądź też uchwały, nieraz wściekłym atakowaniem przedstawicieli władz itp. Na to tego co działo się w „Oliwii”, wrzucano i pełne powagi twarze stoczniowców przyglądających się podpisaniu porozumienia wydawały się czymś tak odległym jak dzień, w którym podpisywano Unię Lubelską.

— Na liście zaproszonych gości widniało sporo nazwisk biskupów i księży. Czy rząd był tym zaskoczony?

Raczej nie. Kościół, o czym już mówiłem, zajmował bardzo ważną pozycję w życiu „Solidarności”. Na zjeździe fakt ten został ponownie potwierdzony. Prawdą jest, że w hali „Oliwii” nie było oficjalnego przedstawiciela „Episkopatu”, chociaż kierownictwo „Solidarności” ze zrozumiałych względów bardzo na tym zależało, ale trzeba jednocześnie przypomnieć, że obrady zjazdu zostały poprzedzone mszą w katedrze oliwskiej. Celebrował ją Prymas Polski, arcybiskup Józef Glemp. W mszy uczestniczyła większość delegatów. Dodać też trzeba, że każdy dzień zjazdu rozpoczynał się od odpowiadania mszy w hali „Oliwii”. Wokół wniosku o celebrowanie mszy rozgorzała awantura. Wniosek, podobnie jak wszystkie inne, poddano pod głosowanie. 222 delegatów głosowało przeciwko

pracy. W tym punkcie jego rozważania przypominały instruktaż. Protest, pisał, wybuchł wtedy, gdy zdarzy się coś szczególnego, co wzburzy ludzi. „Na przykład władza zadecyduje o drastycznej zmianie cen. Wtedy odevwie się głos głodnych: matek, żon, dzieci. Ludzie pracy stojący przy warsztatach nie mogą pozostać głuchymi na to wołanie. Każdy wie: „...teraz trzeba coś zrobić. Jest to chwalebna postawa, bowiem człowiek dorastając do strajku, dorasta do własnego człowieczeństwa”. Ksiądz znał, że udział w takim strajku staje się aktem moralnym, dyktowanym nakazami etyki pracy. Człowiek podnosi się z upadku i odzyskuje ludzki horyzont i ludzką godność”. Byłoby interesujące uzyskać odpowiedź na pytanie, czy ci, którzy w sierpniu organizowali marsze głodowe, a także ci, co wspierali je strajkami protestacyjnymi, czytali rozważania ks. Tischnera. Kolejna definicja strajku brzmiała następująco: „Istotna moc strajku nie polega na tym, że się staje w opozycji do kogoś, ale na tym, że strajk okazuje się działaniem z sensem w świecie, który utracił sens”. Być może, że można by machnąć ręką na rozważania księdza, gdyby pojawiły się w czasach normalnych, ale przecież daleko było nam do nich wiosną 1981 roku. W warunkach pogarszającej się sytuacji gospodarczej oraz przyswajania sobie przez wielu działaczy „Solidarności” strajku jako sposobu bycia, miały one jednoznacznie negatywny skutek. Ks. Tischner autorytetem katolickiego duchownego wspierał ten nurt w „Solidarności”, który wiódł nasza już i tak kryzysową gospodarkę do katastrofy. Kiedy czytałem rozważania ks. Tischnera, pomyślałem sobie: ech, księże, na pewno jesteś wybitnym intelektualistą wśród kapłanów, ale dlaczego — na miłość Boską — mieszasz ludziom w głowie? Czy nie dostrzegasz, człowieku, że jest to w istocie rzeczy nadużywanie zaufania słuchaczy do głosu bożego?

„Czego podobnego jeszcze u nas nie było”, tak rozpoczął ks. Tischner swoje kazanie wygłoszone na mszy dla delegatów w dniu 6 września. „Dotychczas, dowodził w tym samym kazaniu, najczęściej uwagę Polaków przykuwało pytanie: co robić? Co robić, aby Polska była krajem niepodległym? Dziś sytuacja jest inna. Na pierwszym planie jest: jak robić? Naszym problemem stała się jakość pracy”. Słuszna uwaga, ale w tym samym kazaniu wywodził ksiądz myśl, że „nasza troska jest niepodległość polskiej pracy”, i że jest ona „mimo wszystkiego niepodległa”. A owocem polskiej pracy niepodległej były dzieła poetów romantycznych: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Krasińskiego, „Owocem polskiej pracy niepodległej, kontynuował, jest dzieło badacza również dziełem europejskiego humanizmu — dzieło Jana Pawła II „Redemptor hominis”. Owocem takim jest dzieło Czesława Miłosza. Jest nim także społeczny ruch „Solidarności”... Jak należało to rozumieć? Myślę, że odpowiedź na to pytanie podsunął ks. Tischner, gdy w następnym zdaniu powiedział, że „kluczem do niepodległości Polski jest dziś niepodległość pracy”. A kto ją reprezentuje, to ksiądz wyraźnie określił. Z takiego wywodu nasuwał się wniosek, że bez papieża, Miłosza i „Solidarności” nie ma niepodległości Polski. Faktycznie wszystkie inne siły społeczne i polityczne ustawił na pozycji antyniepodległościowej. Nie jestem oczywiście w stanie powiedzieć, na ile jego idee i koncepcje trafiły do delegatów. W kolejnym kazaniu i homilii ks. Tischner owijając swoje myśli w frazeologiczną watę, podważał celowość uspołecznienia środków produkcji, a także uspołecznienia pracy. No, ale dość o księdzu, którego z całą pewnością można uznać za jednego z ideologów „Solidarności”.

— Pozostawmy jeszcze przez chwilę przy sprawach związanych z Kościołem. Powiedziałeś, że Prymas w swej homilii udzielił „rozdarcia” nacechowanych rad Związkowi”. Zakładamy, że nie sformułował takiej oceny o to, tak sobie. Każdy choć trochę rozgarnięty człowiek, odczyta ją jako pochwałę Prymasa. My też tak ją odczytujemy, ale chcemy ją umieścić w nieco szerszym kontekście. Wiadomo, że wszystko to, co dzieje się na linii państwo — Kościół, a także postawy kleru, istniejące w jego szeregu orientacje, sympatie i antypatie itp., od lat pozostaje w kręgu Twoich zainteresowań. Wpowiadałeś się w tych sprawach także publicznie. W obozie katolickim spotykały się one z różnymi komentarzami. Zarejestrowaliśmy np. taki pogląd, że walczysz z Kościołem, w domyśle z religią, że jesteś w swoim stosunku do niego przewrotny, perfidny itp.

Odnoszę wrażenie, że oczekujecie ode mnie czegoś w rodzaju „wyznania wiary”. Przede wszystkim powinienem wyjaśnić przyczynę tego zainteresowania. Wynika ona z mojej wiedzy o roli Kościoła rzymskokatolickiego w historii Polski i w życiu narodu, a także zaangażowania się kleru, chyba jednak nie całego, oraz wielu świeckich działaczy katolickich po stronie „Solidarności”. W związku z tym jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że pełnię funkcję wcielniera „od naddubowy”, nie mogłem nie interesować się tym, co działo się w Kościele. Myślę, że pozostane uważnym obserwatorem wszystkich tych spraw, o których mówię, również w bliższej i dalszej przyszłości. Opinie, jakie wygłaszają o mnie niektórzy przedstawiciele kleru, a są nawet tacy, którzy mówią o mnie per „Rakower”, są mi oczywiście znane. Nie spodziewa się chyba, że podejmę próbę „oczyszczenia” się z zarzutów, iż jestem religiozercą. To byłoby poniżej mojej godności. Co się zaś tyczy rzekomego przewrotności, to choć przypomnieć, że swoje poglądy o Kościele głoszę publicznie i wyraźnie je artykułuję.

Stwierdzenie, że to, co powiedziałem o homilii Prymasa, zabrzmiało jak pochwała, zachęca mnie do wkroczenia w te sprawy dotyczące Kościoła. Przede wszystkim uważnie rejestruję wszystko, co wiąże się z przystosowywaniem się Kościoła rzymskokatolickiego do ustroju socjalistycznego. Wiadomo, że jest to proces, który realizuje się na przestrzeni dziesiątków lat.

C.D.N.

Jak okiem slegnąć — wszędzie stereotypy, czyli „utrwalone układy reakcji na bodźce mające właściwość łatwego uruchamiania się” — czytamy w Słowniku Języka Polskiego prof. Witolda Doroszewskiego.

Nie brak też stereotypowych sądów na temat „poprawczaków”.

STEREOTYP PIERWSZY.

„POPRAWCZAK”

I oto w wyobraźni pojawia się ponure gmaszysko z zakratowanymi oknami, otoczone wysokim murem wieńczonym kolczastym drutem, wewnątrz prawie że wieniec cele, ot, kilka pryczy, stolik, kula krzesło. Tymczasem wizyta w III Państwowym Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym dla dziewcząt przy ul. Drewnowskiej w Łodzi wprowała mnie w pewne zakłopotanie. No bo jak napisać — nie narażając się na podejrzenie czytelników — że nie przekraczając rubikonu drutów kolczastych, wszedłem do budynku, którego wygląd można porównać ze zwyczajną szkołą i nie natknąłem się ani na kraty, ani nawet na strażnika, który by mnie wylegił tymował. Drzwi otworzyła młoda dziewczyna, zapewne „pensjonariuszka”, o ile słowo to jest odpowiednie, i zaprowadziła do dyrekcji. Dla ścisłości dodam, że moja przewodniczka nie nosiła ani „paslika”, ani skórzanej kurtki nabijanej pinezkami, nie miała tatuażu, ani... — i tak dalej. Po prostu niczym nie wyróżniająca się szesnastolatka.

W drodze do gabinetu dyrekcji rozglądałem się po korytarzu, dostrzegam dyplomy na ścianach, gablotkę z pucharami i medalami, lśniąca czystością ściany (tak, tak, bez wiezionej wilgoci), donice z kwiatami. I znów, nasuwa mi się porównanie ze szkołą, a raczej z typową szkolną bursą. Niedaleka przyszłość pokazała jednak, że moje porównania okazały się niesłuszne. Ale o tym później.

STEREOTYP DRUGI.

ACH, CÓŻ TO SIĘ DZIEJE

w „poprawczakach”. Przed kilkoma laty prasa pisała o dyrektorze i pracownikach pewnego zakładu poprawczego. Przebywający tam chłopcy mieli się poprawić, ale jako przestępcy, o co dbał personel z dyrektorem na czele (nawiasem mówiąc — swój chłop, pijał wódkę z dziećmi, wyrażał się jak należy: „cho no tu, ku...”, a w szczególności uśmiechał się „rodowity” bokser). W zakładzie panował terror, lała się wódka, a i wychowankowie lali się lub dostawali lanie od wychowawców; w dwóch słowach: Sodomia i Gomora.

I nie da się ukryć, że taki obraz najczęściej przystaje do stereotypowych opinii na temat tego, co dzieje się w tego typu placówkach. A tymczasem „poprawczaki” bywają różne, nie tylko męskie i żeńskie, ale i będące w gestii dwóch różnych ministerstw: Ministerstwa Sprawiedliwości (i wtedy placówki noszą nazwę zakładów poprawczych) i Ministerstwa Oświaty (wtedy są to ośrodki wychowawcze). Z pewnością w placówkach pod kuratelą Ministerstwa Oświaty podopieczni mają większe przywileje i swobodę, ale znów bez przesady, przecież aby trafić do ośrodka wychowawczego czy do zakładu poprawczego trzeba — niestety — nie być aniołem. Do obu rodzajów placówek kieruje przecież sąd! Ale po cóż rozróżniać — głosi stereotyp — tu i tam trafia określony element, który i tak wkrótce pójdzie do więzienia, a w „poprawczaku” tylko jeszcze bardziej zdemonstruje się, bo przecież dzieje się tam dantejskie sceny.

Co na te stereotypy dyrekcja i wychowawcy?

Dyrektor, ZBIGNIEW GABERKIEWICZ, przyznaje:

— Dziewczyna, która znalazła się w ośrodku przy ul. Drewnowskiej musi mieć coś na sumieniu: uchylenie się od nauki, przestępstwa lub jedno i drugie. Łącznie znajdują się tu 60 podopiecznych, które pobierają naukę — tym razem bezpłatnie — bądź w szkole podstawowej, bądź w szkole ponadpodstawowej, ale już uzasadnione, czy też wreszcie w krawieckiej „zawodowej”. Kradzieże, picie alkoholu, wachanie odurzających substancji? Zdarzają się także wypadki, choć wcale nie tak często. Bywa, że podobne historie dzieją się co kilka dni, a czasem spókoj panuje nawet przez parę miesięcy. Ale trzeba pamiętać o specyfice tej placówki, to nie jest taka sobie zwykła szkoła, to ośrodek wychowawczy, w którym przebywają dzieci niedostosowane społecznie.

— A kwestia otwartych drzwi? — pytam. — To przecież niemal prowokuje do ucieczek.

— Drzwi bywają otwarte, bywają zamknięte, ale przecież działalność ośrodka nie polega na założeniu solidnego zamka. Ucieczki, owszem, zdarzają się, ale raczej sporadycznie, nie są to zresztą typowe ucieczki, a raczej samowolne przedłużanie przepustek. Opracowaliśmy — zanim powstawał zaczęły oddórne przepisy — własny, oryginalny system wychowawczy. Przede wszystkim staramy się naszym wychowankom zastąpić dom, umożliwić nabranie chęci do nauki, upośledzić system wartości, którym kierować się będą w późniejszym życiu, nauczyć nie tylko matematyki i zawodów, ale także kultury osobistej. Oj, nie ma pan pojęcia, jak trudno przekonać niektóre nowo przybyłe dziewczęta, że jeśli można nie tylko żyćka lub że myć się trzeba codziennie, nie zaś raz na miesiąc, że do

kina chodzi się nie tylko z chłopakiem, ale i na film, że oprócz kina istnieją także teatr, muzeum, wystawy. Próbowaliśmy też zachęcić do rozwijania zainteresowań nie tylko biernego, ale także czynnego uczestnictwa w kulturze.

Poza tym są to przecież kobiety, przyszłe opiekunki domowych ognisk i musimy o tym pamiętać, ucząc je wszystkich cech, którymi powinna odznaczać się pani domu, a więc gospodarności, zaradności itd. Na dobrą sprawę dziewczęta razem z nami współgospodarzą w ośrodku, same sprzątają, odnawiają ściany, dbają o ład i estetykę, a nawet wykonują bardziej specjalistyczne prace, oczywiście na miarę swoich sił i umiejętności, ba, nawet samodzielnie projektują wnętrza swych pokoi i świetlic.

W tym miejscu ogarnęły mnie wątpliwości: jak można projektować wnętrza w „poprawczaku”, które — zgodnie ze stereotypem — bardziej przypominają cele niż pokoje? Dyrektor proponuje więc, bym przekonał się, że stereotypy to stereotypy, a fakty są faktami.

Potężna dawka zaskoczenia. Na początku wi-

JACEK GŁĘBSKI

Stereotypy — do „poprawczaka”!

zyty chciałem porównać ten „poprawczak” z przeciętną szkolną bursą. Niesłusznie. Orientując się w dość skromnym wyposażeniu pokoiów w internatach, wystrój wewnątrz tego ośrodka sprawił mi niezdumienie. Oglądając poszczególne pokoje (dla przykładu, pierwszy: boazerie na ścianach, czerwone obicia, koce, oryginalnie upięte story w tym samym kolorze, także obrusy, toczona meble a la Cepelia, abażury a la Rzemieślniczy Dom Towarowy, drugi pokój: Niebieska Komnata — tak go w duchu określiłem — znów boazerie, cały wystrój w błękitie, gustowne meble z jasnego drewna, ład i smak, a wszystko tonie w morzu zieleni itp., itd.). Również świetlice prezentują się znakomicie, choć małe (ale przecież jedna świetlica przeznaczona jest tylko dla jednej dwunastoosobowej „rodziny”, z parą wychowawców, „mama” i „tata”, prawie jak w domu, takim prawdziwym, bez wódki, awantur i... kochanków, to jednak i ładne, i zadbane, i funkcjonalne, kolorowe telewizory, komfort, wygoda. I tu podobnie jak w pokojach, dziewczęta same pomagały projektować wnętrza i same dbały o wyposażenie. Krótko mówiąc — dziewczyny z internatów mogą tylko pomarzyć o takich warunkach. A i chyba nie tylko dziewczyny z internatów...

STEREOTYP TRZECI.

A CÓŻ Z NICH WYROŚNIE?

Ano margines, szkoda zachodu. One są stracone.

— Nigdy się z czymś takim nie zgodzę! — oburza się dyrektor. — Oczywiście resocjalizacja, jeżeli już używamy tego słowa, nigdy nie jest stuprocentowa i nigdy efektów wychowawczych nie da się zmierzyć matematycznymi wskaźnikami, ale taki determinizm to absurd. Dlaczego resocjalizacja nie jest stuprocentowa? Bo dziewczyny — zgodnie z przepisami — powinny przebywać i być kierowane do naszego ośrodka do 18 roku życia, a czasem zdarza się, że przychodzi do nas osoba w wieku 17,5 roku. I co my przez te kilka miesięcy możemy osiągnąć? Z pewnością coś, ale chyba zbyt mało. Inaczej jest, gdy dziewczyna przebywa u nas dłużej, rok, dwa, trzy. Trzeba też pamiętać o tym, że gdy wychowanka opuszcza nasz ośrodek, wraca najczęściej tam, skąd przyszła, do domu, do dawnego środowiska. I albo ma silny charakter i odpowiadają jej zaszczytne u nas wzorce, albo... Niemniej tym, które nie powinny wracać do domów, staramy się załatwiać prace, a nawet mieszkanie. To nie są dziewczyny z gruntu złe, trzeba tylko umiejętnie nimi pokierować.

— Nasz ośrodek ma być śledziskiem zła? Zupewnić biedny stereotyp — mówi wychowawca, JERZY KUCZA. — Być może twarze naszych wychowanków, ich sposób poruszania się, szczególnie w obecności chłopów, mogą się trochę różnić, ale to tylko kwestia kulturalnego szlif. Nie chcę porównywać, ale skoro słonia można nauczyć tańca... Dziewczyny są zaradne, gospodarne, wrażliwe na ludzką niedolę, chętnie pomagają w domach dziecka, szpitalach, ich wrażliwość ujawnia się także w odbiorze sztuki, a nawet w samodzielnym próbach literackich czy plastycznych. One wcale nie są takie złe, jak to się niektórym wydaje. Np. jedna z dziewcząt mimo że przyszła do nas jako złodziejka, a i nam często dawała się we znaki, trafiła na studia plastyczne i całkowicie zerwała z przeszłością. A więc mit o straconych dziewczynach przyska.

— A gdyby, założmy, miał pan serdecznego przyjaciela, którego dwudziestoletni syn chciałby poślubić dziewczynę z tego „poprawczaka”. Przyjaciel prosi pana o radę. I co pan na to?

— Nie wyrażiłbym zgody...

— A widzi pan!

— „proszę nie przerywać. Nie wyrażiłbym zgody, dopóki nie poznałbym bliżej syna tego przyjaciela i nie byłbym pewny, że jest to chłopak wartościowy, o silnym charakterze, spokojny, zaradny, prawy, mogący zapewnić dziewczynie godziwe życie. Przede wszystkim nie dajmy dziewczyny na zmarowanie. Bo trzeba panu wiedzieć, że prawie każda z tych dziewcząt

jest materiałem na dobrą żonę. Każda zresztą marzy o mężu, ale uważam, że musi to być człowiek, który nie dałby jej szans na zejście z uczciwej drogi i na powrót do dawnych nawyków. Tak więc jeśli syn przyjaciela spełniłby powyższe warunki, pozostałoby mi tylko pobłogosławić taki związek.

STEREOTYP CZWARTY.

DZIEWCZĘTA TĘSKNIĄ ZA DOMEM,

pobyt w „poprawczaku” to dla nich największe nieszczęście. Tylko dlatego w takim razie nie chcą uciekać? Z pewnością dlatego, że boją się straszliwych kar.

Z tymi karami, to już chyba największa przesada — dyr. Zbigniew Gaberkiewicz rzuca

wyzwanie kolejnemu stereotypowi. — W tym ośrodku najsurowszą karą jest wstrzymanie przez jakiś czas prawa do odwiedzin. Inne kary to wstrzymanie przepustek czy zakaz uczestnictwa w jakiejś wycieczce. A czy dziewczęta tęsknią za domem? Pewnie, tęsknią. Ale pytanie: za jakim domem? Za tym, który opuściły?

Próbki wzięte z konkursów literackich organizowanych w ośrodku. Wypowiedzi na temat domu, tęsknoty za... no właśnie za czym?

„Dom to piękne słowo, rodzina — jeszcze piękniejsze, wiele dzieci ma wspaniałą rodzinę, dom, lecz na świecie jest setki milionów dzieci, które czekają na tę jedną chwilę — kiedy ktoś otoczy ich ciepłem rodzinnym. Niespełna dwadziecioletni matki nie zdają sobie sprawy, że zadają tym małym ludziom ból i cierpienie. W ich sercach bije smutek i nadzieja, że w przyszłości będą miały swoje cztery ściany, które są dla nich częścią życia”.

R.Z.

„Tak, ja wiem, że wy myślicie, że mi wystarczy powiedzieć, chcemy, żebyś była z nami i córka skacze do nieba i jest szczęśliwa

Ale to nie tak, ja już wiem że w domu jestem nieposzanowanym gościem, wiem, że nie mogę przyjeżdżać na długo bo nudzę. Zastanawia mnie tylko jedno dlaczego mnie okłamujecie choć tak pięknie o prawdziwość mówicie

Chciałabym choć raz usłyszeć od was kochani rodzice prawdę Dlaczego jej się boicie? Teraz już wiem.

Tak, zostaje tutaj, bo tu jest mi dobrze, nikt nikogo nigdy nie okłamuje...”

E.G.

Zdaje sobie sprawę z istnienia licznych błędów stylistycznych, a i dziwne niekiedy interpunkcji, ale nie o to przecież chodzi, prawda?

— Czy dziewczyny tęsknią za domem? — zastanawia się wychowawca, Jerzy Kucza. — Na pewno. Ale większość chyba marzy o innym domu niż ten, który opuściły i szukają drogi do takiego celu. A droga to najczęściej przyszyty mąż. Tylko że tu pojawia się kłopot. Dziewczyny zdają sobie sprawę z tego, na jakim świecie żyją i co społeczeństwo o nich myśli. Tak więc w ich pozycji społecznej liczy się każdy chłopak. Jeśli ktoś je podrywa, najczęściej tego nie odrzucają, może co najwyżej później, ale z reguły to właśnie one są porzucane, to cena, jaką trzeba zapłacić za zbyt gorączkowe poszukiwanie partnera. Oczywiście staramy się upośledzić im jakieś kryteria doboru, ale różnie z tym bywa. Trudno pogodzić budzącą się w nich kobiecość z rozsądkiem, a dręczącą wciąż samotnością i potrzebą miłości z poczuciem własnej wartości, a nawet niekiedy godności. Ale z drugiej strony dziewczęta wiedzą, jakie są w oczach ludzi z zewnątrz. Błędne koło...

STEREOTYP PIĄTY.

OCH, BIEDNE DZIEWCZĘTA.

taki los je spotkał, biedactwa z „poprawczaka”. A może pomóc nieszczęśnicy i poślubić taką? — zastanawia się np. litościwy chłopak, który od pewnego czasu często widuje się ze swą dziewczyną właśnie z „poprawczaka”.

Wybiegnijmy w przyszłość. Blask obrączek przysłała patyna, minął dawno młody miesiąc. Codziennie, i teraz zdarzyło się, że dziewczyna popełniła jakiś błąd, zdradziła, dokonała kradzieży, złe wyprała meżowska koszulę czy choćby przypaliła kartofle. Nietrudno przewidzieć reakcję partnera.

„To ja cię wyrwałem z tego bagna, dałem ci szansę, a ty co? Tak mi odpłacasz?! Nie ma się czemu dziwić, głupi byłem, że wziąłem za żonę taką z poprawczaka, co to kradła, włóczyła się po melinach...” A rodzice podjudzają syna: „A widzisz, mówiliśmy, ostrzegaliśmy, co ci strzeliło

do głowy, żeby brać taką za żonę? Wiedzieliśmy, że to się tak skończy, wydzie szydło z wora!”.

Zresztą by zaistniała taka sytuacja, błędu wcale nie musi popełniać żona, ten sam efekt spowoduje także zachowanie męża, np. to, że znużony małżeństwem i szuka pretekstu do odejścia, to, że miał niepowodzenie w pracy (a na kim się wyżyć, jak nie na spowszedniałej żonie?) itp., itd.

Jednym słowem — obserwując życie — śmitem twierdzić, że nasza litość i dobre serce, a także tolerancja na kruchych nogach stoja. Żeby nie ograniczać się tylko do „poprawczaków” — podobnie jest z byłymi narkomanami, nawróconymi przestępcami, dziećmi z domów dziecka, ba, nawet z inwalidami. Brak tolerancji dla wyróżniających się ludzi jest specyficzną cechą naszego społeczeństwa. Po prostu uznajemy „środek”, bo osoby wyróżniające się (obojętnie czy „in plus”, czy „in minus” — tak samo nie kochamy geniuszów, którym zazdrościmy sukcesów, jak i upośledzonych, którzy tylko przeszkadzają lub zmuszają do litości) znajdują się poza nawiasem społeczeństwa. A litość jest chyba gorsza od jawnej nienawiści. Obecny podcaś rozmowy wizytator z kuratorium, BOGUMIL DUNICA, potwierdza moje zdanie, dając przejawy, choć trafny przykład:

— Cechuje nas „zameczanie dobrocią” tych „gorszych” członków społeczności. Jeśli jakaś starsza pani da dziecku z domu dziecka ciasteczek, to oczekuje, że obdarowany będzie liźną ją po rękach, a jeśli uszyje sukienkę — oczekuje dogłonnej wdzięczności. Zresztą z tą dobrocią też bywa różnie. Na przykład w ośrodku adopcyjnym przyszli opiekunowie nie czekają na dziecko. Czekają na blondyneczkę z niebieskimi oczkami. A jeśli zaproponuje im się dziecko kalekie? Wtedy awantura: my chcemy dobre dziecko!”.

Myślę, że mogę o tym pisać. Ostatnio pojawiające się w Tv reklamy, by wpłacić na krajowy fundusz pomocy dla dzieci skłoniły mnie, by wpłacić na to konto pewną sumę. I nie żądam, by ktoś liźnął mnie za to po rękach. A gdyby tak 36 milionów Polaków wpłaciło, nie żądając wdzięczności? I kiedy wreszcie ta okrzykana polska tolerancja stanie się faktem, kiedy przestaniemy zameczać ociemniałych, przeprowadzać ich w kółko po tym samym skrzyżowaniu, żądając dogłonnej wdzięczności, kiedy przestaniemy traktować sieroty i dzieciaki z „poprawczaka” jako godne litości, a czasem budzące sensację zjawiska? I kiedy wreszcie dziewczyna z „poprawczaka” czy były narkoman przestaną być dyskryminowani w pracy, w otoczeniu, za błąd lub błąd, który kiedyś popełnili, a które do końca teraz piętnują ich życie, bo przecież ciekawość ludzka nie zna granic? Oj, dużo wody upłynie w Łódce...

ZAMIAST STEREOTYPU SZÓSTEGO.

WIZYTA W „POPRAWCZAKU”

przy ul. Drewnowskiej pozabawiła mnie złudzeń: sensacji nie było, ekscesów nie zanotowałem, może tylko „element” — użyję tego brzydkiego słowa — różni się w naszych pojęciach od pensjonariuszek internatów, ale też bez przesady, skoro z notorycznej złodziejki można zrobić szanowaną i prawą panią magister sztuki, a z krnąbrnego nieuka — panią technic. Wszystko zależy od dobrej woli i fachowych umiejętności wychowawców. Bo — jak podkreśla dyrektor — żadna z nich nie urodziła się zła. A że wbrew powszechnej stagnacji i przy trudnościach obiektywnych można coś zdziałać — niech świadczy o tym przykład III Państwowego Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego. Teraz tylko pytanie: czy wszystkie tego typu placówki mają takie osiągnięcia? Jeśli tak, to stereotypy o wszelkiej maści „poprawczakach” muszą trafić do... „poprawczaka”.

I na zakończenie wiersz jednej z wychowanki.

„Chłopcze, dlaczego się smucisz?
Podnieś twarz, niech rozjaśni ją uśmiech.
Boisz się? Podaj mi rękę
Poprowadź cię przez życie
Przecież ty potrzebujesz mnie
Tak, jak ja ciebie
Uśmiechnąłeś się, teraz daj mi rękę
Chodź. Dalej pójdziemy razem!”.

E.G.

Dobrze byłoby, gdyby odszukać w tym wierszu, nieporadnym jeszcze, ale mimo to godnym uwagi, metaforę. A gdyby tak słowo „chłopcze” zastąpić słowem „ludzie”? Materiał do przemyślenia.

P.S.

14 czerwca 1986 r. odbyła się uroczystość nadania tej placówce imienia. Marii Grzegorzewskiej w uznaniu dwudziestoletnich zasług ośrodka. Z tej okazji warto złożyć gratulacje kierownictwu i wychowawcom, bez których zaangażowania ośrodek nie prezentowałby się tak, jak miałem okazję zobaczyć.

(J. G.)

Ludzie spod znaku maltańskiego krzyża

ze str. 1

plynać w stronę miejsca, z którego prawdopodobnie wyrzucano raketę dotąd, dopóki nie znajdą tego, który potrzebuje pomocy. Albo będą krążyć tak długo, aż w ich świadomości zrodzi się przekonanie, że nikogo już znaleźć się nie da. Trwa to czasem dzień, czasem dwa, czasem jeszcze dłużej. Bo czerwonej rakety nie wolno im zlekceważyć. Nawet, gdyby był to fałszywy alarm.

— „Pulaski”, „Pulaski”, wzywam Kapitanat Portu Gdynia! — Kapitanat Gdynia, Kapitanat Gdynia do „Pulaskiego”. Przechodzę na kanał 10. Jak mnie rozumiecie? Odbiór...

— „Pulaski”, „Pulaski” do Kapitanat Gdynia. Zrozumiałem. Przechodzę na kanał 10. Koniec. I cisza. Na kanale wywołania nie wolno prowadzić rozmów. Wolno wywołać Gdynia — Radio czy kapitanat. Nic więcej. Bo ktoś może zawołać o pomoc. Zawołać słabym głosem jeden, jedyny raz i zamilknąć. Ale wtedy gdy wskazówka zegara mija „pełną” godzinę, nikt w eter nie wysze „wzywam...”, nawet gdyby bardzo chciał. Złazne, rygorystycznie przestrze-

gane prawo morza tego zabrania; nikt nie odważy się go złamać. Trzy minuty ciszy — dwadzieścia minut rozmów. I tak cztery razy w ciągu godziny, dziewięćdziesiąt sześć razy w ciągu doby. Wsłuchują się w każdy dźwięk dochodzący z głośnika ukaefki. Może znów usłyszą mayday... Jak wtedy, gdy w sierpniu osiemdziesiątego trzeciego rozgrywano regaty o mistrzostwo Polski w klasie QT, C-24 i „Nefryt”. Poszli wtedy szukać człowieka. Małego człowieka na wielkim Morzu. I choć szukali wiele, wiele godzin, żeglarsza z „Szalonego Konia II” nie znalazł nigdy. Jeszcze jedna ofiara okrutnego morza...

— A znacie to? Przychodzi baba do lekarza...

Znają. Ale posłuchają jeszcze raz. I jeszcze dziesięć razy. Albo nawet i sto, byleby tylko stać w porcie, byleby nie wychodzić w morze, byleby nikt nie wzywał pomocy. Ale to przecież niemożliwe. Więc czekają. Na czerwonej rakiecie, na głos ukaefki, na telefon. Jak wtedy, gdy zaalarmowano ich, że na lodowej krze dryfują

dzieci i prąd nieuchronnie młóci je na pełne morze. Więc poszli we dwójkę: „Pasat” i „Światłowid”. Wrócili z dziećmi. Zmarzniętymi, mokrymi, głodnymi i wystraszonymi — ale żywymi. O! jeszcze jedna udana akcja.

— Karo.
— Dwa piki.
— Pas.

Karty straciły już swój pierwotny wygląd. Cóż, tyle gier, tyle partii, tyle robów... Wstają od stołu. Leż można grać w brydża?!

— A może by odmalować statki?

Biorą więc farbę, pedzle i malują nieskazitelną biel burt i nadbudówki na biel jeszcze bardziej nieskazitelną. Czekają.

— A pamiętacie „Mefistę”? Dwadzieście metrów od główek portu wpadł im za burtę II oficer. Poszedł do nawigacyjnej przygotować dokumenty do odprawy i jak wychodził, bon uderzył go w głowę. Co z tego, że ktoś z załogi od razu rzucił kocioł i zaczął świecić latarką. Ich latarka dawała tyle światła, co kocie oczy. A ten co wypadł, musiał już w tym momencie być nieprzytomny. Kocioł niewiele mógł mu pomóc... Gdyby choć był przywiązany do jachtu linką asekuracyjną, to by nie było sprawy. A tak... Szukaliśmy go całą dobę. Morze do tej pory nie oddało jego ciała... Podaj jeszcze jedną puszkę farby!

Kutry rybackie powoli wykręcają ciasne kółka w portowym hasenie i wypływają na zalany słońcem Bałtyk. Na pokładzie puste beczki, puste skrzynie. Idą na łowisko.

— Żeby tylko uważali i nie podrywali zbyt blisko brzegu. Jak ten, co w ubiegłym miesiącu, koło Jastarni, wpakował się na mieliznę. Woda wyrzuci-

ła go na brzeg. Leżał na głębokości metr, metr czterdzieści, gdy jego zanurzenie wynosi dwa metry osiemdziesiąt. Żeby się do niego dostać, musieliśmy śrubą wykopać kanał o długości przeszło dwadzieście metrów! Odratiliśmy przy nim od siódmej rano do północy!

— Dzisiaj prawie nie wieje. Znowu będziemy pewnie musieli płynąć do rybaków, którym się wkręci się w śrubę. Znowu będzie trzeba schodzić pod wodę, żeby ją wypłatać...

Czekają. I cieszą się z każdej spokojnej godziny, każdej spokojnej minuty. Cieszą się, gdy nie muszą prezentować swych umiejętności w schodzeniu pod wodę, w gaszeniu pożarów czy dochodzeniu do człowieka w wodzie.

Ale nie tylko z morzem przechodzi im walczyć. Czasem muszą walczyć z człowiekiem w obronie morza. Jak kilka tygodni temu, gdy awarii uległ rurociąg z ropy. Wiele ton ropy wypłynęło i gdyby nie oni — „Perkun” i „Pasat” — znowu na plażach w zatoce leżałyby martwe węgry. Ale czy Bałtyk to zrozumie?

Chyba nie. Bo Bałtyk nie jest ani przyjazny, ani wrogi. Jest po prostu bezlitośnie bezwzględny. I każdy błąd, każdą lukę chwilę nieuwagi czy słabości potrafi zamienić w dramat. Błada tym, którzy nie szanują Bałtyku; będzie próbował zemścić się srogo. I właśnie po to, by ratować innych przed gniewem Władcy Mórz, są oni — ludzie spod znaku maltańskiego krzyża.

WITOLD WERNER

Gdańska starówka

WITOLD WERNER



Musi być gorzej, żeby było lepiej

Zacznę od przypomnienia ponurego dowcipu, którego autorem jest znany socjolog, prof. Jan Szczepański. W 1981 roku wskazał on dwa możliwe rozwiązania problemów ekonomicznych Polski: naturalne bądź cudowne. Pierwsze, naturalne rozwiązanie jest takie, że przybędzie z nieba archanioł Gabriel z hucem anielskim i zorganizuje nam gospodarkę. Aniołowie przez trzy lata będą pracować w Polsce po 12 godzin dziennie i 7 dni w tygodniu. Natomiast rozwiązanie cudowne — czyli mało prawdopodobne — polega na tym, że nie aniołowie, lecz my sami będziemy tak ciężko pracować.

Przypomniał mi się ten dowcip, kiedy czytałem wypowiedź Eugeniusza Roszkowskiego z Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych podczas narady partynogospodarczej w Radomiu na temat racjonalizacji zatrudnienia. Mówił on:

„W ciągu 42-godzinnego tygodnia pracy przedsiębiorstwa przebywają w przedsiębiorstwie 34 godziny. Reszta — z różnych przyczyn — to absencja. Z tych 34 godzin tylko 28 godzin przeznacza się rzeczywiście na pracę, w prymitywnych warunkach organizacyjnych. Pozostałe 6 godzin to czas nieprzepracowany z powodu późniejszego rozpoczynania i wcześniejszego kończenia pracy. (...) Owych 28 godzin pracy również w pełni się nie wykorzystuje. Przy założeniu, że stanowią one 100 proc., czas efektywnej pracy statystycznie nie przekracza 60 proc., czyli około 17 godzin. Resztę czasu pracy przeznacza się na czynności pomocnicze, porządkowe, przygotowawczo-zakończeniowe i inne nieproduktywne”.

Eugeniusz Roszkowski podał znamienity przykład. Na tych samych maszynach i według tej samej technologii produkują tarcze ścierne do samochodów polski „Ponar” oraz zachodniemiecki „Textar”. I co się okazuje? Otóż w Republice Federalnej Niemiec wydajność pracy jest aż o 40 proc. wyższa niż w Polsce. Autor wypowiedzi zwrócił słusznie uwagę, że mamy źle zorganizowaną pracę nie tylko w przedsiębiorstwach, lecz również w innych dziedzinach — w tym i w administracji państwowej — co zwrócić dezorganizację pracę w gospodarce.

Jak ogromne są jeszcze w Polsce proste rezerwy świadczy

przykład Zakładów Przemysłu Pończosznego „Feniks” w Łodzi. Mistrzowie i brygadziści zostali tam zobowiązani do twardego egzekwowania osmiodziesiętnego dnia pracy. Każdy musi zaczynać i kończyć pracę ściśle o wyznaczonej porze. „Rozpoczęto także — mówił na wspomnianej wyżej naradzie dyrektor Marian Kwiecień — pełne egzekwowanie dyspozycyjności pracowników. Znaczący to, że mechanik, jeżeli nie ma co w ciągu osmiu godzin robić jako mechanik, będzie robotnikiem magazynowym, a w skrajnym przypadku będzie sprzątał. Ma bowiem obowiązek świadczenia pracy przez 8 godzin na rzecz przedsiębiorstwa”.

Udało się podnieść w „Feniksie” normy obsługi podstawowych maszyn. Teraz dziesięć obsługujących od 33 do 48 maszyn, a przedtem norma wynosiła tylko 22 maszyny. Czy jest to nadmierna eksploatacja pracowników? Trudno powiedzieć, skoro w krajach wysoko rozwiniętych jeden robotnik obsługuje 80 identycznych maszyn.

Powie ktoś na to, że na Zachodzie ludzie pracują wydajniej, ponieważ mają lepsze zarobki. Popularna w Polsce teza głosi: jaka płaca taka praca — państwo udaje, że nam płaci, a my udajemy, że pracujemy. Formuła ta jest jednak fałszywa logicznie, ekonomicznie i psychologicznie, choć powtarzają ją bezzwłocznie niektórzy ekonomici. W istocie przecież praca jest pierwotna i od jej ilości oraz jakości musi zależeć wysokość płacy. „Nie można pracować jak Pers, a zarabiać jak Amerykanin” — stwierdził obrazowo w Radomiu honorowy prezes NOT, prof. Janusz Tymowski.

Można dziś sformułować następujący paradoks: musi być w Polsce gorzej, żeby było lepiej. W tym celu należy krytycznie ocenić pracę na każdym stanowisku i ustalić właściwe normy. W ogóle mamy niski w porównaniu z innymi krajami stopień znormowania robót. Ukształtowała się nawet obyczajowa norma zmniejszania wydajności pracy. Ludzie skłonni są lepiej pracować — czyli gorzej, jak powinno być normalnie — dopiero za nadzwyczajnym wynagrodzeniem. Zwykłą płacę traktuje się jako w pełni usprawiedliwiającą partactwo i lenistwo. Natomiast przyzwyczajenie pracuje się dopiero za dodatkową otrzymaną nagrodą, napiwkami, prezentami, łapówkami, usługami. Nawet premie traktowane są jako bezwzględnie należne składniki pensji.

Jeśli ktoś spotyka się z dobrze wykonaną pracą — w granicach normalnych obowiązków — to często zaskoczony i uszczęśliwiony spiesz się jakimś prezentem lub czuje się zobowiązany do okazania szczególnej wdzięczności. Skąd to się bierze? Otóż zanizanie wydajności i oszczędzanie się w miejscu pracy wynika z trzech względów: po pierwsze, jest to skutek pełnego zatrudnienia i dużego popytu na siłę roboczą (inflacja miejsc pracy powoduje ich dewaluację); po drugie, znacznie wyższe opłacanie są różnego rodzaju dodatkowe zatrudnienia (w godzinach nadwymiarowych, w wolne soboty, prace prywatne); po trzecie, ludzie wiedzą o wyższych płacach na Zachodzie i tam są gotowi do dobrej pracy.

Należy podkreślić, że w porównaniu z ustrojem kapitalistycznym, system socjalistyczny stawia raczej małe wymagania jednostce. W socjalizmie jednostki i rodziny korzystają z silnie rozwiniętych funkcji opiekuńczych państwa, a nie rzadko otrzymując niemal bezwarunkowe zabezpieczenie bytu. Nawet w przypadku jawnej zlej pracy i braku dyscypliny nie grozi bezrobocie i dostaje się wynagrodzenie umożliwiająca względnie znośną egzystencję. Przez to jednak kraj nie rozwija się na miarę możliwości, ludzi zaś deprawują niedostateczne rygory. Wiosną 1977 roku na spotkaniu z przewodniczącymi z Polski ówczesny kanclerz RFN, Helmut Schmidt, wypowiedział charakterystyczne zdanie: „Teraz musicie sami zająć się sobą; tam w Polsce zajmował się wami rząd”.

Jednakże nie proponuję jako remedium na nasze trudności wprowadzenia bezrobocia i ograniczenia konsumpcji zbiorowej, gdyż środki te uważam za nie do pogodzenia z ideałami socjalizmu. Uważam, że wystarczy ostre zróżnicowanie płac według zasady ilości i jakości pracy. Albowiem sądzę, że istniejące płace nie dlatego słabo motywują, iż są zbyt niskie, lecz głównie z powodu niesprawiedliwego rozdziału i nieprzestrzegania powyższej zasady wynagrodzeń.

W bieżącym pięcioleciu czeka nas drastyczne pogorszenie bilansu zasobów pracy. Przyrost ludności w wieku produkcyjnym (ok. 340 tys. osób) będzie czterokrotnie niższy niż w poprzednich pięcioleciach, a równocześnie nastąpi duży wzrost ludności nieprodukcyjnej. Co w tej sytuacji robić? Zdaniem

kierownika Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, Marka Hordakowskiego, można sobie wyobrazić i spotkać w rzeczywistości trzy różne reakcje: pierwsza — to „siąść i płakać”; druga — to likwidować niedobór zatrudnienia poprzez „wycięcie płac”, który pobudza przeciw inflację; a trzecia — jedynie słuszną i konieczną — to „pójść drogą racjonalizacji, intensyfikacji, wykorzystania tych zasobów produkcyjnych, które już są w naszej dyspozycji”. Ze jest to droga możliwa pokazuje doświadczenia NRD i Czechosłowacji oraz takich m.in. przedsiębiorstw polskich jak radomski „Radoskór” i łódzki „Feniks”.

Jeśli naprawdę chcemy wyjść z kryzysu i żyć na poziomie zbliżonym do krajów wysoko rozwiniętych, to musimy radykalnie zmienić system pracy: organizację, normy, dyscyplinę, jakość, wydajność. Tę oczywistą myśl aż do znudzenia powtarzają politycy, działacze gospodarczy, naukowcy. Nie ma chyba drugiego kraju na świecie, w którym tyle by się mówiło o konieczności lepszej pracy. Nawet wiele jednak z tego wynika. Poza pewnymi wyjątkami, wszystko kończy się na dyskusji, postulatach, uchwałach, akcjach.

Najlepszy opis zjawiska dał kilka lat temu Antoni Kepiński: „Na ogół umiemy oni zabiegać o własne interesy, nie dają się łatwo skrzywdzić, często przejawiają wyraźny egoizm, nie lubią zbytnio się przemęczać, wolą innym rozkazywać, wolą też mówić o swej pracy niż pracować. Nieraz są już tak zmęczeni mówieniem, że na pracę sił im nie staje. Chcą tanimi sposobami, bez większego wysiłku zdobyć poklask otoczenia. Piękne słowa, piękne stroje, piękne formy, a pod spodem często pustka. Pracują zrywami, po krótkim zapale (przystawionym polski stłomiony zapal) z powrotem ogarnia ich lenistwo”.

Może się mylę, ale mam wrażenie, że opis ten przede wszystkim odnosi się do naszej inteligencji, a w mniejszym stopniu do robotników, chłopów i drobniomieszczaństwa. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, że przykłady złych wzorów często idą z góry; że tam — na górze — musi najpierw nastąpić odmiana, żeby coś się zmieniło na dole.

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

W dnach 9-10 czerwca 1986 roku odbyło się w Łodzi VI Polskie Sympozjum poświęcone zagadnieniom migreny i pokrewnych bólów głowy. Wzięli w nim udział wybitni znawcy tematu. Sympozjum miało wprawdzie charakter naukowy, jednak poprosiliśmy kilku z uczestników Sympozjum o podzielenie się swoimi uwagami, które mogą być interesujące dla każdego, kto zetknął się bądź cierpi na migrenę.

ROZMOWA PIERWSZA

Dr. M. WILKINSON jest założycielem i wieloletnim dyrektorem Kliniki Migrenowej działającej pod patronatem księżniczki Małgorzaty, a obecnie honorowym dyrektorem Miejskiej Kliniki Migrenowej w Londynie. Dr M. Wilkinson pełni funkcję prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Badań Bólów Głowy.

— Czy można mówić o migrenie jako o chorobie społecznej?

— Na pewno tak. Około 10 proc. populacji na świecie cierpi na migrenę i różnego rodzaju bóle głowy. W Zjednoczonym Królestwie jest to także poważny problem. Wprawdzie życie chorego nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwu, to jednak jest to choroba uporczywa, wyczerpująca i powodująca poważne zaburzenia w życiu codziennym człowieka. Jeżeli przyjmemy, że chory cierpi na ataki migreny raz na miesiąc, a są to ataki oceniane przez nas jako ataki częste, to daje to w ciągu roku 12, a w ciągu 10 lat 120 dni nieżońskiego cierpienia. A proszę sobie wyobrazić sytuację człowieka mającego napady raz na tydzień!

— Czy można mówić o geografii migreny i bólów głowy?

— Migrena występuje pod każdą szerokością geograficzną. Są oczywiście miejsca, w których nasilenie przypadków choroby jest większe, a są też miejsca, gdzie liczba chorych jest poniżej średniej liczby zachorowań na świecie. Jednak trzeba podkreślić, że migrena występuje niezależnie od koloru skóry, rasy, pochodzenia społecznego czy miejsca zamieszkania.

— Wspomniała pani o różnicowaniu migreny w zależności od częstotliwości napadów.

— Jeżeli chory miewa jeden napad na tydzień, czy jeden na miesiąc, to jest to migrena częsta, ale zdarza się, że chory miewa napad raz na rok.

— W przypadku napadów częstych, mamy do czynienia z istotnie chorą osobą. W jaki sposób oddziałuje choroba na jego zachowanie i czy stan psychiczny może sprzyjać powstawaniu migreny?

— To jest dobre pytanie, ale bardzo trudne na nie odpowiedzieć. No bo oczywiście, że zachowanie się człowieka, jego tryb życia mogą sprzyjać powstawaniu bólu głowy. Proszę sobie wyobrazić, że jedzie pan samochodem, na wakacje, do miejscowości położonej o setki kilometrów od pańskiego domu. Słońce świeci intensywnie. Przy drodze drzewa rosną rzędami. Migające snopy światła słonecznego, przebijające się do wnętrza samochodu przez szybę mogą wywołać migrenę z towarzyszącymi jej wymiotami, zaburzeniami wzrokowymi i tak dalej. A samo przygotowanie się do wakacji. O wszystkim trzeba pamiętać, wszystko zapakować. To też może przyczynić się do ataku. Jednak myślę, że w większości takich przypadków można z powodzeniem stosować domowe środki. Na przykład aspirynę.

— ?

— Tak, tak. To stary, wypróbowany środek i załóż się, że w apteczce w pana domu znajduje się aspiryna. Z drugiej strony, niewątpliwie migrena lub inny ból głowy wpływają na zachowanie nmi dotkniętego człowieka. Jest to cierpienie, chory jest często rozdrażniony, niecierpliw, egoistyczny, a to nie zawsze znajduje zrozumienie ze strony otoczenia.

ROZMOWA DRUGA

Profesor E. CSANDA, dyrektor Kliniki Neurologicznej w Budapeszcie, przewodniczący Węgierskiego Towarzystwa Neurologicznego i Psychiatrycznego, wiceprzewodniczący Światowej Federacji Neurologii.

— Jest pan twórcą ośrodka leczenia bólu głowy w Budapeszcie.

— Tak. Utworzyliśmy taki ośrodek czerpiąc z doświadczeń łódzkiego ośrodka. Jest on wzorowany na szkole profesora Prusińskiego.

— Leczenie bólu głowy i migreny.

— Ból bólowi nierówny. Istnieją bóle głowy jako choroby samoistne, do nich należy migrena i różnego rodzaju nerwobóle, to i bóle głowy jako objawy choroby układu nerwowego, narządów twarzowej części czaszki, bóle spowodowane zatruciami organizmu. My zajmujemy się bólami głowy jako chorobą samoistną.

— Jakże są perspektywy badań?

— Obecnie niestety pomocy już cierpiącym na ból głowy, ale myślę, że w niedalekiej przyszłości będziemy wiedzieli więcej o przyczynach migreny, a co za tym idzie, będziemy w stanie skutecznie zapobiegać chorobie i lepiej pomagać chorym.

— A w czym upatruje pan przyczyny bólu głowy i migreny?

— Migrena jest chorobą dziedziczną. Nie znaczy to oczywiście, że jeżeli pańska matka i ojciec cierpią na migrenę, to i pan będzie na nią chorował, ale z dużym prawdopodobieństwem możemy stwierdzić, że ma pan większe szanse, żeby zachorować. Dziedziczone są predyspozycje, które w sprzyjających warunkach mogą się rozwinąć w chorobę.

— A sprzyjającym warunkiem jest między innymi tempo życia?

— Wydaje mi się, że migrena jest pochodną cywilizacji. Wprawdzie jest to choroba bardzo stara, ale szybko tempo życia, ciągły pośpiech i gonitwa za realnymi czy wymagowanymi

wartościami, życie w sytuacji nie kończącego się stresu, stwarzają doskonałe warunki dla cierpienia na ból głowy.

— A zatrucie środowiska?

— Z jednej strony migrena jako choroba niegroźna dla życia jest często lekceważona, a z drugiej lekceważymy i rujnujemy środowisko, w którym żyjemy. Zanieczyszczenie środowiska stwarza korzystne warunki, aby cierpieć na chorobę, której niewiele się niestety miejsca poświęca w prasie naukowej czy na studiach medycznych. Dlatego takie sympozjum jak to, na którym się dzisiaj spotykamy, ma znaczenie nie tylko dla naukowców, ale i przede wszystkim dla tych, którzy cierpią.

— Inne przyczyny migreny.

— Oprócz dymiących autobusów i kominów, stresu, także alkohol i palenie papierosów, a właściwie dym papierosowy, są czynnikami sprzyjającymi nasileniu się choroby. Jest nie tylko wyrazem braku kultury, ale i braku troski o zdrowie drugiego człowieka, jeżeli pali się papierosy w pomieszczeniach, w których oprócz palaczy przebywają także niepalący.

— Czy każdy rodzaj alkoholu jest czynnikiem sprzyjającym migrenie?

— Przede wszystkim czerwone, wytrawne wina.

Dlaczego boli nas głowa?

Sześć rozmów z lekarzami

— Słyszałem kiedyś opinię wypowiedzianą przez lekarza pracującego we wszystkich niemal krajach Europy. Podobno, w Palatynie i we Francji, które są centrami uprawy winorośli, lekarze radzą unikać wina, natomiast polecają kieliszek koniaku lub czystej wódki. W Anglii, odradzają piwo, natomiast może ich zdaniem pomóc kieliszek szkoekiej, w Polsce, gdzie spożywa się głównie mocne alkohole odradza się wódkę, a poleca czerwone wino. Czy nie jest podobnie na Węgrzech, że skoro Węgry słyną z wina i dużo się go tam spożywa, to trzeba wino odradzić?

— U nas spożycie wysokoprocentowych alkoholi jest bardzo duże, zna pan zresztą ten problem z Polski, ale to nie ze względu na zwyczajowych odradzam pacjentom picie czerwonego wina. Ono naprawdę sprzyja migrenie.

— A toka?

— O, proszę pana! Tokaj nie stanowi żadnego zagrożenia. Częściej go można kupić poza granicami kraju niż na samych Węgrzech.

ROZMOWA TRZECIA

Profesor A. PRADALIER, wybitny francuski znawca migreny, internista ze szpitala im. Rothschilda w Paryżu.

— Historia migreny jest stara jak świat.

— O tak. Znamy pierwsze doniesienia z czasów sumeryjskich. Otóż pewien poeta cierpiał na tak silny ból głowy, że aż zasiępił na jakiś czas.

— Chwilowe zaburzenia wzroku są jednym z objawów migreny, a jakie są inne?

— Zaburzenia wzroku w postaci migoczącego mroczka albo nawet częściowego ograniczenia pola widzenia występują w migrenie ocznej. Oprócz tych sensacji wzrokowych, w migrenie występują wymioty i silne bóle jednej połowy czaszki.

— Jakże czynniki sprzyjają powstawaniu bólów głowy i migreny?

— Różne w zależności od picia. Kobiety zdecydowanie częściej cierpią na migrenę i według mnie przyczyną choroby, a właściwie czynnikiem sprzyjającym jej nasileniu, można upatrywać w życiu codziennym kobiet, w ich kłopotach rodzinnych i małżeńskich. Migrena staje się produktem, kwintesencją nie rozwiązanych kłopotów, kumulowanego napięcia, obciążenia i przeciążenia obowiązkami. Mężczyźni częściej cierpią na bóle głowy typu niemigrenowego i myślę, że czynnikiem powodującym dolegliwości jest współzawodnictwo. Kobieta walczy o swój dom i rodzinę, mężczyzna walczy o pozycję. To business, życie w ciągłym napięciu spowodowanym konkurencją, koniecznością utrzymywania swojego stanu psychicznego w ciągłym alertcie, stanie gotowości do działania efektywnego, dającego szansę na zwyciężenie konkurenta jest w przypadku mężczyzn czynnikiem sprzyjającym nasileniu choroby. Tak jest przynajmniej na Zachodzie. Nie wiem, czy to samo można powiedzieć o krajach Europy Wschodniej.

— Więc ciągły stres.

— I tak, i nie. Najczęściej stres jest rzeczywistą przyczyną, ale nie jest to reguła. Zdarza się też, że sytuacja postresowa jest sytuacją wywołującą ból głowy. W chwili, gdy człowiek przez niekorzystne okoliczności jest zmuszony do działania, nie zastanawia się często nad swoim stanem psychicznym i fizycznym. Dopiero, gdy minie bezpośrednie zagrożenie, wtedy pojawiają się dolegliwości typu bólów głowy i migreny. Miałem pacjentkę, której mąż był pilotem wojskowym. Latał na szybkich samolotach. Pewnego dnia uległ wypadkowi. Samolot został zniszczony, a pilot w stanie ciężkim znalazł się w szpitalu. Żona oplekowała się nim troskliwie, odwiedzała go codziennie. W chwili, gdy jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, nadszedł dla niej

kryzys. Zalamala się i została przyjęta do mojej kliniki. Powodem były intensywne bóle głowy.

ROZMOWA CZWARTA

Profesor A. M. VEIN, kierownik Kliniki Neurologicznej i Instytutu Medycyny w Moskwie. Wybitny znawca problemów patologii układu wegetatywnego.

— Pana udział w sympozjum poza celem naukowym ma jeszcze inny kontekst.

— Jestem bardzo zainteresowany pracami i organizacją łódzkiego ośrodka, gdyż chciałbym abyśmy podobny otworzyli w Moskwie. Profesor Prusiński jest postacią bardzo znaną w kregach lekarzy-neurologów radzieckich. Przed kilku laty została przetłumaczona na język rosyjski książka profesora Prusińskiego o migrenie.

— Jaki byłby kierunek badań ośrodka moskiewskiego?

— Sądzę, że należałoby oprócz czynników biologicznych uwzględnić także aspekt psychologiczny. Jeżeli przychodzi do mnie pacjentka z bólem głowy, to natychmiast pytam ją — Jak tam pani sprawy domowe? Kłopoty z mężem?

Dlaczego boli nas głowa?

Jak dzieci? I tak dalej. Lekarz musi być po trosze i psychologiem. Samo patrzenie w recepty i w wyniki badań pomocniczych niewiele pomoże pacjentom.

— Czy przywiązuje pan większe znaczenie do poszukiwań terapeutycznych czy do dociekań naukowych nad pochodzeniem migreny?

— Jedne nie istnieją bez drugich i w jakimś tam miejscu spotykają się uzupełniając się wzajemnie. Naturalnie dużą wagę przywiązuję do oddziaływania terapeutycznego i farmakologicznego i psychologicznego. W przypadku migreny, podobnie jak w padaczce, chory czuje nadejście napadów. Staje się dokuczliwy, niecierpliw, apatyczny, zna już „swoją” indywidualną drogę rozwijania się choroby. Można pacjenta przygotować na napad. Powinno się także w odpowiedni sposób przygotować otoczenie pacjenta. Należy mu się w takich chwilach większa troskliwość i zrozumienie. Migrena to poważna choroba.

— Przewagę wśród pańskich pacjentów stanowią kobiety czy mężczyźni?

— Zdecydowanie kobiety.

ROZMOWA PIĄTA

Profesor O. SJAASTAD, kierownik Kliniki Neurologicznej w Trondheim (Norwegia), redaktor naczelný czasopisma „Cephalalgia” organu Międzynarodowego Towarzystwa Badań Bólów Głowy.

— Norwegia to kraj o krystalicznie czystym powietrzu. Czy zatem ze względu na nieskażone środowisko naturalne liczba chorych na migrenę jest w Norwegii niższa niż w innych krajach świata?

— Notujemy bardzo wysoki procent zachorowań na migrenę. W moim odczuciu nie czynniki zewnętrzne, lecz ściśle biologiczne, mają decydujący wpływ na patogenzę choroby i co za tym idzie determinują leczenie chorych.

— Na jakim etapie są badania nad biologicznymi mechanizmami bólu głowy?

— Nie chciałbym wdawać się w dywagacje nad szczegółami, które mogą zainteresować wąskie grono fachowców. To, co może mieć znaczenie dla każdego cierpiącego na ból głowy, to fakt, że poddawane są badaniu ciągle nowe grupy leków. Stan terapii migreny jest wciąż niezadowalający. Oczywiście, w niektórych przypadkach mogą przynieść doraźną pomoc leki najbardziej popularne, ale w przypadku migreny częstej, konieczny jest stały kontakt z ośrodkami leczenia bólu głowy i terapii lekami jak chociażby „Sandomigran” szwajcarskiej firmy Sandoz. (W Polsce dysponujemy odpowiednikiem tego leku pod nazwą „Polomigran”).

ROZMOWA SZÓSTA

Profesor A. PRUSIŃSKI, kierownik Kliniki Neurologicznej Akademii Medycznej w Łodzi, założyciel i długoletni przewodniczący Sekcji Badań nad Migreną Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, twórca Ośrodka Bólów Głowy w Łodzi, przewodniczący komitetu organizacyjnego VI Polskiego Sympozjum poświęconego migrenie i pokrewnym bólom głowy.

— Jest to już VI sympozjum.

— Co pewien czas spotykamy się, aby wymienić poglądy i podzielić się informacjami na temat stanu badań nad migreną i bólami głowy. Sympozja migrenowe urządzane są od 1966 roku przez Migraine Trust w Londynie. Łódzkie spotkania datują się od 1975 roku. Niedawno powołano Międzynarodowe Towarzystwo Ba-

dania Bólów Głowy, które zajmuje się wymianą doświadczeń różnych ośrodków. Istnieją towarzystwa mi-renowe między innymi brytyjskie, amerykańskie, skandynawskie. Wydawane są czasopisma, takie jak „Headache” czy „Cephalalgia”. Jak pan widzi, świat jest bardzo zainteresowany i to nie tylko wymianą doświadczeń, ale przede wszystkim niesieniem pomocy cierpiącym na migrenę.

— Czy można mówić o „szkolach” w studiach nad migreną?

— Istnieje szkoła florencka, amerykańska. Bardzo znanym ośrodkiem jest centrum londyńskie, którego liderami są dr Marcia Wilkinson i dr Clifford Rose. Znaną jest w świecie szkoła australijska, która przed kilkunastu laty, za sprawą odkrywczych prac profesora Jamesa W. Lanza, z impetem weszła na arenę światową. Aby w nauce móc mówić o szkole, musi powstać ośrodek, skoncentrowany wokół twórczej osobowości, która nadaje ton i swoisty kierunek badaniom nad danym problemem. No i muszą być zdolni i aktywni uczniowie, kontynuatorzy dzieła. Łódzki ośrodek jest osadzony w tradycjach dra E. Flatau, który należał do europejskich klasyków badań nad migreną. Jego uczniem był profesor E. Herman, twórca łódzkiej Kliniki Neurologicznej. Ten ostatni był z kolei moim nauczycielem. Teraz w łódzkim ośrodku udało nam się zebrać grupę młodych, bardzo zdolnych ludzi, którzy, jestem pewien, mogą wnieść znaczący wkład w naukę światową.

— W wypowiedziach gości sympozjum przewidywały się dwa czynniki determinujące powstawanie bądź nasilenie się migreny — czynniki biologiczne i psychologiczno-społeczne. W czym pan upatruje przyczyn migreny?

— Jak zwykle prawda leży pośrodku. Podłoże choroby ma zdecydowanie biologiczny charakter. Natomiast co do czynników psychologiczno-społecznych, to myślę, że należą one do dużej grupy czynników prowokujących napady migreny.

— Profesor Csanda wspominał o czerwonym winie.

— Oczywiście. Alkohol jest jednym z takich czynników, czerwone wino, wysokiego gatunku przede wszystkim. Naturalnie czerwone wino i inne wymienione czynniki nie są przyczynami choroby, ale prowokują nasilenie napadów u osób dotkniętych migreną. Poza tym stres, a także okresy po stresie, gdy następuje odprężenie emocjonalne, miesza, niewłaściwy reżim snu, a więc zbyt krótki albo zbyt długi sen. Widzi pan, wszędzie należy stosować złoty środek umiaru. Także jeżeli chodzi o sen.

— A zmiany pogody?

— Może nie tyle same zmiany co fronty atmosferyczne. Moi pacjenci często odczuwają zbliżające się napady, mimo że barometru jeszcze nie wykazuje żadnych zmian pogody. Do pewnego stopnia ludzie cierpiący na migrenę mogą te zmiany przewidywać. Obecnie zajmujemy się współzależnością między warunkami atmosferycznymi a występowaniem migreny. Kilkanaście naszych pacjentów prowadzi bardzo szczegółowe, codzienne zapisy dotyczące ich stanu zdrowia i samopoczucia. Jednocześnie prowadzone są zapisy danych, meteorologicznych. Wydaje mi się, że uzyskane rezultaty mogą być interesujące nie tylko z naukowego, ale przede wszystkim z terapeutycznego punktu widzenia.

— A inne czynniki prowokujące napady?

— Wiatr halny, a z nieatmosferycznych to pozostawanie na czczo, zaparcia, niektóre leki, w tym także antykoncepcyjne, przykre zapachy, a także podróże. Nie tylko ze względu na „gorączkę przed wyjazdem”, ale także na samo przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Często chorzy na migrenę uwielbiają podróże, ale niestety, muszą z nich zrezygnować. Przypuszczam także, że w czasie Mundialu może dochoć do częstego bólu głowy, nie tylko ze względu na grę polskiej drużyny, ale przede wszystkim dlatego, że oglądanie telewizji, zwłaszcza obrazów, na których jest dużo ruchu i szybka akcja, jest czynnikiem prowokującym napady migrenowe.

— Ile czynników tyle rodzajów migreny?

— Nie ma istotnego związku między czynnikami prowokującymi napady i rodzajami migreny, ale rzeczywiście istnieje wiele typów migreny. Migrena zwykła, oczna, której towarzyszą ubytki w polu widzenia, zniekształcenia wrażeń wzrokowych, omamy. Istnieje migrena mieszkawkowa, okoporna, której może towarzyszyć przemijający zez. Migrena brzuszna występuje najczęściej u dzieci.

— Czy rodzaj wykonywanej pracy może mieć wpływ na występowanie napadów migrenowych?

— Wyróżniamy tak zwaną migrenę wysiłkową spowodowaną przez wysiłek fizyczny. Także praca, która odbywa się w niesprzyjających dla organizmu warunkach, w hałasie, w intensywnym świetle czy to słonecznym, czy sztucznym, może sprzyjać występowaniu typowego napadu migrenowego.

— Skąd chory może czerpać informacje fachowe o swojej dolegliwości?

— Oczywiście nasz ośrodek leczenia migreny zawsze służy pomocą. Mamy wprawdzie skromne pomieszczenie, które jest zbyt małe jak na nasze potrzeby, ale udzielamy konsultacji i opiekujemy się ponad sześcioma tysiącami pacjentów. W Anglii wydawane jest czasopismo przeznaczone dla chorych — „Migraine News”, w którym cierpiący znajdują nie tylko porady fachowe, ale także informacje o najnowszych lekach przeciwmigrenowych, tendencjach w badaniach nad tym problemem, czy informacje o możliwościach aktywnego życia dla ludzi cierpiących na częste, cotygodniowe napady.

ANDRZEJ BETULSKI

Marek Czuku

List eklektyczny

Panu Prof. Zdzisławowi Rydyńskiemu

tibi et igni
bo pociągi się mijają
bo spadł ostatni pyłek w klepsydrze
bo zmarło ostatnio paru ludzi
(wśród nich Jarosław Seifert)
bo umarł motyw śmierci
na mojej papierowej sztaludze

dość

o snach chcę pisać
o albańskim księciu
odważnym chłopcu
który jak u Elitisa
„nocą w objęciach pomarańczowych dziewcząt
plamił wielkie stroje gwiazd”
o białym zegarze
jego secesyjnych wskazówkach
i chorym człowieku
wpatrującym się
w biel zbrukana sienią winy

o nocy chcę pisać
in statu nascendi
o księżycu — szarłatanie
którego już dawno nie widziałem
o Edenie Traherne’a
pierwotności Adamowej
szczęśliwej mądrej nieświadomości rzeczy
jadrze radości brudnie pięknie
żądle węzowym życiu świetle

o sobie nie chcę pisać
o poezji
o obieraniu kamieni jak kartofli
o kamiennych gasterbeiterach epoki
o architekturze silnych ludzi
o szukaniu matki
nie chcę

o chaosie i mękach Andriela chcę pisać
o kobiecie imieniem „Niezmącona Radość

Zycia”

czekaniu na nią
radosnym cierpliwym
niespokojnym trudnym
o jej niewierności
o tym jak sprawia jej rozkosz cudze cierpienie

o oknie Kafki chcę pisać
które zastąpiło mu „dowolne jakieś ramie
na którym mógłby się wesprzeć”
o gwarze i zamęcie ulicznym
przenoszącym go do ludzkiej społeczności

o pomarańczę chcę pisać
którą chciałem podzielić się z tobą
chyba trzy lata temu
i o roku który z niej popłynął
potoku zawiści pożałdliwości bezwzględności
zła wszelkiego

nie ma tam miłości
miłość jest tylko w Bożej definicji

żegnaj murami otoczoną

Trzy obrazy

I. Paolo Uccello — „Bitwa pod San Romano”

gestwa lanc
utrzymuje walczących
w symetrycznym porządku
krople krwi
wsiąknęły w czerń nieba
masakrę zastąpiły:
błysk zębów czarnego konia
geometria
i wspaniała naiwność dziecka

II. Claude Monet — „Katedra w ROUEN”

rozplywające się kontury katedry
w niespokojnej wizji nieba
burzą hierarchię
waloru
barwy
patos
dajcie mi światło
a poruszę powietrze

III. Pablo Picasso — „Sfinks”

kwadrat do prostokąta
fałujące zielenią i szarością
wyznaczają punkty widzenia
wszechwidzące oczy
demon kobiecości
i zakrzywienie grawitacyjne Einsteina

IV.

dołajmy geometrię
światło
i grawitację
otrzymamy
zgarbionego starca nad płótnem

Zona poety

zona poety
nosi w sobie wiersz
rośnie on wraz z oddechem
dziecka nie narodzonego
dojrzeć w ruchu ręki
ukazującym błękit

zona poety
kreślona szarościami
wymyka się antologiom
zanika
wraz z błędnym obliczem
nieskończonej miłości

zona poety
podróżuje między kartką a sklepem
śni o różu drzew
i czeka
a czekaniu jej...



Foto: Włodzimierz Parys

Jerzy Putrament

(14 XI 1910 – 23 VI 1986)

W Warszawie zmarł w wieku 75 lat Jerzy Putrament, wybitny pisarz, prawdziwie aktywny działacz polityczny i społeczny, czołowy animator życia literackiego i kulturalnego w całej powojennej historii Polski. Te trzy zakresy działalności: literatura, polityka i kultura tworzą w biografii Putramenta wyjątkowo nierozerwalną całość. Z doświadczeń polityki wywodziły się idee i intencje literatury uporczywie propagowane we własnej twórczości i na łamach redagowanych przez niego czasopism.

Urodził się w Mińsku na Białorusi. W latach 1930 – 1934 studiował filologię polską na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W tamtym okresie właśnie kształtują się podstawy światopoglądowe przyszłego pisarza. Putrament obok Teodora Bułnickiego, Czesława Miłosza, Jerzego Zagórskiego, Henryka Dembińskiego, Józefa Maślńskiego i Stefana Jędrzychowskiego należy do głównych współtwórców grupy literackiej, skupionej wokół wileńskiego pisma „Zagary”. W geografii ówczesnego życia literackiego grupa ta wyróżniała się szczególnym powiązaniem celów artystycznych i ideowych. Na łamach „Zagarów” toczyły się znaczące dyskusje na temat społecznych ról sztuki jako istotnego instrumentu oddziaływania etycznych, moralnych i politycznych. Zarówno publicystyka jak i twórczość zagaryistów odpowiedzialnie podejmowała, z krytycznym i lewicowym nastawieniem, najważniejsze problemy ówczesnej rzeczywistości.

W tym czasie Jerzy Putrament należał także do nielegального Związku Lewicy Akademickiej „Front” powstałego z inicjatywy KPP. Następnie był jednym z współredaktorów czasopism „Poprostu” i „Karta”, a w roku 1937 został oskarżony i sądzony w głosnym wówczas procesie grupy Dembińskiego o uprawianie propagandy komunistycznej.

Po wybuchu wojny w roku 1939 przebywał początkowo we Lwowie a od roku 1941 w Moskwie. Tam jest jednym z

współtwórców Związku Patriotów Polskich i Armii Polskiej. W I Dywizji im. T. Kościuszki pełnił funkcję oficera oświatowo-politycznego. Po wyzwoleniu podejmuje pracę organizatorsko-redaktorską w tworzeniu prasy m. in. „Rzeczypospolitej” w Lublinie i „Dziennika Polskiego” w Krakowie. W latach 1945–1950 pracuje w służbie dyplomatycznej: jako poseł PRL w Szwajcarii, ambasador we Francji, przedstawiciel w ONZ. Od roku 1949 jest aktywnym działaczem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (zastępca członka KC, a w latach 1964 – 1981 członek KC). W latach 1950 – 1956 pełnił funkcję sekretarza generalnego a następnie wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego ZLP. Od roku 1966 po dni ostatnie kierował redakcją czołowych czasopism, najpierw „Miesięcznika Literackiego” a potem „Literatury”.

To najważniejsze obowiązki, jakie w swojej niezwykle bogatej i aktywnej biografii wykonywał Jerzy Putrament — działacz i polityk. A przecież można powiedzieć, że w całym powojennym czterdziestoleciu nie było żadnego istotnego wydarzenia, żadnej ważnej inicjatywy, w których Putrament by nie uczestniczył bezpośrednio bądź pośrednio jako publicysta i dyskutant. Rekapitulując i zamykając dzisiaj tę niezwykłą biografię nie sposób oprzeć się pytanii kiedy powstały jego liczne powieści, tomy wspomnień, setki felietonów i tekstów polemicznych, kiedy znajdował czas pośród tylu licznych obowiązków na tworzenie zadziwiająco płodne, czynną i artystycznie wartościową?

W ciągu przeszło półwiecza (Putrament debiutował w roku 1932) do rąk czytelników trafiły cztery tomy poezji, osiemnaście tomów powieści i opowiadań, śledem tomów publicystyki, trzy tomy reportaży z zagranicy, pięć tomów literackich fascynacji autora życiem przyrody (pasje wędkarskie!), osiem tomów wspomnień z cyklu „Pół wieku”, a dorzucić by trzeba do tych wyliczeń jeszcze znakomite stu-

dium o strukturze nowel Prusa oraz powieść kryminalną.

Rzecz zresztą nie w ilości. Jerzy Putrament przez cały okres swojej twórczości miał swoich zagorzałych zwolenników i równie bezkompromisowych krytyków. Nigdy jednak nie odstępowali go czytelnicy co poświadczają liczne wznowienia jego powieści, ekranizacje filmowe i adaptacje teatralne. Żadna z jego książek nie była przemilczana bo też żadna nie odwracała się od aktualnej rzeczywistości. Czy „Wrzesień” (1950), czy „Rzeczywistość” (1947), „Rozstaje” (1954), „Pasierbowie” (1963), „Malo-wierni” (1967), czy wreszcie „Baldyn” (1969) podejmowały problemy żywe, nietłumione dla literackiej syntezy, politycznie skomplikowane a jednocześnie ważne i — powiedziałbym — konieczne w kształtowaniu ideologicznej świadomości współczesnych pokoleń. I nie była to twórczość — jak chcieliby ją oceniać niektórzy krytycy — koniunkturalna czy doraźnie propagandowa. Tłumaczy się ona konsekwentnie i prostolinijnie (jakby pomimo politycznych meandrow naszej powojennej historii) przez cały jednolity wymiar biografii Jerzego Putramenta, czy był to jej czas wileńskich studiów, powojennych wyborów, czy też czas lat pięćdziesiątych, potem październikowej odnowy czy wreszcie ostatniego pięćdziesięcia.

Na koniec tego pośpiesznego i na gorąco pisanego tekstu nie mogę nie powiedzieć jeszcze jednego: Jerzy Putrament już za życia stał się legendą naszej powojennej kultury. Jego pasje, ostrość polemik i dyskusji, biograficzny eksperyment w, na bieżąco pisanych, pamiętnikach, nawet zrzedliwy ton felietonów były nieodłączną przyprawą decydującą o swoistości smaku życia literackiego przez całe dziesięciolecie. Śmierć Jerzego Putramenta tworzy puste miejsce, które niełatwo będzie zająć komukolwiek i kiedykolwiek.

(GRZG)

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

NIEWYPAŁ

Dom Stanisława Sołtyka, w którym Osiński był, a szczególnie żona jego, już poważna matrona a wielka adoratorka sztuk teatralnych przez Osińskiego tłumaczonych, zapragnęła wystawić jedną z tych sztuk przez amatorów, na dochód ubogich na teatrze warszawskim, wybrano więc „Horacjusów”, rozdano role. Stary Bogusławski przyjął na siebie rolę starego Horacjusza, pani eks-podstolina koronna Stanisławowa Sołtykowa zażądała i wybrała sobie rolę Kamilli, a naturalnie Osińskiemu, jako tłumaczowi i najlepiej czującym i deklamującym, przypadła rola młodego Kurjaczusza. Osiński zajął się nauką i deklamacją innych aktorów i z wielką wystawą przedstawiano sztukę wobec tłumnie zebranych w łóżach i parterze widzów. Gra udała się wybornie i z uniesieniem klasycznym, lecz deklamacja tragiczna nie okryła komizmu osób grających. Sołtykowa komicznie wystawiała postać Kamilli, młodej, pięknej, w której się kochał taki atleta, jakim był Kornelowski Kurjaczusz. Matrona już dobrze podziła, otyła, choć wzrostu wysokiego, psuła wrażenie i odjęła całą iluzję miłosną; Kurjaczusz polski, to jest Osiński, mały, pękaty, choć, jak to trywialnie mówią, czupurny, choć cudownie wymówił: „A ja ciebie znam jeszcze”, choć zbroją i kaskiem starożytnym się nadstawiał, całą postacią swoją także nie sprawił iluzji. Nazajutrz w pismach publicznych wyszły zdania o grze aktorów. Godebskiego artykuł był nieco uszczupliwy dla osób i obrazu. Osiński na niego odpisał. Godebski skwapliwy do satyry, napisał ją, a w niej tymi dwoma wierszami dotknął Osińskiego:

Nie wszyscy wszystko możemy, tyś był
wczoraj światłedek,
Febus ci twarz pokazał, Melpomena — zadek.

Tyle Kajetan Koźmian w „Pamiętnikach” (Kraków 1865), do którego wspomnień dodać warto kilka słów komentarza. Karolina z Sapiechów Sołtykowa zdecydowała się na wystawienie corneille’owskiego dramatu 28 kwietnia 1802 r., ale już następnego dnia oprócz złośliwych recenzji pojawiła się w Warszawie fraszka, która ostatecznie przypieczętowała dalszy los sztuki:

Jak piękne sentymenty! jak wielki Horacy!
Z uniesieniem powszechnym wołali Polacy,
Co za dzieło! wyniosłość! jak wyborne myśli!
Klaskali... ale przecie drupi raz nie przyszli.

A nie przyszli zapewne na skutek wykpienia sztuki przez towarzystwo z pałacu Pod Blachą, które nadal pozostało wierne cudzoziemskiemu. Fraszki anonimowego autora odnotował w „Epigramatach bezimiennych pisarzy naszych” Ignacy Piotr Legatowicz (Wilno 1854).

ZAGRANICZNI

Niektórzy się z tego szczycą,
Ze bywali za granicą.
Lecz nieszczęsna dola bywa:
Ciele wyszło, wół przybywa,
Bo mówią, że i w Paryżu
Trudno zrobić z owsa ryż.

Mozaika. Epigramaty albo fraszki (ucinki) ułożył i napisał oryginalnie F. Świerczyński (rękopis).

NAJLEPIEJ BYĆ NAUCZYZIEŁEM

Za prefektością Jarkowskiego jeden z nauczycieli domowych, Filip Spendowski, nie wzywający jeszcze do tego mozołnego powołania i niecierpliwie się przyszedł do prefekta Jarkowskiego radzić się, co ma z sobą począć, że nie widzi celu żadnego na przyszłość w nauczycielstwie domowym i że wolałby pojechać do uniwersytetu dla wykształcenia się na lekarza lub prawnika, a następnie prosi o radę, czy ma zostać lekarzem, czy prawnikiem. Na co mu stary prefekt Jarkowski miał odpowiedzieć:

— Dobrze być lekarzem, bo ludzie często chorują, dobrze być i prawnikiem, bo ludzie ciągle się kłócą, ale najlepiej być belfrem, bo ludzie nigdy nie przestają dzieci głodzić.

Aleksander Kozieradzki: Wspomnienia z lat szkolnych 1820–1831. Wrocław 1962.

O KORNUTACH ZA ŻONAMI

Często niewinne żony małżonkowie winią,
I że im rogi na tibi jak satyrom czynią.
Lecz każdy niech swej spyta; wiem, tak mu
odpowie:
„Niech będzie róg, gdzie trzeba, nie będzie na
głowie!”

Wespazjan Kochowski (1633–1700).

MARK TWAIN O KORZYSTANIU Z KSIĄG

Mark Twain, zapytany kiedyś przez pewnego nudnego reportera o pożytek, jaki przynosią książki, odpowiedział:

— Wartość książek jest rozmaita. Oprawione w skórę, mogą służyć jako rzemień do ostrzeżenia brzytwy. Cienkie brzuszy z powodzeniem można podkładać pod nogi chwiejącego się stołu. Grube mogą doskonale służyć w razie napadu do obrony.

„Kurier Literacko-Naukowy” 1931 nr 38.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA



29 czerwca, w BWA przy ul. Wólczańskiej 31 otwarto wystawę będącą dorobkiem twórczym dzieci i młodzieży z łódzkich szkół i domów kultury. Będzie ona czynna jeszcze do 6 lipca. Na zdjęciu: fragment ekspozycji.

Foto: Witold Werner

Niecierpliwość

Memu ośmiolletniemu synowi bardzo spodobala się okładka tej książki: kawałek jasnozielonej z wierzchu darniny, wyścięty w kształcie Polski, z lekko skrzywionym znakiem drogowym „dwa niebezpieczne zakręty — pierwszy w prawo”. Mnie też się spodobala ta okładka książki Karola Stryjskiego „Czas przeszły niedoskonały” — ten przedrzewiały znak, symbolizujący niewątpliwie nasze zakręty i krzyżysy, sterzający akurat gdzieś między Zgierzem a Kutnem; między Łowiczem a Łęczycą czyli w stronach, które znamy dobrze nie tylko z mapy, w kraju mojego dzieciństwa i dziennikarskiego terminowania, przemierzonym po wielokroć autobusami, „okazjami”, furmankami i na piechotę.

Ta zupełnie przypadkowa zbieżność pomysłowi grafika z bliskim mi rzeczywistym „środkiem Polski” skłoniła mnie do przeczytania książki Stryjskiego z punktu widzenia centrum — nie politycznego, a właśnie

geograficznego i może nieco socjalnego. Mam tu na myśli średniactwo, ową „milcząca większość” — zrodzoną w typowych warunkach „ni wyżyny, ni nizin” — ot, takiej gminy, mającej się średnio i myślącą z przeciętną intensywnością oraz takimże napięciem intelektualnym.

Karol Stryjski jest nauczycielem akademickim w wielce delikatnej dziedzinie nauk politycznych. Wykłada je studentom różnych kierunków, na ogół inżynierskich. Ci młodzi ludzie, nafaszerowani miłami, uprzedzonymi i uproszonymi, których nie niewczyta szkoła średnia, ucząc historii metodą zapamiętywania dat, przeważnie są skłonni do protekcyjnego traktowania tego dodatkowego, choć z formalnych względów ważnego, przedmiotu edukacji. W studenckim podejściu do kwestii nauk politycznych dominuje oportunizm, wywołany niewątpliwie przez system dyscypliny studiów i konieczność „zaliczenia”. Spro- wadza się to do wyuczenia i

odklepania kilkudziesięciu formułek. Dopiero gdy okaże się, że taka postawa nie jest konieczna (a czasem nawet, zależnie od temperamentu wykładcy, może być szkodliwa), następuje pewna specjalizacja studentkiego środowiska. Większość popada w odrętwienie, wyłoniwszy spośród siebie delegatów, obarczonych misją zaabsorbowania uwagi „pana doktora”. W każdej grupie znajduje się paru takich aktywnych specjalistów od zadawania tzw. trudnych pytań, uprawiania w zakłopotanie, prowokowania dyskusji. Sądzę, że to dzięki nim powstała książka Stryjskiego...

Jest to esej, zawierający „bagaż własnych przemyśleń nad dziejami Polski Ludowej”. — Jak ujawnia sam autor. Sądzę wszakże, że Karol Stryjski „spakował się” ze swymi refleksjami nie całkiem do- wrotnie — myślę, że to właśnie trudne pytania, powtarzane po wielokroć przez kolejne roczniki studentów, zezłościły go w końcu, a jednocześnie doprowadziły do jakiejś syntezy, do ukształtowanego dla własnego użytku systemu interpretowania dziejów.

„Czas przeszły niedoskonały” zrodził się z tej złości, ze zniecierpliwienia koniecznością odpowiadania na te same, odwieczne pytania. Uzbieranego bagażu starczyło akurat na książkę, która nie rości sobie

pretensji do miana kompletnej objasnienia zawłości naszej powojennej historii, ani nie jest podręcznikiem akademickim. Jest wyraźnie adresowana do młodych czytelników, ale nie przez wykładawcę, raczej przez starszego brata. Przeto biada temu, kto z tą książką w ręku chciałby przygotować się do egzaminu. Za dużo w niej kwestii otwartych, a za mało kategoriicznych odpowiedzi...

Rozważanie szczegółowych kwestii politycznych nagromadzonych przez autora nie jest moim zamiarem; nie chcę oceniać, czy słuszne są diagnozy Stryjskiego. Większość z nich zgadza się z moimi prywatnymi przemyśleniami, przede wszystkim z bogactwem argumentacji, którą sam zwykłem się posługiwać.

Gdybym miał jednak zakwalifikować książkę Stryjskiego... Sądzę, że mieści się ona w tym nurcie intelektualnym interpretacji dziejów „na nowo”, który można by nazwać „osią Raportu Kubiśka” — w odróżnieniu od wektorów wyznaczonych przez spiskową teorię historii czy przemyslenia cynicznych „idealistów” z kregu „Tygodnika Powszechnego”. Istota nurtu, w którym tkwi esej Karola Stryjskiego, sprostować się do gromadzenia możliwie największej ilości racjonalnych tłumaczeń i powodów „dziania się” historii, do uporczywej demitologizacji zdarzeń,

ludzkich postaw, gestów i programów. Powstaje w ten sposób zgrzebna wersja historii — daleka od karmazynowych erupcji „idealistów” czy opowiadań w stylu Jamesa Bonda, wciskanych przez „spiskowców”. Ale tylko ona ma szansę na dalszą metę, zwłaszcza dla średniaków. Żywią bowiem najgłębsze przekonanie, że uporczywe niwelowanie niedostat- ków historycznej edukacji w świadomości zbiorowej Polaków, w naszym życiu publicznym, dokonywane poprzez upowszechnianie wyjaśnień najprostszych i logicznie spójnych, doprowadzi w końcu do odwrócenia się obywateli PRL od kontemplowania cudów i niesamowitości we własnych dziełach.

Na karcie tytułowej „Czasu przeszłego niedoskonałego” wypisuje Stryjski maksymę do czytelników:

„Jeżeli rozumiemy „dzisiaj”, to możemy powiedzieć, że znamy „wczoraj”.

Gotów jestem zgodzić się z tym zdaniem, pod warunkiem, że Karol Stryjski zaakceptuje taką oto sentencję:

„Jeżeli rozumiemy „wczoraj”, to możemy powiedzieć, że wiemy, co będzie „jutro”.

TOMASZ SAS

Kronika kulturalna

POD znakiem młodości upłynęły koncerty: płytowy i sobotni w Filharmonii Łódzkiej. Występowali dyplomanci Akademii Muzycznej w Łodzi. A byli to: Janusz Bieżyński (altówka), Rolf Bartkiewicz (flet), Tomasz Guz (skrzypce), Grażyna Wendland (skrzypce), Tomasz Sopór (róg), Cezary Sanecki (fortepian). Wykonywali utwory F. Mendelssohna-Bartholdiego, R. Straussa, F. Liszta, K. Szymanowskiego, G. Reinecke i L.v. Beethovena. Solistom towarzyszyła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej pod batutą Renarda Czajkowskiego.

Młodym dyplomantom życzymy wielu sukcesów.

CHOCIAŻ lato w pełni i kanikuła już trwa, to galerie serwują pozostałym w mieście łodzianom i przybywającym do nas gościom, wciąż nowe interesujące wystawy. I tak: w Galerii Łódzkiej „Tendencje i osobowości w sztuce łódzkiej”. Salon Sztuki Współczesnej prezentuje fotografie Adama Idzińskiego.

Natomiast w Ośrodku Propagandy Sztuki czynny jest „Łódzki Salon Wiosenny”. I jeszcze w Galerii Sztuki BWA 1 lipca otwarta została wystawa malarstwa Mariusza Kowalskiego.

BARDZO interesująca zapowiada się tegoroczna „Sopockie Lato 1986”. Jedną z imprez wzbudzającą ogromne emocje jest „Old rock meeting”. Będzie to koncert w którym wystąpią: „muzyki młodzieżowej” lat 60-tych. Wśród bohaterów imprezy zobaczymy i usłyszymy m.in. Bogusława Wyrobka, Helenę Majdaniec, Wojciecha Korde, Ade Rusowicz, Wojciecha Skowronskiego, Halię Frackowiak, Wojciecha Gassowskiego, Zespół Breakout i Czesława Niemena. Niewątpliwie największą sensacją będzie występ Michała Burana dawnego solisty zespołu Rhythm And Blues, od lat mieszkającego w Stanach Zjednoczonych i występującego obecnie na całym świecie pod pseudonimem John Mike Arlow. Ten jeden z najświeższych w ostatnich latach piosenkarz, kompozytor, autor tekstów, aranżer zdobył wiele nagród i autor przebojów z radością zgodził się wystąpić w Sopocie i przypomnieć swoje dawne przeboje, którymi debiutował, ale przedstawi także najnowsze utwory.

Kierownictwo muzyczne całej imprezy sprawują Janusz Popławski i Ryszard Poznański, obowiązkami kierownika artystycznego pełni Franciszek Waliński. Koncerty reżyseruje Andrzej Kossowski.

W dniu ukazania się tego numeru „Odgłosów”, a więc 2 lipca otwarta zostanie w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa pt. „Iwanowska tkanina drukowana XVIII—XIX w.”. Wykorzystano zbiory Państwowego Zjednoczonego Muzeum Historyczno-Revolucyjnego w Iwanowie

O młodej poezji bez entuzjazmu

Wydaje się, że bezpowrotnie minęły czasy, kiedy poeci kroczyli dumnie w pierwszym szeregu awangardy artystycznej, burzyli gmachy starych poetyk i z dnia na dzień budowali nowe, porywali do czynu i mocą swoich słów i postaw wywierali przemożny wpływ na szeroko pojętą kulturę kraju. Poeci, niczym papirak lakmusew, wyrażali aktualne potrzeby i nastroje, stawali się dotrzymać kroku zmieniającej się rzeczywistości, wyrastała z twórczego autentyzmu, aktywności — brala na siebie odpowiedzialność i dlatego byli jej obce wszelkie przejawy bezkrytyczności, zaślepienia czy koniunkturalizmu. W zależności od zastanej sytuacji bywali poeci reprezentantami grup społecznych, pokoleniowych, grupowań literackich i politycznych, bywali senatorami i trybunami, ale o coś walczyli,

czegoś pragnęli, coś ich bolało, z czymś nie mogli się pogodzić. Wzorce i autorytety są niezbędne, choćby po to, aby można było buntować się przeciwko nim. Sprzeciw był zawsze nieodłącznym atrybutem młodości, w niekonwencjonalny sposób atakującej swych mistrzów i nauczycieli, a przecież zakorzenionej mimowolnie w bardzo konkretnej glebie kulturowej, stanowiącej podstawę twórczej egzystencji każdego artysty. Właśnie bunt był może nieco paradoksalnym, lecz jakże plodnym nawiazaniem do tradycji, bez której nie może być mowy o celowości jakichkolwiek poczynaniach literackich. Stagnacja, bezruch, niemoc to śmierć literatury, śmierć poezji. Rozumieli to doskonale debiutujący po wojnie Bursa, Wojciech czy Stachura, legendarni już barwowie swego pokolenia, poeci odważni, bezkompromisowi, niepokorni.

Tymczasem, jeżeli w młodej prozie polskiej dzieje się wiele niezwykłych ciekawych i obiecujących rzeczy, to najnowszą naszą poezję opanował jakiś zdumiewający marazm, jakaś wszechogarniająca bezsilność, nie napawająca bynajmniej optymizmem, jeśli chodzi o prognozy na najbliższe lata.

Do sformułowania tej garści gorzkiej refleksji skłoniła mnie lektura dwóch tomików wierszy młodych poetów, prezentujących swoje utwory w wydawnictwie przez Wydawnictwo Łódzkie „Biblioteka Poetyckiej” (notabene interesującej, i co jest ostatnio rzadkością, starannie opracowanej graficznie. Oceniając w miarę możliwości na zimno i bez emocji, na największą uwagę zasługują chyba „Pejzaż domowego ogniska” Marka Graja, choć i jemu można by zarzucić nadmierną miejscami płaczliwość, subiektywizm i defetyzm. Marek Graja jednak umiejętnie wykorzystuje swój najbardziej błyskotliwy atut, jakim jest niezaprzeczalna pomysłowość jego wierszy. Celne, nierzadko dociepne, czasem przekorne i zaskakujące puenty nadają utworom Marka Graja szerszy, filozoficzny wymiar, syntetyzują i uprawomocniają tę poezję, która dzięki temu daje się od-

nieść do pewnego realnego systemu wartości, przestaje być poezją „próżniową”, hermetyczną. Chwilami „Pejzaż domowego ogniska” przypomina nieco twórczość poetów angielskich ze słynnej grupy liverpolskiej, szczególnie Briana Patena i Adriana Henri, piszących często nie całkiem serio, z przymrużeniem oka, kabaretowo, radośnie. Niestety, w przeważającej większości swych wierszy autor z masochistyczną lubością oddaje się samobiczowaniu, zapominając jakby, że nawet o cierpieniu prawdziwym, nie wyimaginowanym, nie opowiada się jękami, które choć efektowne, umotywowane są jedynie bólem i nieczym więcej. Wielka szkoda, że tak znakomity wiersz jak „Baika”, zapominający naprawdę duże możliwości autora, niekiedy w odcieniu pesymizmu i beznadziei, choć właśnie wymienioną już „Baiką” i kilka innych utworów pozwala sądzić, że „Pejzaż domowego ogniska” nie będzie ostatnim słowem Marka Graja.

Przykro o tym pisać, ale „Na własny rachunek” Czesława Mirosława Szczepaniaka jest pozycją chybną — „poezja o robeniu jałeczniczy” sama w sobie nie jest jeszcze niczym nagannym, jeśli jednak docho-

dzi do tego miłośność myślowa tekstów, banalność spostrzeżeń i wniosków, irytująca i nawią- ną pretensjonalność, to niełatwo przejść nad tym zjawiskiem do porządku dziennego. Kogo mogą zainteresować intymne zwierzenia autora, które są dla niego celem samym w sobie, pozbawionym jakiegokolwiek kontekstu? Kogo wzruszy fakt, że za oknem sroga zima, cierpiący na brak pieniędzy autor bezskutecznie oczekuje na listonosza, ale nie poddaje się i wielkim głosem odkrywczo woła: „TRZEBĄ ZYC”? Pisanie na siłę, kiedy nie ma się nic do powiedzenia, przynosi oplakane rezultaty, podobnie jak popadanie w neurasteniczne samouwielbienie, wznoszące między poezją i czytelnikiem nieprzenikliwą, bezsensowną zaporę. Poetów u nas dostatek, ale tej bitwy możemy nie wygrać — buntu na Campo di Fiori nie będzie.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Marek Graja — „Pejzaż domowego ogniska”, Wyd. Łódzkie, 1986, nakład 1000+300 egz. Czesław Mirosław Szczepaniak — „Na własny rachunek”, Wyd. Łódzkie, 1986, nakład 1000+300 egz.

Teatry w Gorzowie

Gorzowskie Spotkania Teatralne zapoczątkował teatr gospodarczy prezentując „Tamerlana Wielkiego” Christophera Marlowe’a w reżyserii Wiesława Górskiego. Polska prapremiera tej sztuki odbyła się 8 marca 1986 r. w Gorzowie. Spektakl przyjęto z zainteresowaniem. Jeżeli zaakceptować stylizację teatralnej zabawy zaproponowanej przez reżysera, to przedstawienie rzeczywiście może się podobać. Opowiada o niepoohamowanej żądzy władzy, przesycone wschodnim kolorytem, czasem może nazbyt kpiarskie, a jednak efektowne w czym też ogromna zasługa gorzowskich aktorów: grającego główną rolę Mirosława Gawlickiego oraz Wojciecha Gawełki, Zbigniewa Moskala, Marka Czyżewskiego, Wiesława Sokolowskiego, Małgorzaty Woźniak i innych.

Jako pierwszy z teatrów przyjezdnych wystąpił Teatr Narodowy z „Sonatą Belzebuba” Stanisława Ignacego Witkiewicza w reżyserii Jerzego Krasowskiego. W przedstawieniu tym, jak chciał Witkacy, dźwięność spłata się z pospolitością. Tylko tej ostatniej trochę jakby za wiele, zdarza się, że przechodzi w tandetę. Sporo scen śmiesznych, ale nie w sposób witkacowski. Zabrakło też owej demoniczności, którą w sztuce o wątku faustycznym winna być bardziej wyrażona. Ogromnie trudne zadanie ak-

torskie miał Tomasz Budyta grający Istvana, kompozytora zmagającego się z tymi i w formie. Zbudował postać konsekwentną, przekonywającą, pełną wahań, lęku, ale i nadziei na stworzenie czegoś wspaniałego. W spektaklu warszawskim, wzięło udział wielu znanych aktorów (Ewa Krasnodębska, Halina Kossobudzka, Józef Nalberczak, Bogusław Bilewski i inni) wśród nich szczególnie dała się jednak zauważyć Jadwiga Polanowska w roli cioci Istvana. Niezbyt to wielka rola, ale zagrana dynamicznie, wyraziście, zabawnie.

Ze sztuką Witkacego przyjechał także teatr szczeciński. Przedstawił „Matkę” w reżyserii Ryszarda Majora. „Matkę” wystawiano już wielokrotnie. Major bardzo trafnie obsadził główną rolę, powierzając ją Ewie Wrońskiej, która stworzyła postać dwoistą, pełną miłości i nienawiści do syna. Jest pełna sprzeczności, tak jak świat, w którym przyszło jej żyć. Ale przy tym swoim poświęceniu, będącym nałogiem, jak to pijactwo, w które popadała, nie tak znowu zaślepiona bez granic, a przez to nam bliższa, bardziej przekonywająca. I jednak... witkacowska. Poradził sobie z rolą Jacek Piątkowski jako syn, ale już na pewno nie wolno nie wspomnieć o wspaniałej Dorocie Elżbiety Okupskiej.

Nie zawiódł gorzowski pu-

bliczności gdański Teatr Wybrzeże, który prezentował „Wielki sad” Antoniego Czechowa w reżyserii Krzysztofa Babickiego. Spektakl znany, już doceniony, w świetnej obsadzie aktorskiej — Halina Winiarska, Joanna Bogacka, Sławomira Kozieniec, Wanda Neumann, Elżbieta Goetel oraz Henryk Bista, Stanisław Michalski, Stanisław Dąbrowski i inni. Publiczność z ogromnym zainteresowaniem obejrzała przedstawienie, w którym właściwie nie ma intrygi, ale które, choć nie zagrane melodramatycznie, wzrusza. Przed widzami pojawiła się galeria nielichych postaci, ale za to świetnie pokazanych aktorskich.

Od czterech lat już, to znaczy od chwili, kiedy Gorzowskie Spotkania Teatralne stały się imprezą ogólnopolską, Gorzów odwiedzany jest przez Teatr im. Stefana Jaracza z Łodzi. W tym roku była to „Kreacja” Ireneusza Fredyńskiego w reżyserii Feliksa Falka. I tu obecny jest motyw faustyczny, mistyczny. Obserwujemy narastanie buntu człowieka, trochę szaleńca, na pewno alkoholika, ale też na pewno artysty. Grający te postacie Ryszard Kotys nie popisuje się, buduje ją z drobnych gestów, mało wyrazistych, używa niezbyt intensywnych środków aktorskich. Ale przy tym nie niefektowny. Obok niego wystąpił Barbara Marszałek i Maciej Malek.

Po raz pierwszy do Gorzowa zaproszono Teatr Śląski z Katowic i teatr toruński. Pierwszy pokazał „Wyszedł z domu” Tadeusza Różewicza w reżyserii Jana Maciejewskiego, o powieść o człowieku, który u-

padł na ulicy potknąwszy się o skórkę banana i stracił pamięć. Sytuacja ta dla niego jest darem losu, co z tego, skoro jako anormalna nie może być zaakceptowana przez bliskich, przez otoczenie. Przedstawienie dobre aktorskie (Bernard Krawczyk jako Henryk, Bogumiła Murzyńska-Glybin jako jego żona, Joanna Budniok-Machera jako ich córka, Wiesław Sławik — ich syn) w Katowicach grane na małym scenie, bo jak tłumaczył reżyser, nie można było nań zbudować dekoracji, która otoczyłaby aktorów. Na to miejsce bowiem, gdzie toczy się dramat (fragment standardowego mieszkania), trzeba wchodzić z różnych stron i od razu jesteśmy w świecie, w którym wszystko o siebie zahacza, przenika.

Udało się to na szczęście uzyskać także w gorzowskim teatrze, choć spektakl grano na dużej scenie.

Teatr im. Wilama Horzycy pokazał w Gorzowie „Balladynę” Juliusza Słowackiego w reżyserii Krystyny Meissner. Nieporozumieniem było zaanonowanie jej w lokalnej prasie jako spektaklu dla szkół. Jest to bowiem kolejna wersja „Balladyny”, ale odmienna, choć zapewne po inscenizacji Adama Hanuszkiewicza nie spodziewano się już może nowej wizji tej sztuki. W toruńskiej „Balladynie” wiele jest odniesień do współczesności; współczesne kostiumy podkreślają, że dziejące się na scenie sprawy, choć kreowane przez Słowackiego, nie są nam znowu tak odległe. Rzecz przecież nie w opowiadaniu fabuły.

Oprócz „Tamerlana” Teatr im. Juliusza Osterwy w Go-

rzowie pokazał raz jeszcze „Cud mniemany” czyli Krakowiacy i Górale” Wojciecha Bogusławskiego, widowiskowy spektakl przygotowany pod koniec zeszłego roku z okazji jubileuszu gorzowskiej sceny, reżyserował go Antoni Banikiewicz. W tej samej reżyserii jest prezentowana „Spowiedź Sławogina” według „Biesów” Fiodora Dostojewskiego. Spektakl grany w hallu na piętrze, wśród widzów, którzy sledzą naprzeciwko siebie na drewnianych ławkach. Ogromnie mało miejsca zostawiono aktorom (Wiesław Sokolowski w roli głównej i Beata Chorażykiewicz jako Matroszka), przy tym wszystkim „scena” otoczona jest małymi dźwiękami ikon. Ciekawna muzyka, migotanie świateł stwarzają atmosferę skupienia, ciszy. Sugestywna gra aktorów, bardzo „zewnętrzna”, choć nie tylko, jeszcze to potęguje.

Spotkania zakończone premierą prasową „Snu srebrnego Salomei” Juliusza Słowackiego w reżyserii Tadeusza Pliśkiewicza. Przedstawienie to niezbyt udane, zbyt statyczne, zbyt recytatorskie i w tej koncepcji nie przekonujące współczesnego widza. Muszę jednak przyznać, że kilka postaci udało się wybronić dzięki aktorom, że wspomnę tu o Wernyhorze Marku Pudkowi, Leonie Zbigniewa Moskala, Semencie Andrzeja Bysia, Sawie Wiesława Sokolowskiego czy Anusi Aliny Horanin.

KRYSTYNA KUCZYŃSKA

Trzydziesta rocznica śmierci Jana Lechonia (1899 - 1956)

Ostatnie dni życia Jana Lechonia. Z licznych przekazów wiemy, że od 2-3 miesięcy przed tragicznym końcem był w ciągłej depresji. Kazimierz Wierzyński w tygodniu po (15.VI) informował we wstrząsającym liście Mieczysława Grydzewskiego, że depresja ta „nie była stała, ani wydawała się czymś nienowym, i to nas zwiódło”. W „Dzienniku”, do którego poeta skrupulatnie od 30 sierpnia 1949 wpisywał codziennie jedną stronę, ostatni zapis nosi datę 30 maja 1956. Zanotował: „Można zawsze znaleźć w swej inteligencji, woli, sercu coś co pomoże nam w walce z życiem, z ludźmi. Ale na walkę z sobą — jest tylko modlitwa”. Przyszły biograf odtworzył ten czas kilku dni dokładniej, ja ograniczę się do niektórych tylko faktów na podstawie relacji przyjaciół poety. „Na tydzień przed fatalnym piątkiem” — pisze Wierzyński w cytowanym liście — czyli 1 czerwca — „zatelefonoval do mnie Rathaus i powiedział mi, że Leszek czuje się bardzo źle, bo się wraca do domu i sypia u znajomych. Zaraz po tej rozmowie zacząłem telefonować bez przerwy i w sobotę (2.VI) udało mi się go zastać. Umówiliśmy się na poniedziałek (4.VI), pojechaliśmy do Nowego Jorku i zaraz z dworca telefonowałem znowu — bezskutecznie. Szukałem go w poniedziałek do późnej nocy. Potem przez wtorek (5.VI) i spotkałem go do piero tego dnia po południu na audycji. Robił wrażenie zupełnie roztrzęsionego, ale na audycji opanował się i nie zdradzał rozstroju. Wyszliśmy razem, właściwie uciekając przed ludźmi jak to on miał w zwyczaju — i mieliśmy razem spędzić wieczór, tymczasem na ulicy Leszek powiedział mi, że jest zajęty i że zadzwoni do mnie za godzinę. Czekalem na ten telefon na próżno cały wieczór. Wreszcie przyszedłem do przekonania, że trzeba coś zrobić poza nim. Okazało się, że zajęli się nim inni”. Wierzyński po raz ostatni rozmawiał z poetą w środę (6.VI).

Tymczasem w przeddzień, we wtorek, miał być na przedstawieniu „Czekając na Godota” S. Becketta z Marianem Hemarem, który przyjechał z Londynu, i z jego znajomymi. Odmówił wspólnego pójścia do teatru, tłumacząc, iż musi się skupić, bo nazajutrz, o 6 rano, będzie się spowiadał. W ten wtorek był jednakże na seansie psychoanalitycznym u Gustawa Bychowskiego — na umówione czwartkowe spotkanie już nie przyszedł. W środę o godzinie 4 po południu, prowadził audycję radiową o teatrze polskim na emigracji, w dyskusji uczestniczyli Hemar, Ziemowit Karpiński i Józef Wittlin. W „Liście o Lechoni”, piątym 13 czerwca w Montrealu, Hemar opowiada o nadzwyczaj serdecznym pożegnaniu, tuż po tej audycji.

W czwartek, 7 czerwca, był umówiony z amerykańskim adwokatem na śniadanie, przejął on przeciagającą się sprawę o nadanie obywatelstwa amerykańskiego.

O ostatnim dniu życia poety — piątek, 8 czerwca — ściślej mówiąc — o tylko już pół dnia — relacjonuje Wacław Solski. Według aktu zgonu spisane go przez urząd nowojorski, Jan Lechoń wyskoczył lub wypadł ok. godz. 1.35-1.45 po południu z 12 (?) piętra Hotelu Hudson przy 37 Avenue: w różnych relacjach podaje się różne piętra. Ze znanych mi natomiast wspomnień o tej śmierci, jedynie Stanisława Nowicka, znana z okresu



międzywojennego pieśniarza, u której bywał Lechoń i spędził w jej domu ostatni weekend, twierdzi, iż nie popełnił on samobójstwa, więc — wypadł.

Pogrzeb odbył się we wtorek, 12 czerwca, ciało złożono na Calvary Cemetery. Cmentarz ten został zlikwidowany z powodu budowy autostrady, prochy poety przeniesiono. Dokąd? Nie wiem.

* * *

Autora wspomnienia o ostatnim dniu Jana Lechonia przedstawiłem przy okazji przedruku jego wiersza „Dym” („Odgłosy” nr 20 z ub.r.). Z cytowanego listu Wierzyńskiego dowiadujemy się, że do pensjonatu „Patria”, położonego w górach, który Lechoń nieraz odwiedzał, miała jechać Zofia Rejchman; przebywał z nią często, zwłaszcza w ostatnich dniach życia. „Bardzo starsza pani B.” to chyba Cecylia Burr, mieszkająca w posiadłości Lo-nest Valley — Lechoń był tu prawie stałym gościem. Sprostowania domaga się następująca informacja W. Solskiego: to żona Juliusza Sakowskiego, Stefania, „znająca jak mało kto pismo Lechonia” podjęła się niesłychanie trudnego zadania odcyfrowania rękopisu „Dziennika”. „W tej żmudnej i chwilami zdawało się beznadziejnej pracy mógł jej nieraz służyć radą mąż jej”, jak pisze wydawca trzech tomów „Dziennika”, M. Grydzewski w słowie wstępnym.

Istotnie, o wielu pisarzach, acz nie o wszystkich, Lechoń wypowiedział się w „Dzienniku” bardzo krytycznie i — niesprawiedliwie. O Wacławie Solskim („bardzo inteligentny i złośliwy”) i jego twórczości odczytujemy sporo pochlebnych opinii, m. in. pisze o „bardzo niezwyklej noweli” — nie podaje tytułu — opublikowanej w londyńskich „Wiadomościach” (1951): „Na pewno pisane jest to z doskonałą oszczędnością i trafnością słów” (22.VI.51). W zapisie z 15.XII.53, po przeczytaniu fragmentu powieści: „Jakże chciałoby się, aby całość powieści była tej samej klasy, co znaczący, że będziemy mieli powieść całą gębą, czyli raczej całą prozą”. Niewykluczone, iż był to fragment powieści pt. „Rysy twarzy”, z którą zapoznał się Lechoń w maszynpisie. Pod datą 27.III.56: „Przeczytałem tę powieść, nie odrywając się od niej i zaraz dzwoniłem do Solskiego, aby mu podziękować”.

I jeszcze jeden zapis: „Solski — coś bardzo podobnego do Brunka Winawera. Uświadomiłem to sobie, gdy się dowiedział, że jest szachista. To prawie „trade mark” tego rodzaju ludzi: zycznych, humanitarnych, dowcipnych, czasem nawet brutalnie, ale bez złości. Ich kolebka były kawiarnie warszawskie, choć np. Solski pochodzi z Łodzi. Bardzo wzruszające i oby nie zanikające typy” (11.V.56).

Wspomnienie Wacława Solskiego wejście do przygotowanego do druku tomu pt. „Wspomnienia o Janie Lechoni”.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Ostatni dzień Jana Lechonia

WACŁAW SOLSKI

Jestem prawdopodobnie jedynym — albo w każdym razie jednym z bardzo niewielu bliskich Lechońowi ludzi, którzy nie wiedzą, dlaczego Lechoń się zabił. Wszyscy inni mają ustalone teorie co do powodów tego tragicznego samobójstwa. Znam owe teorie, wszystkie są oparte na mniej lub bardziej słusznych założeniach, ale żadna nie jest dla mnie przekonująca. Dlatego czytelnik nie znajdzie w tym wspomnieniu żadnej z nich.

O tym, że Lechoń nie żyje dowiedziałem się w kilkanaście minut po jego śmierci. Kiedy policja znalazła Lechonia z roztrzaskaną czaszką, miał w kieszeni kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu naszego wspólnego znajomego, Tadeusza Bakowskiego. Policja wezwała Bakowskiego dla identyfikacji. Bakowski przyjechał natychmiast do hotelu Henry Hudson, z którego okna Lechoń wyskoczył, i zatelefonoval do mnie.

To było o jakiejś pierwszej po południu. O drugiej tego samego dnia mieliśmy jechać — Lechoń, ja i jeszcze dwie osoby — do polskiego pensjonatu „Patria” w miejscowości High-Mount, trzy godziny od Nowego Jorku, i spędzić tam weekend.

O siódmej rano w dzień śmierci Lechoń zatelefonoval do mnie. Dzwonił czasami o tej porze, zwykle żeby mi opowiedzieć jakąś anegdotę, co zwiastował, zanim jeszcze coś powiedział, jego gardłowy, bardzo głośny śmiech. Myślałem, że i tym razem przypomni sobie coś śmiesznego i przywitalem go jakimś wesołym okrzykiem. W odpowiedzi usłyszałem zdanie, które nie tylko z powodu treści, ale także ze względu na jego zmieniony głos, przeraziło mnie, i które na zawsze zapamiętałem.

— Proszę mi powiedzieć, czy pan wczoraj widział nad moją głową błękitny ptysyk.

Zastanowiłem się przez chwilę, jak mu odpowiedzieć. Wiedziałem — może lepiej powiedzieć, że przypuszczałem — iż depresja, na którą Lechoń często cierpiał, przekraczała granice tego, co się zwykło uważać za depresję normalną, ogarniającą czasami wielu ludzi.

Postanowiłem obrócić wszystko w żart. Powiedziałem, że zobaczyłem nad jego głową nie tylko błękitny ptysyk, lecz również diabła, który grał na mandolinie. Lechoń łatwo było rozśmieszyć, ale tym razem żart się nie udał.

— Pan wczoraj coś widział — powiedział. — Pan mi dał do zrozumienia, że pan coś zobaczył.

Odpowiedziałem mu, że poprzedniego dnia bardzo źle wyglądał, że od pewnego czasu źle wygląda i że powinien pójść do lekarza. Tylko to mu powiedziałem i nic więcej. I że gdybym zobaczył coś nienormalnego — to bym tego przed nim nie ukrył.

— O to właśnie chodzi! — prawie krzyknął. — Pan jest moim przyjacielem, mam prawo domagać się od pana całkowitej szczerości. Jeżeli mi pan nie chce powiedzieć, to trudno.

Lechoń odłożył słuchawkę. Nakreśliłem jego numer, telefon był zajęty. Zadzwońniłem do Wierzyńskiego. Nie pamiętam dobrze, czy do niego, może do kogoś innego. Wierzyński, jeśli to był on, poradził mi, żeby jechać z Lechońiem na wieś i nie wspominać sprawy z błękitnym ptysikiem.

Kilka minut później zadzwonił znowu Lechoń. Mówił jakimś dziwnym, jak oficjalnym tonem.

— Ja dzwonię, żeby się zapytać, o której jedziemy na wieś.

Powiedziałem mu, że o drugiej i dodałem, żeby czekał o tej godzinie przed swoim domem, bo obiecałem, że zabiorę jeszcze dwie osoby, które też będą czekały na ulicy, więc nie chcę się spóźnić.

— Ja pana nie zatrzymam — odrzekł. — Właśnie dzwonię, żeby panu powiedzieć, że będę czekał punktualnie przed domem o drugiej. A jakby mnie o drugiej przed domem nie było, to proszę na mnie nie czekać, bo to będzie znaczyło, że nie jadę.

— No nie, panie Leszku — zaprotestowałem — Albo pan jedzie, albo nie. Jak nie, to niech pan powie od razu.

— Nie powiedziałem, że z panem nie jadę, tylko że może nie zastanie mnie pan w domu, albo raczej przed domem, bo się może wybiorę w inną podróż.

Lechoń nagle wybuchnął śmiechem. Nie był to śmiech sztuczny, tylko najzupełniej zwyczajny, jego charakterystyczny zaraźliwy, gardłowy śmiech.

— Ten diabeł, grający na mandolinie, to ładna figurka — powiedział, kiedy przestał się śmiać. — Zna pan panią B.?

Bardzo starsza pani B., milionerka polskiego pochodzenia, była znaną osobą w polskich sferach. Lechoń często opowiadał o niej złośliwe historyjki.

— Byłem u niej parę dni temu na kolacji — powiedział teraz. — Proszę sobie wyobrazić, że pani B. zaraz po kolacji wzięła papierosa, posmarowała go masłem i zjadła. Ha, ha, ha!

— Pan mi już kiedyś opowiedział tę historyjkę — rzekłem na to. — I przyznał pan wtedy, że ją pan rymował.

— Tak? Zapomniałem. Do widzenia, niedługo się zobaczymy.

Była to moja ostatnia rozmowa z Lechońiem. Później się dowiedziałem, że zjadł tego dnia wczesny lunch z jednym ze swoich znajomych i wprost z restauracji poszedł, już sam, do hotelu Henry Hudson. Znał ten hotel, bo się w nim odbywały polskie dobroczynne bale, a ponieważ kończyły się późno, przyjeździ z okolic często wynajmowali w hotelu pokój na pobawianą noc. Lechoń, odwiedzając któregoś z nich, musiał zauważyć, że okna na hotelowych korytarzach były otwarte.

Ale wtedy, po drugiej rozmowie z Lechońiem, nie przychodziło mi do głowy, że zamierza się zabić. To, co powiedział o „innej podróży”, uważałem za żart. Bo Lechoń był człowiekiem wyjątkowo wesołym, śmiejącym się z byle powodu, często z rzeczy, z których inni ludzie zwykle się nie śmieją. Dobrze pamiętam jego, jak sam go nazywał, „popisowy numer”. Brałem wówczas udział, razem z nim, Józefem Wittlinem i Wierzyńskim, w audycjach literackich „Wolnej Europy”. Polegały na tym, że omawialiśmy w czworójkę jakąś książkę, niekiedy nową, a ponieważ te audycje nie były układane z góry i mówiliśmy to, co nam przychodziło do głowy już przed mikrofonem, miały w Polsce powodzenie. Otóż przed każdą audycją Lechoń demonstrował „żywy obrazek”. Grał pod rękę Wittlina, którego znacznie przewyższał wzrostem, i spacerował z nim po sali z wysoko podniesioną głową, na twarzy malowało się cierpienie. Wittlin miał oczy spuszczone i taki sam wyraz twarzy. Nazywa się to „Kiedy kondukt rusza” i robiło niesamowicie zabawne wrażenie. Inna rzecz, że ta scenka, tak samo jak niektóre inne jego żarty, były, jak sądzię, skierowane ku temu, by zagłuszyć w sobie mniej wesołe myśli, co się wyczuwało.

Inną jego zabawą, którą Lechoń też sam wymyślił, była „zabawa w drania”. Odbywała się zazwyczaj w jednej z niewielu kawiarni w Nowym Jorku pod gołym niebem, którą Lechoń odkrył i w której przesiadywał. Namówił kiedyś i mnie — bez wielkich trudności — do tej zabawy. Polegała na ostrej krytyce jakiegoś ustalonego z góry kandydata, to jest po prostu na mówieniu o kimś jak najgorzej.

— Pan wybiera kandydata — rozpoczął zabawę. — Kogo pan proponuje? Iksa? Muszę się zastanowić. Nie, odrzucam tę kandydaturę. To jest balwan, pan ma rację, ale za mały balwan.

Ani nie drań. Każdy drań jest w gruncie rzeczy durniem, to prawda, ale Iksowi brakuje co najmniej osmiu stopni do tego, żebyśmy mieli się nim zajmować. Proponuję zamiast niego Igreka...

Omówiliśmy różne sprawy Igreka, po czym Lechoń zawał na cały głos:

— Powinien wisieć! Na mocnym sznurku, żeby się nie urwał! Ha, ha, ha!

Kilku przechodniów odwróciło w naszą stronę głowy. Lechoń nie zwracał na nich uwagi i po chwili dodał:

— Jak się o kimś źle pogada, to się człowiekowi robi źle na duszy.

Lubił to, niewątpliwie lubił, ale robił to z humorem, na wesoło, bez nienawiści. I chyba wyłączenie dla własnej przyjemności, bo ze swoich antypatii nie wyciągał żadnych wniosków, nigdy nikomu nie szkodził. Mówił i pisał — ale tylko w „Dzienniku” — o wielkiej ilości ludzi bardzo źle. Juliusz Sakowski, który odcyfrował bardzo trudny charakter pisma i wydał trzy tomy jego „Dziennika” powiedział mi zanim jeszcze książki ukazały się w druku, że ich autor właściwie o wszystkich mówi niedobrze — z wyjątkiem mnie jednego. Przekonałem się o tym, kiedy książki wyszły. Komplementy pod moim adresem i wielce pochlebne oceny moich książek, które czytał w maszynopisach przed ich wydaniem, zdziwiły mnie, bo mi ich nigdy nie wypowiadał. Ale jeszcze bardziej zdziwiło mnie, że w „Dzienniku” nie było bardzo ciekawego humoru Lechonia, jego wesołego uśmiechu, pobłażliwej, w gruncie rzeczy, złośliwości w stosunku do bliźnich i zrozumienia wielu ludzkich działań. Były w nich natomiast tyrady polityczne, podlane często sosen, pewnej czolobitości w stosunku do osób ze świata dyplomatycznego zarówno polskiego jak i francuskiego. Na politykę Lechoń się nie znał i nigdy o niej nie mówił, a wśród wysoko postawionych osób, które w Dzienniku wspomina, był niewątpliwie duży procent kandydatów do zabawy, jeśli nie w drania, to w durnia. Z tego powodu, czytając te trzy tomy, które po sobie pozostawił, uderzała mnie wciąż myśl, że nie ma w nich prawdziwego Lechonia, że prawdziwy, żywy Lechoń był lepszy niż jego wspomnienia.

Widziałem go po raz ostatni w trumnie w domu pogrzebowym. W Ameryce zmarłych, leżących w otwartych trumnach, upiększają, malują im na różowo policzki, podmalowują oczy. Z Lechońiem tego na szczęście nie zrobiono, ale jego rozbitą czaszkę zreperowano w jakiś sposób, zламаń nie było widać. Ale Lechoń, na skutek tych operacji, miał sztuczny, nie jego własny wyraz twarzy i mocno zacienione usta. W sali domu pogrzebowego panowała cisza. Tuż przy trumnie siedziała pani Karol Tiche, po jej twarzy, i po innych twarzach, spływały łzy.

Polemiki • Listy • Opinie

TO NIE POWINNO SIĘ BYĆ ZDARZYĆ

W końcu lat pięćdziesiątych, podczas jednej z wycieczek harcerzy z 30 ŁDH im. Bartosza Głowackiego działającej w hufcu Łódź-Bałuty „Promienistych” napotkali w lesie Okręglik pod Chełmami na terenie obecnego miasta Zgierza masowe groby pomordowanych tam w latach 1939–1940 przez Niemców ludzi. O grobach tych krążyły różne legendy opiewane przez okolicznych mieszkańców i podsyłane przez ówczesną prasę. Mówiono np., że w mogiłach tych leżą dzieci czeskie z Lidic. Wkrótce jednak zorientowano się, że jest to pomyłka polegająca na zbieżności nazw, gdyż dzieci te zamordowane zostały w Chełmie nad Nerem w tamtejszym obozie koncentracyjnym.

Harcerze z 30 ŁDH postanowili zaopiekować się odnalezionymi grobami. W niedługim czasie na polance wśród grobów wkopano trzy wysokie, strzeliste brzoze krzyże, obok których położono trzy płyty nagrobkowe, mówiące o zaistniałej tragedii Polaków w tym miejscu.

Kiedy dowiedziano się, że wśród zamordowanych znajdują się harcerze, całe to oznakowanie grobów pokryła wielka lilja harcerska wzniesiona z ziemi i obwałowana murawą. Na niej to sadzono kwiaty oraz zapalano znicze nagrobkowe 1 i 2 listopada każdego roku...

Wkrótce z inicjatywy harcerzy miasto postanowiło wystawić trwały pomnik poświęcony ofiarom zbrodni hitlerowskich. Miały lata, a marzenia harcerzy o trwałym pomniku zaczęły się spełniać. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1966 wydany został „Przewodnik po miejscach walki i męczeństwa”, gdzie na stronie 242 pod hasłem „Okręglik” poinformowano, że w lesie tym znajdują się zbiorowe, masowe mogiły terroru hitlerowskiego, gdzie w czasie kilku egzekucji zginęło tam około 5.000 osób, w tym wielu harcerzy.

Nowy, tym razem trwały pomnik odsłonięto 1 listopada 1970 roku. Składał się on z czterech ceglanych cokółów, pomiędzy którymi umieszczono urnę z prochami pomordowanych. Wierzchołki pomnika pokryto daszkiem, na którym zawieszono cztery ciężkie metalowe orły.

Każdy niemal rok przynosił dodatkowe informacje tak o mogiłach pomordowanych, jak i o epizodach egzekucji. Kiedy dotarła do harcerzy informacja, że w mogiłach tych zostali pochowani członkowie 16 ŁDH Harcerzy im. gen. Kazimierza Pułaskiego, a także harcerki z 17 ŁDH, rozstrzelani w lutym 1940 roku za przynależność do jednej z pierwszych konspiracyjnych organizacji łódzkich „Legion Wyzwolenia”, miejsce to stało się szczególnie drogie dla harcerzy, a także i innym harcerskim drużynom. We wrześniu każdego roku organizuje się tu apele poległych i ogniska upamiętniające wydarzenia tamtych lat. Przed pomnikiem przez długie lata organizowano przyrzeczenia harcerskie, obietnice zachować i szanować zobowiązania instruktorów.

Niedawno członkowie Ośrodka Harcerskiego „Za Torem” zorganizowali uroczystość 30-lecia powstania tego ośrodka, wykorzystując do nocnego nastroju właśnie to miejsce.

Dlatego też mocno zbulwersowała i zaskoczyła mnie nieprawdopodobna wiadomość przekazana mi przez dła Bolesława Zajączkowskiego o zniszczeniu tego pomnika przez nieznanych sprawców. Rzecz, w którą było bardzo trudno uwierzyć. Bolek Zajączkowski, członek jednej z pierwszych łódzkich organizacji konspiracyjnych „Legion Wyzwolenia”, harcerz z 16 ŁDH, korzystając z tego, że odwiedził go inny harcerz z tamtych czasów, Józef Kaźmierczak, udał się wraz z nim na groby swoich najbliższych przyjaciół w lesie Okręglik. Ponieważ od dawna głośno o zniszczeniu pomnika, punktem orientacyjnym były zawsze orły na pomniku, odbijające się wyraźnie od ciemnej ściany ponad 40 lat leżącego sobie już lasu. Tym razem jednak nie mogli trafić. Orły nie wskazywały im drogi. Wreszcie, na orientację doszli do miejsca. Obraz, który zastali, zaskoczył ich i zdenerwował. Ciężkie, metalowe orły zostały siłą wyrwane ze swoich miejsc i rzucone w krzaki. Nie mogły tego zrobić wyrostki. Nie mieli by na to siły. Taką szkodę mogli tylko wyrządzić ludzie wchodzący w życie dorosłe i to nie jeden z nich, ale cała grupa posługująca się drągami lub innymi przedmiotami, chyba że koroza dała się tak orłom we znaki, że mogła ona zneutralizować siłę ich przyspawania. Urna z prochami zamordowanych częściowo wyrwana.

Odnaleziono orły porzucone w krzakach. Podniesiono je i ułożono na trzech symbolicznych mogiłach. Czwartym zaś zasłonięto uszkodzoną urnę. Na cokołach dziesiątki napisów wykonanych węglem, mazakami, kłopotliwymi ołówkami itp. Niektóre z nich bardzo czytelne, inne zamazane.

Ponieważ sama wiadomość o zniszczeniu pomnika była tak niewiarygodna, że nie do uwierzenia stało się także barbarzyństwo, postanowiłem osobiście przekonać się o prawdziwości tego faktu. Korzystając z wolnej od pracy soboty, udałem się do lasu Okręglik, aby przekonać się o przekazanych mi faktach. Byłem, zobaczyłem i przekonałem się, że moi rozmówcy nie koloryzowali. Co więcej, udało mi się porozmawiać z jednym z okolicznych mieszkańców, który twierdził, że wszelkiego rodzaju napady przez grupy rozwydrzonych wyrostków i wykonywane przez nich szkody mają tu często miejsce. Zdarzają się wypadki, że napadają oni na przechodzących w pobliżu wracających ze szkoły dzieci zabierając im pieniądze i drobne przedmioty — sygnal, że władze porządkowe Łodzi i Zgierza powinny się tym zająć.

Sprawa profanacji miejsc pamięci narodowej występuje już nie po raz pierwszy. Niedawno odwiedziłem teren byłego obozu dziecięcego przy ul. Przedmysłowej. Jest on otoczony murem imitującym słupy utrzymujące druty ogrodzeniowe. Na murze tym wyrzeźbiono nazwy obozów, w których za hitlerowskiej okupacji gnieły polskie dzieci. Na jednym z takich ogrodzeń urządzono napis „RTS Widzew”. Wierzę, że ten popularny klub sportowy ma w Łodzi wielu zwolenników, ale umieszczanie takiego napisu w miejscu pamięci narodowej jest co najmniej nie wskazane.

A przy okazji chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną „legendę” krążącą wokół mogił w lesie Okręglik. Na południe od mogił w kierunku granicy Łodzi znajduje się samotna mogiła z wbitym w nią krzyżem. Niektórzy mówili, że jest to grób więźnia, który próbował uciekać z miejsca egzekucji i tam został zastrzelony. A tymczasem jest to miejsce, gdzie hitlerowcy palili zwłoki swoich ofiar, aby zatrzeć dowody swojej zbrodni.

MIECZYSLAW KOZAK

I bezinteresownie łączą się setki i tysiące ludzi w różnego rodzaju towarzystwa i kół „miłośników” swojego regionu czy miasta. Setki i tysiące ludzi działa w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, w Związku Harcerstwa Polskiego, w ORMO, w LOK czy PCK. Tysiące ludzi zasiada za sądowniczym stołem, uczestnicząc w wymiarze sprawiedliwości w charakterze ławników ludowych i w społecznych organach orzekających, jakimi są kolegia do spraw wykroczeń. A ochotniczo strażą pożarną na wsiach i w małych miastach? — Wszyscy ci ludzie nieprofesjonalnie uczestniczą w działalności wymienionych przykładowo organizacji. Poświęcają swój czas i wysiłek, za który nie otrzymują wynagrodzenia, a nierzadko ponoszą wydatki, które pokrywają z własnych środków, że nie wspomnę o składkach członkowskich wpłacanych na rzecz tworzonych przez siebie organizacji. Wiele można by znaleźć przykładów doraźnego organizowania się ludzi w nieformalne, niezinstytucjonalizowane grupy, celem wspólnego działania w ogólnym, społecznym interesie — budowy wiejskiej drogi, wiejskiej świetlicy czy strażackiej remizy. Spontanicznie powstają w okresie letnim „wiejskie przedszkola” dla zapewnienia opieki dzieciom, gdy dorośli zajęci są pracą przy żniwach.

Nie wymieniam tutaj płaszczyzn współdziałania ludzi w dziedzinach zawodowych, jak np. Stowarzyszenia zrępowane w NOT, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Zrzeszenie Prawników Polskich czy związki twórcze. Tę bowiem sferę, a także sferę działalności politycznej Barbara Kempa („Inna moralność — inne społeczeństwo — „Ogłosy” nr 23, 1986) wyłącza z obrazu „upionego świata bezideowości”. Nie wiadomo tylko, czy działania w tych dziedzinach nie są przez nią zaliczane do działań ideowych, czy też uważa ona, iż nie mają wpływu na to, że obraz świata jest upiorny. Sądzę wszakże, że „szczerlina w masie społecznej”, przez którą Barbara Kempa obserwowała otaczający ją świat, była bardzo wąska.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Wcale bowiem nie twierdzę, że otaczający nas świat jest pełen dobrych, szlachetnych, gotowych do poświęceń ludzi. Ze wszyscy otaczający nas bliźni, to ludzie o wysokim morale. Byłoby to tak — samą nieprawdą, jak obraz świata z obserwacji Barbary Kempy. Wiele jest zł wokół nas, wiele wynaturzeń, patologii społecznych i całkiem indywidualnych, jednostkowych, nieetycznych i niemoralnych postaw. Nie jest to wszakże wytwór „ostatnich 6–7 lat”, jak uważa autorka, aczkolwiek prawdą jest, że lata ostatnie, a w szczególności 1980–81 miały ogromny wpływ na osłabienie poszanowania zarówno norm prawa, jak i pozaprawnych zasad współżycia społecznego. Nikt też nie oczekuje, że moralna odnowa społeczeństwa, zmniejszenie ujemnych zjawisk społecznych, nastąpi metodą „ekspresową”, jak ironizuje (dlaczego?) Barbara Kempa. Jest to z pewnością proces długotrwały, nie dający błyskawicznych efektów. Tym bardziej należy się szanować tym, którzy — mimo trudnych i ciężkich warunków codziennego bytowania, które zdaniem Barbary Kempy wykluczają podejmowanie bezinteresownych, „ideowych” działań — działania takie podejmują. Nie wolno krzywdzić tych ludzi wyrażaniem — w sposób bezpośredni czy pośredni — twierdzeń o powszechnej bezideowości, ani tym, że działalność ich jest nieuzasadniona.

Nie wolno też rozgrzeszać niemoralnych, nieetycznych postaw i czynów trudnościami mieszkaniowymi i niedoskonałością prawa. Przed 6–7 laty (które wg Barbary Kempy decydująco wpłynęły na degradację społecznej moralności) ani sytuacja mieszkaniowa nie była lepsza, ani prawo nie było doskonalsze. To właśnie ostatnio mamy przykłady z działalności Trybunału Konstytucyjnego, przeciwstawiania się aktom prawnym, sprzecznym z ustawami sejmowymi. Nie wszyscy mieszkający w wynajętych lub wspólnych z rodzicami mieszkaniach, szukają „ucieczki od codzienności w alkohol, w ramiona kogoś jeszcze...”. I odwrotnie — wcale nie znaczy, że ci, którzy się nie alkoholizują i nie dopuszczają do zdrad małżeńskich, żyją w idealnych warunkach mieszkaniowych. Jest to na pewno bardzo wygodny pretekst, bo zawsze człowiek szuka usprawiedliwienia dla swych niegodnych postępów, ale jest to balamutne upraszczanie zjawiska. Nie wolno tak czynić, bo świadczy to o lekceważeniu czytelnika.

Na marginesie zauważyć należy, że nawet w „dawnych, dobrych, przedwojennych czasach”, ani obecnie w społeczeństwach znacznie od nas bogatszych, nie miały i nie mają młode małżeństwa zawsze własnych, samodzielnych mieszkań. Ba! W przedwojennej Polsce, tak jak dziś w wielu krajach świata występowało zjawisko bezdomności.

Pisze Barbara Kempa, że w zamian za moralne postępowanie należy oczekiwać szacunku, a działania pozytywne nie mogą spotykać się z kpiną, ironią i lekceważeniem. I tu autorka ma bezwzględnie rację. Szkoła tylko że tych niemałych przecież rzesz, które takie pozytywne działania podejmują i prowadzą, w ogólnym przed się siebie obrazie społeczeństwa nie dostrzegają. A to też jest wyraz lekceważenia.

PIOTR SIKORSKI

URZĄD CHWILOWO NIECZYNNY

Kilka minut przed godziną ósmą przed urzędem pocztowym nr 84 w Łodzi stanęła spora grupa ludzi, gdzieś około dziesięciu osób. Na dworze śniap, „kapuśniaczek”, wiatr zawiewa w oczy, zimno, jak na tę porę roku 2 czerwca. Minęła godzina otwarcia, lecz jakoś nikt się nie kwapi otworzyć drzwi wejściowe. Ludzie się niepokoją, zaglądają przez okna i drzwi do wnętrza. Nie widzą nikogo. Pukają. Idą na zaplecze urzędu. Naciskają dzwonek kilkakrotnie. Cicha...

Wracam z powrotem w kolejkę. Czekam cierpliwie wraz z innymi. Raptem wyskakuje przez okno młody doreczeni i wywiesza kartkę na drzwiach. Czytamy: „Z powodu uszkodzenia zamka, Urząd chwilowo nieczynny”. Podpis nieczytelny. Pieczęćka podłużna — Łódź-84.

Ludzie zastanawiają się i komentują w różny sposób:

— Coś za często psują się te zamki w nowym urzędzie — młoda kobieta — kilka dni wstecz tak samo było, stałam pod drzwiami.

— Wiadomo, dziś poniedziałek, widocznie poprawiny — denerwuje się starszy emeryt — mam ważną sprawę i muszę czekać. — Poniedziałki bywają u szewców, obecnie budowlano, żeby na pocztę — tego jeszcze nigdy nie było — dodaje następny klient.

Wpół do dziesiątej. Część petentów rozchodzi się do domów. Pozostają najbardziej cierpliwi, wytrwali. Napisałem na kartce chwilowo nieczynny... może przyjdą naprawić ten zamek — poczekamy. Telefony są sprawne na pocztę, długo nie powinno trwać.

Rzeczywiście, po kwadransie podchodzi do drzwi pani w okularach, urzędująca zwykle przy okienku kontrolera i o dziwo: otwiera drzwi bez żadnych zgryzotów zamka, tak całkiem normalnie i zwyczajnie. Jestem zaskokowany. Przemknęły staram się szybko załatwić swoje sprawy, ale ta myśl o „zamku” nie daje mi spokoju.

Podchodzę do okienka pani kontroler i siłąc się na spokój, pytam grzecznie:

— Co u licha było z tym zamkiem? Ponoć często się psuje???

— Niestety, tak... kilka dni temu zepsuł się zamek u drzwi wejściowych — klienci czekali, nic na to nie poradzę.

— Ale dziś całkiem łatwo pani otworzyła drzwi wejściowe.

— Faktycznie, lecz nie mogłam dostać się do kasetki, w której przechowujemy klucze od drzwi wejściowych, zaciął się zamek...

Być może. Widocznie jestem urodzonym pechowcem — medytuję po drodze do domu. Nieco zdenerwowany sięgam do kieszeni po papierosa. Nie mam, wszystkie wypaliłem przed pocztą. Podchodzę do kiosku. Zamknięty. Czytam karteczkę: „Wyszedł do biura, wracam za godzinę”. Sklep zamknięty z powodu przyjęcia towaru. Chcę jechać dalej. Nic z tego. Na krancówce nie widać żadnego tramwaju. Wracam. Patrzę, o dziwo, otwarty prywatny warsztat szewski. A jednak to bzdura z tym „szewskim poniedziałkiem”. Tak myślę. Wierzę w rzeczy podstawowe, przyziemne. Śnię mi się po nocach tacy pracownicy, co to nie obrażają się na słuszną krytykę. Nie wypisują sążnistych elaboratów o obrazie majestatu poczty, handlu, usług, innych dziedzin naszego życia. Pracują solidnie i uczciwie przez osiem godzin. Nie robią nikomu łaski z tego, że pracują w takich, nie innych warunkach. Znam takich, chociażby z tego samego urzędu pocztowego. P. Czesio jest zawsze punktualny, uśmiechnięty i życzliwy dla wszystkich. Ale jedna jaskółka nie czyni wiosny. Więcej takich pracowników, a wówczas nie będziemy mieli na kogo narzekać i utyskiwać. Oby tak było. Łódź, 1986-06-02.

JAN WIŚNIEWSKI

DNI GÓRNEJ

Nie sposób wymienić i ocenić wszystkich imprez. Nie w tym rzecz. Najważniejszą sprawą było zaprezentowanie dorobku ruchu amatorskiego łódzkiej publiczności, która pomimo słabej reklamy w środkach masowego przekazu, braku programu i afiszy, tym razem dopisała i gorąco oklaskiwała całkiem młodych wykonawców i tych starszych, łącznie z emerytami.

To, co oglądaliśmy wspólnie na prowizorycznej estradzie, raczej „niecie”, może napawać otuchą, nadzieją i wiarą w dalszy prawidłowy rozwój kultury robotniczej w poszczególnych zakładach pracy, tych większych i mniejszych. Co prawda, niektóre zakłady w dobre reformy gospodarczej jakby zapomniały o swoich placówkach kulturalnych, a jednak ruch amatorski pozostał i rozwijał się nadal pomimo ograniczenia dotacji finansowych.

W ogólnopolskim dorobku kulturowym liczą się także działania na mniejszą i większą skalę, przez duże i małe „K”. Mielishy możliwość i okazję przekonać się o tym naocznie porównując i analizując poprzednie obchody Dni Górnej i obchody I Łódzkiej Dni Kultury Robotniczej.

Nawiazanie bezpośredniej więzi pomiędzy wykonawcami i widzami miało charakter autentyczny, którego nie było w stanie zakłócić igraszki baraskujących dzieci pod prysznicem w poblizu „niecki”. Natomiast już kilkanaście metrów dalej, nie było widać ani słyhać, a szkoda. Nie jestem dokładnie zorientowany komu do głowy wpadł iście „genialny” pomysł organizacji imprezy na boisku sportowym, gdzie zgromadzona publiczność posiada ograniczone pole widzenia. Wprawdzie na górnej estradzie nie widać całkowicie wykonawców, lecz słyhać śpiew na dalekiej przestrzeni, doskonale utrzymanej murawy Stawów Jana.

Ale pierwsze koty za płuzy. W sumie impreza udana.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

„ŚWIĘTE KROWY”

Oj, namnożyło się „świętych krowek”, namnożyło! Stały się swego rodzaju kastą w naszym społeczeństwie. A wszystko dlatego, że nasze niedoskonałe przepisy mają luki, z których sprytnie korzystają wszelkiego rodzaju obiboki, czyli „święte krowy”.

Czas, kiedy uchylanie się od pracy było piętnowane przez społeczeństwo minęło bezpowrotnie. Wiele rodzin „świętych krow” szczyści się tym, że nie spłamiły się nigdy pracą fizyczną, dobrą jedynie dla „plebsu”. Co więc robi rodzina „świętych krow”?

Po pierwsze — starając się nie pracować czyni wszystko, aby zostać „ubogimi” w stosunku do urzędów, aby te nie mogły z niej wyegzekwować np. należnego komornego (z reguły nie płać go). Z chwilą kiedy elektronika zdejmują liczni za niuregulowania światła, podłączają się do klatki schodowej lub sąsiadów, których zakłady elektryczne zmuszają do zapłacenia wygórowanych rachunków, oświadczać, że nie ich to nie obchodzi, że ktoś tam pobiera zasilanie własnych żarówek i ogrzewania z obcego mieszkania.

„Święte krowy” zajmują domowe pralnie urządzając w nich rupieciarnie za „laskawym” i cichym zezwoleniem administracji domu.

Dzieci „świętych krow” bezkarnie napadają i rabują swoich rówieśników zabierając im piłki, lalki i inne zabawki, a czasem nawet pieniądze, wiedząc o tym, że tego rodzaju „wypady” ujdą im zawsze bezkarnie.

Dzieci „świętych krow” mimo istniejącego w Polsce obowiązku nie uczęszczają do szkoły, bo i po co? Młodym pokoleniem „świętych krow” można zostać bez przyswojenia sobie nauki czytania i pisania. Szkoły i Wydział Oświaty są w wielu wypadkach bezradne. Najwyżej dzieci zostaną zabrane do Domu Dziecka Spadnie z głowy kłopot ich utrzymania, które „musi” przejąć państwo.

„Święte krowy” wiedząc o tym, że rodziny wielodzietne otaczane są w Polsce szczególną opieką wykonywały sobie, że nie ma nic prostszego jak napłodzić tych dzieci jak najwięcej, obojętnie kto zostanie ich ojcem, byłoby tylko co rok był „prok”.

A o mieszkanie też się nie trzeba kłopotać. Nikt wielodzietnej rodziny nie wyrzuci na bruk. Mogło to się zdarzyć w dawnym, zapomnianym i zamierzonych czasach, kiedy odmawiających placenia komornego oraz dozorców nie wywizujących się ze swych obowiązków przesiedlano do baraków we wsi Przysiesie pod Andrespołem. Najwyżej administracja zapłaci krwawymi łzami, że jest nierentowna i podniesie komorne innym lokatorom.

Tak więc rodziny „świętych krow” żyją sobie sielsko i anielsko, soki żyćwode na zdrowym cieple społeczeństwa, czerpiąc z niego soki życiowe. I co z tym dalej?

M.K.

CZY JESTEŚMY BEZIDEOWI?

Spółecznym daltonizmem jest niedostrzeganie tysięcy ludzi „wspólnie funkcjonujących”. Spontanicznie i bezinteresownie, w kółach Ligi Ochrony Przyrody, w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami, Towarzystwach Ochrony Zabytków, Spontanicznie

29.7.1985, 22 lipca ogłoszono w procesie rzymskim przerwę do września 1985 r. Można już z całą pewnością stwierdzić, iż pierwsza faza procesu zakończyła się całkowitą klęską zwolenników „bulgarskiego śladu”. W jednej z rzymskich korespondencji zamieszczonych w „Życiu Warszawy” wyczytałem, że osławiona pani Claire Sterling również, jak wielu innych korespondentów, przestała przychodzić na rozprawę. A przecież to jej „rewelacje” o tropie bulgarskim w „Readers Digest” (wrzesień 1982) wyprzedziły zeznanie Ali Agcy przed sędzią Ilario Martellą (28 października 1982).

Niepodobna wyliczyć tu wszystkich sprzecznych zeznań Ali Agcy, bądź co bądź, koronnego świadka oskarżenia. Nasze tygodniki przełamały barierę milczenia wokół procesu, gdy okazało się, iż robi się z niego farsa i publikują liczne doniesienia na ten temat. Przoduje Jerzy Ambroziak, podający sporo ciekawostek, także technicznych, m.in. to, że rozprawa toczy się w trzech

B) wycofanie przez prokuratora aktu oskarżenia, bądź to w całości, bądź w części dotyczącej Bulgarów.

Pierwszy scenariusz jest ryzykowny, albowiem może otworzyć kolejne śledztwo, do którego nie będzie już można wpłatać Bulgarów.

Drugi scenariusz jest bardziej prawdopodobny, ale grozi całkowitą kompromitacją. Na razie prokuratura oskarżenie podtrzymuje. Prokurator Antonio Marini miał wyjechać do Stambułu dla przesłuchania Bekira Celenka, ale brak dalszych doniesień.

Ponieważ dotychczasowe doniesienia dziennikarskie były bałaganiarskie, dopiero niedawno definitywnie ustaliliśmy listę oskarżonych. Na ławie oskarżonych w Rzymie zasiadają Turcy — Ali Agca, Serdar Musa Celebi, Bagci i Bulgar — Siergiej Antonow, zaś oskarżeni to Turcy — Bekir Celenk (obecnie w Turcji) i Celik (nie wiadomo gdzie przebywa) oraz Bulgarzy — Todor Ajwazow i Wasilew.



Siergiej Antonow z siostrą

Afera A-A czyli historia wielkiej kompromitacji

(5)

Rozpływał się „bulgarski ślad” Jak Włosi próbowali ratować honor

EDMUND TULKO

językach: włoskim, tureckim i bułgarskim.

Wróćmy jednak do dowodów przeciwko Siergiejowi Antonowowi. Otóż koronny z nich, to zeznanie w toku śledztwa przez Ali Agcę, że był w rzymskim mieszkaniu Antonowa i rozmawiał z nim w obecności jego żony Rosy i 9-letniej córki. Ali Agca wycofał potem to zeznanie, a całą swoją wiedzę o mieszkaniu Bulgara przypisał telewizji i prasie, do których ma dostęp w więzieniu Jerzy Ambroziak donosi, jak to obecni któregoś dnia na rozprawie sędziowie amerykańscy wyrazili z tego powodu zdziwienie, ale sędzia Severino Santiapichi powiedział, iż takie są włoskie przepisy więzienne.

Opisując mieszkanie Siergieja Antonowa, Ali Agca popierał według tygodnika włoskiego „L'Espresso” ciekawą pomysłkę. Podał mianowicie, że w mieszkaniu Bulgara „salon był podzielony rozuwaną ścianką, jak mu się zdaje, drewnianą”. W rzeczywistości salon Siergieja Antonowa był przedzielony „rozuwaną tkaniną z szarej tkaniny”. I to jest ten „ciekawy błąd”, ponieważ jak dalej pisze „L'Espresso” (autor Mario Scialoja) (...) prawie we wszystkich pozostałych mieszkaniach kamieniczki przy via Pola 29 istnieją w salonach rozuwane drzwi. Takie drzwi znajdują się również w mieszkaniu Pietro Nizeli, w którym — co za przypadek! — mieszka ojciec Felix Morlion, gdy wraca z podróży.

A więc mamy nową postać w aferze. Bo według „L'Espresso” ów ojciec Felix Morlion, Belg i dominikanin liczący 81 lat, to człowiek powiązany od lat z wywiadem amerykańskim (CIA), angielskim (Intelligence Service) i włoskim (Super Sismi).

Mniejsza z ojcem Morlion. W komentarzach z procesu zamieszczanych na Zachodzie („Stern” i „Wspomniany” „L'Espresso”) zadaje się pytania podobne, jak obrońca Siergieja Antonowa: kto nafałszował Ali Agcę informacjami, bo wszystko nie można wytłumaczyć informacjami z telewizji i prasy?

Od momentu postawienia tego pytania, na procesie coraz wyraźniej wychodzą kulisy włoskiego podziemia mafijnego — politycznego splecionego z brudną robotą włoskiego wywiadu (Super Sismi). Poza tym wjeżdżania włoskie okazują się znakomitą bazą do snucia przeróżnych akcji, prowokacyjnych i gangsterskich. Czy proces te kulisy odsłoni do końca? Osobiście wątpię. Myślę, że przerwa w procesie będzie wykorzystana dla opracowania dalszej taktyki prokuratury i to takiej, aby zarówno uniknęła ona kompromitacji, jak i zasłonięcia tego, co uciążliwa do kulisami włoskiej demokracji.

Nie wykluczam również takich scenariuszy:

A) śmierć Ali Agcy, co niejako automatycznie przerwie proces.

21.9.1985. Po przerwie wakacyjnej wznowiono proces Ali Agcy, Siergieja Antonowa i in. Istotne zeznanie złożył Jalcyn Orbey, Turek. Oznajmił, że Bulgarzy w spisku na życie papieża nie uczestniczyli. Słyszał od innych dwóch Turków (jednym był Celik), że Bulgarzy wiedzieli o przygotowanym zamachu, ale odmówili sfinansowania przedsięwzięcia i w końcu nie udzielili żadnej pomocy.

Ali Agca z kolei na procesie oskarżając wykrzykiwał, jak to Waszyngton i Watykan uknuł spisek, aby w zamach na Jana Pawła II „wplatać ZSRR i Bulgarię”. Sędzia Severino Santiapichi wyraził przekonanie, że proces zakończy się jeszcze w bieżącym roku. Moim zdaniem sądowi nie pozostanie nic innego, jak uniewinnienie Bulgarów.

Zakończenie procesu i uniewinnienie Siergieja Antonowa nie zakończy jednak sprawy. Czytałem omówienie artykułu „Paese Sera”, w którym jest żądanie przeprowadzenia dochodzenia, kto uknuł spisek o „spisku” bulgarsko-tureckim.

Gdyby pan sędzia śledczy Martella był człowiekiem honoru, to powinien sobie w leń strzelić, a pani Claire Sterling skoczyć z mostu Golden Gate w San Francisco.

29.9.1985. Świadek Abdullah Catli, Turek osiadający we Francji wyrok za przemyt narkotyków zeznał, że jemu i Celikowi ludzie z wywiadu oferowali 200 tys. dolarów w zamian za złożenie zeznań obciążających Bulgarów winą za zamach na życie Jana Pawła II. W sądzie złożony został w związku z tym wniosek o przesłuchanie niejakiego dr Kreislera z RFN, którego nazwisko Catli wymienił.

„Głos Ameryki” coraz rzadziej wspomina o procesie rzymskim. „Bulgarski ślad” już się niemal całkowicie rozmył. Ciekawe jak z całej afery wybrnie włoski trybunał?

20.10.1985. Ponad tydzień temu zmarł nagle w Ankarze współoskarżony o zamach na życie papieża Turek Bekir Celenk, który w lipcu 1985 r. został nieoczekiwanie zwolniony przez Bulgarów i wyjechał do Stambułu. Tam został aresztowany za grzechy przemytnicze. Turcy odmówili Włochom wydania Bekira Celenka, a jego przesłuchanie przez prokuratora Mariniego nie przyniosło niczego, co mogłoby obciążyć Antonowa. Gdyby było inaczej wiadome rozgłoszenie oszałamiały z radością.

Gdy na sali sądowej w Rzymie ogłoszono o śmierci Bekira Celenka, Ali Agca zaczął miotać przekleństwami na Zachód i Watykan.

Jeszcze przed śmiercią Bekira Celenka Siergiej Antonow nie stawiał się w sądzie nadsyłając zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia uniemożliwiają-

cym mu dalsze uczestniczenie w rozprawie. Siergiej Antonow przebywał w areszcie domowym i widocznie wszystko jest zgodne z włoską procedurą sądową.

Dwa tygodnie temu Zygmunt Broniarek, który ma lepszy dostęp do informacji z procesu rzymskiego, chociażby dlatego, że czyta prasę zachodnią na bieżąco, mówił w TV o sprawie tropu bulgarskiego. Według niego wszystko wskazuje na to, że Włosi chcieli przeprowadzić proces pod nieobecność oskarżonych Bulgarów. I tak Todor Ajwazow został zawrócony z lotniska sofijskiego, skąd miał odlecieć do Rzymu, ponieważ Bulgarzy otrzymali informację z włoskiego MSZ o nakazie aresztowania Todora Ajwazowa. Podobnie było z Siergiejem Antonowem, w którego mieszkaniu dzień czy dwa przed aresztowaniem przeprowadzono rewizję. Siergiej Antonow nie pozostawiając jednak do winy ostrzeżenie zignorował. Zresztą na logikę biorąc: — dlaczego Bulgarzy po aresztowaniu Ali Agcy spokojnie jeszcze przez kilka miesięcy nie wycofali z Włoch swoich ludzi, znanych rzekomo Ali Agcy?

Dla włoskiego sądu najlepszym wyjściem byłaby teraz śmierć Agcy. (...) 14.12.1985. Wznawiono proces Ali Agcy, Siergieja Antonowa i in. Bulgaria wyraziła zgodę, aby sąd włoski przesłuchał w Sofii dwóch sądzonych zaocznie Bulgarów — Todora Ajwazowa i Wasilewa. Wyrok zapadnie w połowie stycznia 1986 roku.

26.12.1985. W Sofii jeszcze przed świętami przesłuchano Todorą Ajwazową i Wasilewa. Zaprzeczali, jakoby znali Ali Agcę. Mocnymi ich atutami ma być też nieprawidłowe określenie przez Turków wzrostu obu Bulgarów. Wreszcie, co od dawna świadczyło na korzyść Todora Ajwazowa i Wasilewa pytanie, dlaczego miast natychmiast po zamachu na papieża i ujęciu Ali Agcy, wyjechać do Bulgarii, spędzili jeszcze w Rzymie kilka miesięcy.

Po przesłuchaniach sofijskich prokurator włoski Antonio Marini oznajmił, iż na procesie rzymskim nie będzie wnosil o wyrok skazujący, czyli odstąpi od oskarżenia Bulgarów. Do fiaska całej afery Ali Agca — Antonow trudno się jednak Włochom wprost przyznać. Wyjściem jest prawo włoskie, w którym można orzec zwolnienie oskarżonych z braku dowodów winy. Radio Waszyngton, które przez całe miesiące mówiło o śladzie bulgarskim powiada teraz, że proces może być wznowiony, gdyby znaleziono nowe okoliczności.

4.2.1986. Proces rzymski wchodzi w ostatnią fazę. Oczekuje się przemówienia prokuratora Antonio Mariniego. „Głos Ameryki”, który już kilka miesięcy temu stracił zainteresowanie dla tzw. śladu bulgarskiego, musiał się odezwać dla przygotowania swoich słuchaczy fałszerowanych przez kilkanaście

miesięcy komentarzami „udowodniającymi”, że w próbie zamachu na życie papieża maczali palce Bulgarzy, a nawet, że oni byli organizatorami spisku. Za Bulgarami miał się kryć oczywiście Kreml ze swoim groźnym KGB.

Wczoraj waszyngtońskie radio przekazało fragment korespondencji „New York Timesa” z Rzymu. Z jaką lubością streszczano początkowe zeznanie Ali Agcy, że ZSRR za pośrednictwem Bulgarów i wynajętych Turków chciał się pozbyć Jana Pawła II i ugodzić w jego „ojczyznę, a w ten sposób osłabić „Solidarność”. No, tak byłoby fajnie, gdyby proces nie opowieści Ali Agcy potwierdził. Niestety, korespondent „New York Timesa” musi przyznać, iż tak się nie stało, bo sam Ali Agca, na którego fantazjach oparto oskarżenie, zmieniał zeznanie, wykrzykiwał, że jest Jezusem Chrystusem itd. itp.

Punktem kluczowym korespondencji nowojorskiego dziennika jest przewidywanie, z jaką konkluzją wystąpi Antonio Marini w swym oskarżycielskim przemówieniu przed sądem. Raczej wyklucza się skazanie Siergieja Antonowa i dwóch sądzonych zaocznie Bulgarów, tym bardziej — jak sprytnie wtrąca autor korespondencji — że Włochy zainteresowane są teraz odprężeniem w stosunkach Wschód-Zachód. Jest w tym wtręcie, mimo intencji piszącego, wyraźna wskazówka, iż wymiar sprawiedliwości na Zachodzie, a przynajmniej we Włoszech nie zawsze musi wyluskiwać materialną prawdę, lecz także uwarunkowania polityczne. Można to „rozumowanie” odwrócić i zapytać, w jakim stopniu owe uwarunkowania polityczne wpłynęły na rozpętanie burzy wokół „śladu bulgarskiego”.

Ala idźmy dalej. Najbardziej prawdopodobne wydaje się korespondentowi „New York Timesa” zwolnienie Bulgarów (ściślej Siergieja Antonowa) z powodu braku dowodów winy. To pozwoliłoby, wywodzi dziennikarz amerykański, wyjść sądowi włoskiemu z twarzą. Znowu więc widzimy, jak gorączkowo szuka się sposobu, aby usprawiedliwić ponad trzyletnie przetrzymywanie Antonowa w więzieniu i w areszcie domowym. Nie chodzi zatem o sprawiedliwość, lecz o względy polityczne. Brak dowodów winy, to ponadto nie uniewinnienie. Propagandowo dla zachodnich mass-medów sytuacja dogodna i można będzie twierdzić, że Bulgarom po prostu się udało ukryć dowody, czyli mogą mieć zamach na papieża na swoim sumieniu.

Ten wariant nie musi być jednak wcale dogodny dla Włochów i szerzej ujmując dla twórców afery „śladu bulgarskiego”, albowiem Bulgarzy zapowiadają apelację do sądu wyższej instancji, gdyby sąd rzymski zwolnił Bulgarów z odpowiedzialności z powodu braku dowodów winy, a nie w pełni ich uniewinnił. Sprawa miałaby w ten sposób dal-

szy ciąg, którego Włosi zdaje się nie pragną.

Ala to jest oczywiście mój komentarz, a nie amerykańskiego korespondenta. On bowiem przewiduje inną niedogodność dla włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Otóż wyrok uniewinniający Bulgarów musi spowodować nowy proces, tym razem przeciwko Ali Agcy za składanie fałszywych zeznań. Ten proces — to znowu mój komentarz — mógłby doprowadzić do kłopotliwych przesłuchań przedstawicieli włoskich służb wywiadowczych, które posadzone są o inspirowanie Turka, a nawet ułożenie dla niego scenariusza zeznań. Główna jest książka francuskiego prawnika Christiana Roulet, który powołuje się na zeznanie gangsterów Pandico i Pazienzy. A propos Pazienzy. Korespondent „New York Timesa” starannie podkreśla, że Bulgaria odmówiła ekstradycji Ajwazowa i Wasilewa współoskarżonych w procesie rzymskim, a przemilcza fakt, iż USA nie chcą wydać Włochom Pazienzy, mimo iż ten odsiadywał wyrok w więzieniu nowojorskim. Zapewne zgodnie z zasadą, że Stany są najbardziej prawnorządny państwem na świecie.

11.2.1986. 4 lutego prokurator Antonio Marini rozpoczął mowę oskarżycielską w procesie rzymskim. Kontynuował ją 6 lutego, a dalszy ciąg ma wygłosić w najbliższych dniach. Można już zorientować się, jaka będzie konkluzja tej mowy, choć nie wiadomo, czy podtrzyma ona zostanie teza o winie Siergieja Antonowa, Todora Ajwazowa i Wasilewa.

Antonio Marini próbował uzasadnić tezę o spisku na życie Jana Pawła II. Ali Agca miał być w tym spisku tylko pionkiem. Sprzeczne zeznanie Ali Agcy to tylko gra.

Zdaniem Antonio Mariniego liczne podróże Ali Agcy, wreszcie zeznanie Turków oskarżonych i świadków na procesie świadczą o spisku. Na placu św. Piotra 13 maja 1981 r. wystrzelono trzy kule, a nie dwie, a więc było dwóch zamachowców, bo z pistoletu Ali Agcy wystrzelono tylko dwa razy. Do dowodów włączył też list Ali Agcy napisany po ucieczce z więzienia tureckiego zapowiadający zabicie papieża. Wobec tego prokurator konkluduje: „Nie dziwnego, że ktoś zainteresowany zlikwidowaniem papieża zwrócił się właśnie do niego”.

Taka konkluzja jest o tyle ważna, że prokurator rozdzielił się następnie nad zeznaniem Turka Abdullaha Catli, jakoby przy przekraczaniu granicy bulgarsko-tureckiej miał trwać jakieś pertraktacje Bulgarów z Ali Agcą (niejasne — Catliego czy Agcy — ze względu na fatalną stylistykę tekstu PAP). Catli czeka na Agcę kilka godzin, aby mu przekazać fałszywy paszport (od kogo otrzymał — PAP nie podaje). A więc prokurator uważa za udowodnione powiązania Agcy z Bulgarami, choć są one dość mizerne. A nawet jeśli były takie powiązania, to są jeszcze daleka droga do powiązania Bulgarów z zamachem na papieża. A wreszcie co z tym ma wspólnego Siergiej Antonow?

Być może tę konstrukcję — dość dziwną — rozszerzy Antonio Marini na Antonowa. Zobaczmy.

Korespondent PAP zwraca przy tym uwagę, że prokurator pominął zeznanie Catliego o zaproszeniu mu setek tysięcy dolarów za potwierdzenie zeznań Ali Agcy wymierzonych przeciwko Bulgarom.

Z pierwszych doniesień o przemówieniu Antonio Mariniego można domniemywać, że będzie on zmierzał do przekonania sądu o współudziale Bulgara w spisku, ale wystąpi o ich uniewinnienie z braku dowodów winy. Czyli będzie to za wszelką cenę ratowanie twarzą włoskiego wymiaru sprawiedliwości.

1.3.1986. Prokurator Antonio Marini w swej mowie oskarżycielskiej wygłaszanej przez dziewięć dni wystąpił z wnioskiem o uniewinnienie Siergieja Antonowa z powodu braku dowodów winy. „Głos Ameryki”, który przestał się interesować procesem rzymskim, ale od czasu do czasu musi coś o nim powiedzieć, taki wniosek uznał za najbardziej prawdopodobny, gdyż chodzi tu o ratowanie twarzą włoskich oskarżycieli i stworzenie wrażenia, że w „śladzie bulgarskim” nie było dymu bez ognia, tylko ognia nie

udało się odnaleźć. Intencja przejrzysta i chodzi o stworzenie wrażenia, że afery nie jest kompromitacją włoskich władz śledczych i prokuratury. Sądząc jednak z głosów części prasy zachodniej ten manewr prokuratora Antonio Mariniego nie udał się. Ostatecznie ponad trzy lata trwała zabawa ze „śladem bulgarskim” i wyszły z tego nici.

Ali Agca nieoczekiwanie poprosił o głos. I znowu rozczarował oskarżycieli, albowiem uciekł się do „historiozoficznych oświadczeń o boskości Chrystusa i ludzkiej naturze papieża, po czym zakomunikował, że wkrótce „my” (tzn. on i jego ewentualni współnicy) wywołamy trzecią wojnę światową.

Natomiast 8 marca 1986 r. zakończył trzydniowe wystąpienie obrońca Siergieja Antonowa Giuseppe Consolo. Wystąpił, co było oczywiste, o pełne uniewinnienie swojego klienta. Bogatego materiału w postaci sprzecznych zeznań Ali Agcy Consolo miał aż nadto. Zwrócił ponadto uwagę na ogromne koszty procesu i szkody w stosunkach włosko-bulgarskich. Włochy utraciły wiele korzystnych kontraktów i w wymianie Bulgarii z krajami kapitalistycznymi spadły z drugiego na piąte miejsce.

Przewiduje się, że sąd pod przewodnictwem Severino Santiapichi wyda wyrok jeszcze przed świętami, w co wątpię, albowiem terminów zakończenia procesu zapowiadano już kilka, m.in. do końca 1985 roku. Zapewne przeciąganie rozprawy, to wynik włoskiej gadatliwości, ale w części przyczyną jest zakłopotanie, co z tym bulgarskim fanatem zrobić. Idealnym rozwiązaniem byłoby, gdyby Ali Agca w odpowiednim czasie umarł, co prorokował, ale tak się nie stało. Jego śmierć byłaby podejrzana i obciążała włoskie władze więzienne, jednakże nie bardziej niż w innych przypadkach nagłej śmierci więźniów.

24.3.1986. W Rzymie zamknięto sądowy. Sędzia Severino Santiapichi przebywał wraz z sędzią przysięgłym w izolowanym pomieszczeniu i będzie tak aż do uzgodnienia wyroku. Wiadomo już, że Siergiej Antonow i dwaj pozostali Bulgarzy będą uniewinnieni, ale pytanie: czy w myśl wniosku prokuratora (z braku dowodów winy) czy też według żądań obrony (całkowite oczyszczenie z zarzutów).

W przypadku wariantu pierwszego Bulgarzy i ich obrońcy zapowiedzieli odwołanie do wyższej instancji, co sprawy nie zamknie i postawi Włochy po kompromitacji „śladu bulgarskiego” być może również wobec konieczności zbadania „śladu amerykańskiego”. Zwraca na to uwagę stosunkowo ważny obserwator procesu Mario Scialoja w tygodniku „L'Espresso”.

31.3.1986. Wyrok uniewinniający Siergieja Antonowa, Todorą Ajwazową i Wasilewa, ale zgodnie z wnioskiem prokuratora tj. z braku dowodów winy. Obronca Siergieja Antonowa zapowiedział odwołanie do wyższej instancji. Ciekawe, a tak informuje „Głos Ameryki” — Siergiej Antonow ma zakaz podróży i nie będzie mógł opuścić Włoch, chyba, że sąd na to zezwoli. Tymczasem jednak sąd, do którego zwrócił się obrońca uznał się za niekompetentny i zalecił zwrócić się do sądu, który wydał wyrok, a ten już się... rozwiązał, więc nie istnieje.

„Głos Ameryki” skrupulatnie podkreśla, iż wyrok nie oczyszcza Bulgarów z zarzutów udziału w spisku na życie Jana Pawła II. Jest to zrozumiałe po trwającej ponad 3 lata kampanii tropienia „śladu bulgarskiego”.

4.4.1986. Siergiej Antonow otrzymał zgodę na wyjazd z Włoch i już wrócił do Sofii. W więzieniu i areszcie spędził 3,5 roku.

Rzadki głos szczerości w „Głosie Ameryki”. „New York Times” tak skomentował wyrok rzymski — sprawa tak prowadzona, jak to robili Włosi, nigdy nie trafiłaby do sądu amerykańskiego.

12.4.1986. Mimo uwolnienia Siergieja Antonowa i dwóch pozostałych Bulgarów z braku dostatecznych dowodów winy w telewizji włoskiej nadano film powtarzający tezę o śladzie bulgarskim. Konsultantka tego filmu była sławna Claire Sterling, która wraz z agentem CIA Pauliem Henze wywołała całą aferę.

Sądzę, że ten film, a zapewne i inne propagandowe działania mają przybliżyć skalę kompromitacji.

KONIEC

23 STYCZNIA 1986 ROKU
— GODZINA 23.30

Bangkok. Kończy się pierwszy dzień z granicą. Otwarte liczne snack-bary i sklepiki spożywcze. Stoliki stoją do połowy chodnika. Siedzą przy nich turyści i turyści. Lewą stroną jeździ pedał kolorowe riksze motorowe. Zatrzymuje się riksza poruszana pedałami. Pionowa ścianka odsłania, zawieszona na hakach, sprasowane, suszone ryby. Jest i piecyk z żarzącym się węglem drzewnym. Ryby trafiają na rożno, po chwili przysypiane czerwonym proszkiem podane są komuś przy stoliku. Mieszają się zapachy sosów i ostrych przypraw. Przejżdża z warkotem motocyklista z dziewczyną na tylnym siedzeniu siedzącą po damsku. W jednym z zaułków — ślina woli przypominająca petunie. Parno jak na górnym stopniu łaźni fińskiej.

Guest House nazywa się „Słodki”. Lecz są tylko dwa wolne łóżka. I nagie, u zbiegu ulic, mowa. Gościnny Dom, tym razem z miejscami dla

ków, na noc — przywiązane do pali. Przewodnik tajski stawia na podłodze talerz z przyrządzonym przez siebie ryżem i drugim talerz z bukietem nieznanym nam jarzyn. Mówi, że plemień tutejsze osiadło niedawno, że ich języka sam nie rozumie i że turyści zaglądają tu od 15 lat. Po kolacji wynosi talerze, rozkłada nowe maty, na nich materace i koce. Rozbieramy się i wchodzimy do śpiworów. To nie łuczywo się pali. Ropa naftowa i specjalny knot. Przewodnik za chwilę zdmuchnie płomień.

30 STYCZNIA 1986 ROKU.

Kolejna wieś — chińska. Grają cykadę. Niebo srebrzy się niepowtarzalnym światłem i zmusza do zmruczenia oczu. Nad samą głową — Mały Wóz, lecz większy niż u nas. Przy rozpalonym z wysuszonego bambusa ognisku, stoją w dwóch skośnych rzędach dzieci, osobno chłopcy, osobno dziewcz-

pał Hindusi. Ci nie znali po-
spiechu, którego my nie mogli-
śmy się pozbyć, poza jedynym
wyjątkiem, gdy unieruchomieni
byliśmy przez środki lokomo-
cji. Odwiedzali nas także
hinduscy bliźniacy — współ-
właściciele hotelu. Nie wiedzie-
liśmy tylko, który z nich —
kiedy.

8 LUTEGO 1986 ROKU.

Dziakarta. Do naszych pokoi
wchodzi się po schodach, na
których mogą się minąć jedyn-
nie dwie osoby. Na górze —
hol w kształcie podkowy, we-
wnątrz której balustrada od-
dziela przestępną pod gołym
niebem. Na dole — kuchnia z
wyjściem do barku i bistro. W
kuchni bawia się psy i koty.
Koty jak wszystkie lub wiel-
szość w kramie indomalajskiej,
mają nie wiadomo po co, za-
lamany w połowie, pod kątem
sto osiemdziesiąt stopni — o-
gon. Na holu-tarasie nikt nie
zwraca na nie uwagi.

21 LUTEGO 1986 ROKU

O 4.00, w autobusie do Dzia-
karty włączają nam na pełny
regulator video z westernem,
w którym kowboje biją się do
godziny 5.30. Podobno jest to
sposób przeciwko zaśnięciu kie-
rowcy. Przy okazji, otrzymuje-
my śniadanie z ciepłą herbatą
jaśminową. O 6.00 Guest House,
naprzeciw dworca autobusowe-
go, nie otwiera przed nami na
oścież drzwi. Tu wszyscy śpią
i nie ma miejsc. Znajdujemy
je w sąsiednim hotelu, z ceną
równie niską jak w Gościn-
nym Domu.

23 LUTEGO 1986 ROKU

Wracamy na Banculen Street.
Po znakomitych drinkach i cu-
downym ocaleniu w czasie bu-
rzy, która miotła na wszyst-
kie strony Boeingiem 747 —
największym samolotem pasa-
żerskim i najstarszą linią lot-
niczą — KLM, jesteśmy znów
w znakomitych nastrojach. Jak
gdyby nigdy nie, w recepcji
wita nas po angielsku — brat-
-Hindus-impresario.

25 LUTEGO 1986 ROKU

Nareszcie Kathmandu. Tuż
za drzwiami portu lotniczego,
otoczyła mnie chmara pośredni-
ków, którzy przekrzykując się
wzajemnie, zachwalali swoje
hotele.

W wąskiej ulicy, takowa
przepuściła świętą krowę. Je-
szcze chwila i wysiedliśmy. O-
pedzaliśmy się od dwóch strą-
kowskich, to jest — długowło-
sych, lecz nie czesanych od u-
rodzenia, ubranych w szaty
apostolskie lecz z czerwona
farbą innowierców na czole,
szemrzących cicho i nieustępli-
wie prośbę o jałmużnę. Obok
straganu z górą mandarynek,
tubylic w bardziej współczes-
nym odzieniu, zdążył zapropo-
nować haszysz. Weszliśmy na
czwarte piętro. Na każdym —
balkon z wejściem do pokoju i
wyjściem na klatkę schodową
lub odwrotnie. Ponad dachami
— Himalaje.

Wczorsem odwiedził nas, po-
zmany przy kramie ze swetra-
mi na białkawicze zamki,
trzydziestopięcioletni Polak z
Australii. Było w nim coś, co
spowodowało, że mimo natłoku
wrażeń, zaprosiliśmy go na
polską kaszę gryczaną i mie-
lonkę z puszką. Około pierwszej
w nocy, przeprosiłem i poło-
żyłem się.

Od 11 lat jest bezrobotnym.
Do kraju nie wrócił, bo mu-
siały pracować. Woli pozostać
bezrobotnym w Australii lu-
dzie aż do śmierci zajęć są
tylko sobą i ciuleniem pienię-
dzy. Nie istnieje życie towa-
rzyskie. W tajemnicy przed in-
stytucją socjalną, którą wypła-
ca zasiłek, przejeżdża do Kat-
hmandu, bo tutaj taniej. Zonie
Filipince i dziecku pomoże jej
matka i jakoś to będzie. Za-
bawi tu ze trzy miesiące. Ri-
kszarzowi każe uiszczać na mie-
scu pasażera i sam popedałuje
aż do zmęczenia. Albo inaczej.
Każe się wozić przez dwie go-
dziny bez zatrzymania. „Ri-
kszarz po ścianach pojeżdża, ale
pojeżdża! Zapłacił za to. A do
Australii będzie wysyłał najpiek-
niejsze kolorowe widokówki
przedstawiające Mount Everest.
Niech mu zazdroścą wol-
ności!”

Pamiętam, że przed zaśnię-
ciem przypomniałem sobie No-
wy Rok Chiński w Dziakarcie.
— W świątyni w Dziakarcie
— w świątyni i grubszym od
dorosłego człowieka. Podchodzi
Chińczyk. Składa nam życze-
nia noworoczne. Potem wyja-
wia swoją tajemnicę. Wyciąga
za pazuchy gazetę. Pokazuje
w niej zdjęcie psa. — To jest
ten ja — mówi — w poprzed-
nim wcieleniu. — Otworzyłem
na chwilę oczy i przyłapałem
wzrok emigranta. Wydawało mi
się, że patrzył z zazdrością na
sen, który mnie morzył.

Dokąd zmierza gospodarka USA

Wysokie bezrobocie, duża inflacja, brak chęci do inwestowa-
nia przemawiają raczej za długookresową stagnacją, mającą
według prognoz trwać do lat dziewięćdziesiątych. Zródeł trud-
ności upatrywać należy w fakcie wyczerpania się czynników,
które dotychczas utrzymywały wysokie tempo rozwoju (wzrost
roli państwa, liberalizacji międzynarodowej wymiany handlowej)
oraz występowania nowych zjawisk, które wpłynęły na spadek
aktywności gospodarczej (gwałtowna wyższa cen paliw, surow-
ców i energii, permanentny kryzys walutowy, zaostrezenie się
sprzeczności między krajami wysokorozwiniętymi a krajami
Trzeciego Świata).

Występowanie tych zjawisk i problemów potwierdza tezę o
kryzysowym charakterze gospodarki kapitalistycznej, w której
to również uwikłały się Stany Zjednoczone. To największe mo-
carstwo gospodarcze świata kapitalistycznego po raz pierwszy
od 1914 r. w okresie ostatnich 3 lat przekształciło się z najwię-
kszego na świecie kraju wierzycielskiego w największy kraj
dłużniczy. Amerykanie pożyczają teraz co roku od reszty świa-
ta 100 mld dol., żeby pokryć swój ogromny deficyt handlowy.
Za rok zadłużenie Stanów Zjednoczonych wobec zagranicy ma
przewyższyć dług Brazylii czy Meksyku, największych dziś
dłużników na świecie. Przewiduje się, że gdy nie zmienią się do-
tychczasowa polityka gospodarcza USA to jej zadłużenie w 1990
roku może osiągnąć rekordową cyfrę 1 biliona dolarów. Jest to
więcej niż obecnie łączne długi wszystkich krajów rozwijających
się.

Za główne przyczyny tak szybko wzrastającego zadłużenia
uważa się: wysięg zbrojeń powodujący wzrost wydatków budżet-
owych, deficyt budżetowy i wysoką stopę procentową oraz prze-
wartościowanie dolara. Nikt nie przewiduje wzrostu gospodar-
czego w Stanach Zjednoczonych powyżej 4 proc. rocznie, co
automatycznie eliminuje gospodarkę jako główny czynnik zmniej-
szający deficyt budżetowy. Pozostaje więc polityka redukcji wy-
datków i zaciskanie pasa.

Zadłużenie Stanów Zjednoczonych za granicą poprzez nadmier-
ny import kapitału jest powiększane przez rosnący deficyt w
handlu zagranicznym, który może w najbliższych latach wzrosnąć
do 200 mld dolarów rocznie. Nie jest ono tylko problemem fi-
nansowym, ze względu na rolę tego kraju w gospodarce światowej,
jest to również problem polityczny. Fakt, że przekształciły
się one z kraju wierzycielskiego w dłużniczy, radykalnie pogarsza
ich pozycję na światowym rynku. Konkurencyjność przemysłu i
eksportu kapitałów stwarzały dotychczas możliwości osiągnięcia przez
ten kraj zysków w skali światowej, zapewniały mu pozycję pro-
dukcji. Sytuacja zmieniła się obecnie, kiedy na miejsce tego eks-
portu wchodzi import kapitałów, wątpliwa się staje nie tylko ich
przywódcza rola, ale również stabilność i perspektywy rozwojo-
we całej gospodarki światowej, zwłaszcza kapitalistycznej.

Innym czynnikiem, który wpędza gospodarkę USA w ślepy
zaułek jest zadłużenie skarbu państwa. Od 1980 r. do chwili
obecnej uległo ono podwojeniu i jest oceniane obecnie na około
2 biliony dolarów.

Pełniący obowiązki zastępcy ministra skarbu John Niehenke
zwrócił się we wrześniu 1985 r. do Kongresu z wnioskiem o
podniesienie pułapu zadłużenia federalnego do astronomicznej
kwoty 2,53 biliona dolarów. Oświadczył on, że bez zwiększenia
tego zadłużenia rząd nie będzie w stanie płacić swych rachun-
ków w 1986 roku. Sytuacja ta jest tym bardziej niebezpieczna,
że w ciągu zaledwie pięciu lat zadłużenie to podwoiło się, gdy
trzeba było 189 lat, aby osiągnąć poziom 1 biliona dolarów.

Jak podaje raport Urzędu Rezerwy Federalnych od 1980 r.
przeciętny roczny wzrost produktu narodowego brutto wynosił
około 3 proc., podczas gdy przeciętny roczny wzrost ogólnej su-
my zadłużenia rządu federalnego, rządów stanowych oraz zarząd-
ów miejskich wynosił 14,4 proc. Według tego samego raportu
zadłużony jest nie tylko rząd Stanów Zjednoczonych, zadłużone
są również korporacje i osoby prywatne. Ogólna wartość zadłu-
żenia korporacji i osób indywidualnych wynosi obecnie 4,2 bi-
liona dolarów.

Optymistycznie nie nastroja również stan oszczędności, zarów-
no rzeczywistych jak i prywatnych. W wielkościach rzeczywistych
oszczędności brutto zmniejszyły się w okresie 1981—83 z 484 mld
dolarów do 437 mld dolarów, a oszczędności prywatne ze 137
mld dolarów do 118 mld dolarów. Tak więc decydującym stymu-
latorem ożywienia gospodarczego lat osiemdziesiątych był wzrost
wydatków konsumpcyjnych.

Na podstawie dotychczasowej analizy można wyciągnąć wnio-
sek, że „bliźniacze” deficyty Stanów Zjednoczonych — budżeto-
wy i handlowy — spychają na niewygodne chwile nie tylko cały
amerykański system bankowy. Bowiem zagraniczne kredyty u-
dzielane przez banki amerykańskie opierają się tylko w 30 proc.
na kapitale rodzimym. Pozostałe 70 proc. kredytów finansowane
jest z wkładów obcokrajowców. Dopóki wysoka stopa procentowa
zapewnia atrakcyjność wkładów w tych bankach i dopóki nie
występuje antydolarowa spekulacja walutowa, dopóty nie ma
powodów do niepokoju. Co będzie jednak, jeśli atrakcyjność ta
zniknie?

Nawet jeśli Rezerwa Federalna pokryje przez rozszerzenie
kredytów lukę w systemie bankowym (wynikną z wycofywania
wkładów), w Stanach Zjednoczonych będzie musiało dojść do
recesji, ponieważ zabraknie środków na finansowanie deficytu
budżetowego i handlowego. Recesja ta zdaniem ekspertów roz-
przestrzeni się na cały świat. W powstałej sytuacji trudno będzie
uniknąć międzynarodowego kryzysu banko-
wego.

Spadek amerykańskiego importu ugodziłby nie tylko w Japo-
nię, Kanadę i RFN, które dotychczas posiadały wielkie nadwyżki
w handlu ze Stanami Zjednoczonymi. Również zadłużone kraje
Trzeciego Świata — Meksyk, Brazylia, Indonezja i Korea Połu-
dniowa — poniosłyby duże straty. Nadwyżki handlowe niektó-
rych wysoko zadłużonych krajów Trzeciego Świata osiągnięte w
obrotach ze Stanami Zjednoczonymi stanowiły do 25 proc. ca-
łości ich eksportu. Tak więc wszelka próba Stanów Zjednoczo-
nych zmniejszenia swych nadwyżek w drodze posunięć protekcjo-
nistycznych musiałaby dramatycznie pogorszyć sytuację płatniczą
wymienionych krajów i w konsekwencji postawić banki amery-
kańskie w obliczu utraty udzielonych kredytów.

Według niektórych prognoz deficyt handlowy Stanów Zjedno-
czonych w 1986 r. nie zmniejszy się i w najlepszym razie pozos-
tanie na poziomie poprzedniego roku. Import kapitałów będzie
dostosowywał się do tego deficytu i jeśli tendencja taka utrzy-
ma się do 1988 roku, import ten będzie musiał osiągnąć poziom
co najmniej 500 mld dolarów. Nie wszystkie jednak uprzedyspo-
sione kraje Zachodu będą w stanie utrzymać na dłuższą metę
eksport kapitałów do USA, bez wywołania negatywnych następ-
stw dla własnych inwestycji. W takiej sytuacji spłaty odset-
ek nie można będzie realizować poprzez import nowych kapita-
łów, ta potężna gospodarka może być wtedy niewypłacalna. Stwo-
rzy to sytuację do wycofywania kapitałów z banków USA, a
te będą wtedy emitować dolary bez pokrycia.

MARIAN JĘDRZEJCZAK

Ponad dachami — Himalaje

LUDWIK GEBEL

wszystkich. Osiemnastoletnia
córka hotelarza wraca z nami
po plecaki i upiera się, że po-
może nosić. Przenosimy je do
bistro, które jak prawie wszę-
dzie, łączy się wprost z ulicą.
Na jego zapleczu, na prawo od
łaźni, z przysięgami, wąski
korytarz biegnie pomiędzy ścia-
nami z cienkiej tekstury, od-
dzielającymi pokoje. Pod su-
fitem — śmigło.

Jeden z pokoi — bez okien,
z bardzo szerokim łóżkiem. W
drugim — podobne łóżko i dru-
gie jednoosobowe. Okno z siat-
eczka zamyka dostęp owadom.
Na parterze sąsiadnego domu
widać duży stół bilardowy oto-
czony graczami i kibicami. O-
świetlenie w pokojach — jarze-
niowe. Są i wtyczki nadające
się do podłączenia naszych ma-
szyn elektrycznych. Cena —
37 batów od osoby, czyli po
około 1,5 dolara. Bierzymy o-
bydwa pokoje. W bistro siedzą
turyści z Europy: Francuzi,
Szwajcarzy i Austriacy. Nie
robią wrażenia, aby wpadali w
kompleks z powodu pobytu w
tak tamim miejscu.

Przypadł nam do serca szef
Gościnny Domu. Nie dziwił
się, że nie kupowaliśmy nic w
jego bistro. Wpadał na pogaw-
ędkę i zniknął w stosownym
momencie. Nie gardził kielisz-
kiem spirytusu, choć pierwszy
raz, gdy go poczęstowaliśmy,
długo nie mógł złapać oddechu.
Zorganizował nam za pół ce-
ny wypad do świąt do klon-
gów w dzelnicy Thonburi. Po-
zwolił zostawić bagaże, gdy
wyruszyliśmy na północ Taj-
landii.

29 STYCZNIA 1986 ROKU

Jesteśmy we wsi Koenen Vil-
lage nad rzeką Kok, w górach
wśród dżungli, około 80 kilo-
metrów od granicy birmań-
skiej. Świeci tuż przy drodze.
Ledwo widać kark, na których pisek
leżąc na macie. Buty zostawi-
liśmy na progu, by wejść do
kilku stopniach drabinki do
wewnątrz chaty bez okien.

Do wsi dojeżdżaliśmy długimi,
wąskimi kłódniami motorowymi.
W miarę jak rzeka zbiegała się,
brzeg ukazywał coraz gęstszy
zeleni wszystkich możliwych
odcieni i lłany opadające z
drzew obrastających stoki gór
po obu stronach.

W chacie, gdy było jeszcze
widno, dostrzegłem na trzcin-
owej ścianie kolorowy portret
rodziny królewskiej. Króla wi-
działem kilka dni wcześniej w
limuzynie otoczonej uzbrojony-
mi motocyklistami, pedałując
tam i z powrotem w zamarłej
w bezruchu ulicy, równoległej
do jednego z kłódnów stołców.
Być może takie obecnie są
królewskie spacerki.

Po uginającej się podłodze,
przeszła do drugiej izby kobie-
ta z przytroczonym do pleców
dzieckiem, nie zwracając na
mnie najmniejszej uwagi.
Mieszkańcy wioski mają rysy
mongoloidalne. Bydło — koloru
szarego, świnie podobne do dzi-

czynki, naprzeciw siebie, od
najwyższego do najniższego.
W języku chińskim — we-
sołe przysięgi, a potem pieśń
o Mao Tse Tungu. Podchodzi
stare kobiety w ozdobnych
czapkach — hełmach. Jedną z
nich nosi naszyjnik z monet
dwudziestozłotowych.

Zaglądam do sąsiedniej cha-
lupy. Dwie młode dziewczyny
chwytają mnie za nogę i prze-
ścigają się w propozycji masa-
żu. Mężczyzna leży na macie,
zaprasza do wypalenia z nim
opium za jedyne 20 batów.
Patrzę jak wsysuje biały pro-
szek do metalowej miseczki,
miesza go z już uformowaną
masą o konsystencji kauczuku
mieszadłem o kształcie ma-
lego wytrycha, potem podgrze-
wa nad ogniem i powoli w ru-
chem wkłada do cybucha,
zaciągając się nad ogniem kilka
razy. popija wodą z białego
naczynia.

Trudno zasnąć. Noc pełna
dźwięków: cykad, szaszekanie,
pochrzakiwanie, spóźniony
krzyk ptaka, rechot zab Zry-
wam się, gdy trzcinowa podło-
ga podnosi się pod plecami w
czasie nagłego kwiku świi.

Przewodnik palił opium i bez
powodu kilka razy przenosił
kocę z jednego końca chalupy
na drugi. Jednakże rano
pierwszy wstał i przygotował
śniadanie. Na platformie na
palach, rozpostartej pomiędzy
dwoma chałupami, rozłożył
kromki białego chleba, lżejsze-
go od waty, jajka na twardo
z pomarańczowymi żółtkami,
banany nie oderwane z szypu-
ły, siołk dwoma ananasowego i
filizanki kawy z mlekiem.
Przypomniał, że znajdujemy się
w środku trójkąta, którego
dwa ramiona stanowią granicę
Birmanii i Laosu, w kramie
największej w Azji uprawy o-
pium. Pracują tu tylko kobie-
ty. Zajmują się uprawą i wy-
plataniem koszy. Zająłem mę-
czyzn jest pilnowanie dzieci i
codzienna ucieczka w opary
narkotyku. Gdy rodzą się bliź-
niaki, ukrecają im głowy. Naj-
bliższe źródło wody, na dole,
dwa kilometry stąd.

6 LUTEGO 1986 ROKU

Wymieniamy na lotniczo do-
lary amerykańskie na singa-
purskie. Kupuję plan miasta.
Ten sam otrzymam następnego
dnia gratis w ekskluzywnym
hotelu mieszczącym Stude-
nckie Australijskie Biuro Po-
droży, zajmujące się sprzedażą
taniej biletów lotniczych. Re-
zygnujemy z taksówki, która
dolicza dziwną marżę za wjazd
do miasta w ciągu dnia. Doga-
dujemy się z kierowcą furgon-
etki, któremu pokazuję na
planie króciutką Banculen
Street.

Wysiedliśmy przed Guest
House.

Rano odwiedziła nas para
studentów z Warszawy. Pogubi-
li kolegów. Poczęstowaliśmy
ich herbatą Madras, a oni o-
powiedzieli o swojej podróży
autostopem z Tajlandii. W holu

12 LUTEGO 1986 ROKU.

Wyspa Bali. Dwie Niemki,
odróżnione od świata słuchaw-
kami „lumenów” na uszach,
co jakiś czas pływają fragment
zasiłanego refrenu „Indone-
zyjskiej piosenki. Jedną z tych
refrenów, z samego rana, po-
klepywał beceremonialnie po
pośladkach dwudziestolletni syn
gospodarzy. Wbrew schematu-
wi poznawczemu o nienawści
tubyliców do kolonizatorów w
sąsiednim pokoju, z młodą In-
donezyjką mieszkał młody Ho-
lender. W innym — samotny
Austriak, którego odwiedzał sa-
motny Czech, który ubolewał
przed nami (gdy tamtego nie
mógł zastać w pokoju), że ma
zamkniętą drogę do swojej oj-
czyzny, ponieważ „bezwzględnie
nie wyjechał przez Jugosławię”.
W następnym pokoju — ciem-
noskóra obywatelka którejś z
trzech tysięcy wysp Indonezji,
oddająca się w ciągu dnia
jeździe konno.

Następnego dnia, w gospo-
darczym skrzydle czworoboku,
zameldowała się para małżeń-
ska z Gdańska. Pomimo, że by-
li dobrze po pięćdziesiątce, na-
leżeli do „grupy turystów z
plecakami”. Od wczesnej mło-
doci, prawie co roku, podró-
żowali tak w czasie urlopu po
całym świecie. Odłączyli się
teraz od wyprawy, która mia-
ła być ubogą dla nich program
i ruszyli w odwrotnym kierunku
do naszego, z tym, że w
swoim programie, zamiast Ne-
palu, mieli Birmę.

Z pokoju, na którego
drzewach wisiał czarny krzyż,
dobywała się pieśń kościelna
w jednym z języków indone-
zyjskich. Pokój ten zajmowali
tubylicy-protestanci. Syn gospo-
darzy (gospodarze mieszkali w
innym domu), ten który upodo-
bał sobie Birmę Niemki, był
katolikiem. Z małżeństwem z
Gdańska umawiałem się na
safari w Tanzanii za rok. Na
południowej półkuli łatwo nam
było zatrzeć granicę pomiędzy
żartem a możliwościami.

Panieważ nie miałem nie lepszego do roboty" — zwrót, który wszyscy magnaci polscy nieustannie mieli na ustach — poszedłem około dziewiętej godziny do księcia Adama, który wymienił zgromadzonemu u siebie towarzystwo moje nazwisko, a następnie przedstawił mi wszystkich obecnych. Byli tam: jego przyjaciel wieloletni biskup warmiński Krasicki, pisarz wielki koronny Rzewuski, którego widziałem w Petersburgu, przyjaciel zmarłej niedawno na ospę Langlade; wojewoda wileński Oginski; generał Ronikier i jeszcze dwu panów, których przytłaczających nazwisk nie mogłem zapamiętać. Ostatnią osobą jaką mi wymienił, była żona księcia, która wydała mi się bardzo miła. W kilka minut potem wszedł urodziwy kawaler, na którego widok wszyscy z miejsc powstali. Książę Adam wymówił moje nazwisko, po czym zwrócił się do mnie i rzekł zimno: „To król”.

SPOTKANIE Z KRÓLEM

Ten zwyczaj zapraszania zwykłego cudzoziemca razem z władcą nie miał w sobie naprawdę nieomiłającego, albowiem majestat monarchy nie występował w ośniewającym blasku, niemniej było to dla mnie niespodzianką i zauważyłem, że zbyt wielką prostotą równie może wyprowadzić z równowagi, jak nadmierna wspaniałość. Myśl, że książę mógłby się bawić moim kosztem, odsunął z miejsca. Postąpiłem dwa kroki naprzód i gdy miałem już ugiąć kolano, jego królewska mość podał mi z ujmującym wdziękiem rękę do ucałowania. Gdy chciał mnie zagadnąć, podał mi książę Adam list pastora anglikańskiego, którego również znał bardzo dobrze. Król począł czytać stojąc; następnie wypytywał mnie dokładnie o carową i o najwybitniejsze osobistości na dworze; interesowały go widocznie niepomniernie detale, których mógł się ode mnie dowiedzieć, a których mu nie skąpiłem.

Gdy podano do stołu, król nie przerywając rozmowy udał się ze mną do sali jadalnej i wskazał mi miejsce po swej prawej ręce. Jedli wszyscy, wyjąwszy króla, który — jak się zdaje — nie miał apetytu, i mnie, któremu ani w głowie było jedzenie, nawet gdybym nie był przepędził czterech godzin przy stole u księcia Sułkowskiego. Albowiem schlebiała mi uwaga, z jaką całe towarzystwo śledziło moje słowa. Po kolacji czynił król uwagi nad wszystkim, co mówiłem, kładąc w każde moje słowo szczególny wdział. Zresztą jego królewska mość wyrażał się w najwytworniejszy sposób, ale zupełnie niewyszukanie. Na pożegnanie powiedział mi, że będzie mnie zawsze najchętniej widział na swym dworze, a książę Adam oświadczył ze swej strony, iż jeśli pragnie być prezentowany jego ojcu, mam się zgłosić do księcia następnego ranka o jedenastej.

Król polski był średniego wzrostu, ale bardzo pięknej budowy. Oblicze jego nie było piękne, lecz pełne wdzięku, dowcipu i wyrazu. Był nieco krótkowzrostny, a gdy zamilkł, na rysach jego osiadła melancholia; natomiast gdy mówił, ożywiały się i blizczczał elokwencja. Miał również dar zaprawiania rozmowy wykwintnym dowcipem (...).

WYBAWIENIE Z DŁUGÓW

Mimo rozsądnego trybu życia i oszczędności znalazłem się w trzy miesiące po przyjeździe w długach, a niestety, nie mogłem liczyć na żadną pomoc w gotówce. Z Wenecji przysyłano mi miesięcznie pięćdziesiąt dukatów; to nie wystarczało mi jednak, albowiem wydatki na powóz, mieszkanie, służbę i nieodzwonne przyzwyczajenie ubrania zbyt były wysokie. Tak tedy znowu znalazłem się w potrzebie, nie chciałem jednak nikomu odkryć swego położenia. Miałem w tym słuśność, bo człowiek, który znajdując się w potrzebie prosi bogacza o pomoc, traci jego szacunek, gdy wsparcie otrzyma, a zyskuje sobie jego wzgardę, gdy mu tego wsparcia odmówią. Wszelako los starał się o mnie, a nigdy mnie jeszcze nie opuścił (...).

Gdy następnego dnia szlachetny i nieszczyśliwy Stanisław August wychodził z mszy, podał mi rękę do ucałowania i wręczył rulo ze słowami:

— Podziękuj pan tylko Horacemu, a nie mów o tym nikomu. Rulo zawierało dwieście dukatów holenderskich, pośpieszyłem więc posłać swoje długi. Od tego dnia każdego ranka przed rana udawałem się do ubieralni królewskiej, gdzie w czasie trefienia włosów, król chętnie rozmawiał z panami, którzy przychodzili tam wyłącznie po to, aby go zabawić. Nigdy jednak nie było o tym mowy, ażeby czytać Ariosta. Król rozumiał po włosku, za mało wszakże, ażeby mówić, a co dopiero, by móc znaleźć upodobanie w wielkim poecie.

Gdy myślę o tym dobrym władcy, o wysokich zaletach, jakimi był obdarzony, zdaje mi się rzeczą niepodobną do prawdy, iż jako król popełnił tyle błędów. To, że przeżył koniec swej ojczyzny, było może z tych błędów najmniejszym. Skoro nie znalazł przyjaciela, który by mu śmierć zadał, uważam, że powinien był sam się zabić. Wszelako nie trzeba mu było aż szukać przyjaciela, aby mu tę zgubną przysługę wyświadczył; trzeba mu było tylko iść w ślady nieśmiertelnego Kościuszki, a starczyłoby jednego Rosjana, by go wysłać do nieśmiertelności (...).

Mój tryb życia był wzorowy: unikałem miłości i kart i pracowałem dla króla, spodziewając się zostać jego sekretarzem. Księżnej wojewodziny, która lubiła moje towarzystwo, świadczyłem tysiące grzeczności, a z wojewodą grywałem w tre sette.

ZAPROSZENIE DO TEATRU

Czwarty marca jest dniem świętego Kazimierza, a przeto dniem imienin księcia podkomorzego wielkiego, starszego brata królewskiego; z tej to okazji w wileńskim dniu, trzeciego marca, był wielki obiad u dworu, ja zaś miałem zaszczyt otrzymać nań zaproszenie. Po obiedzie zapytał mnie król, czy będę na teatrze. Tego dnia dawano po raz pierwszy polską komedię. Wszyscy interesowali się tym wypadkiem, ja tylko byłem zupełnie obojętny, gdyż nie rozumiałem ani słowa po polsku. Powiedziałem to królowi, on jednak odparł: „Nie nie szkodzi. Przyjdź pan do mojej loży”.

Zaproszenie to zbyt mi pochlebiali, bym miał odmówić. Byłem tedy posłuszny i stanąłem za jego krzesłem. Po drugim akcie dało balet, na którym taniec Włoszki z Piemontu, Casacci, tak przypadł królowi do gustu, że jego królewska mość klaskał w dłonie, co było oznaką osobliwej łaski.

Tancerkę ową znałem tylko z widzenia, bo nigdy z nią nie rozmawiałem. Nie była ona podobawiona zalet. Wyróżniał ją wielbicielom jej hrabia Poninski, u którego czasem jadalem. Za każdym razem wyrzucał mi, że odwiedzam wszystkie tancerki prócz Casacci, u której przecie tak jest przyjemnie. Te okoliczności skłoniły mnie, iż po baletcie opuściłem łóż królewskie, by powinszować Casacci, iż król oddał sprawiedliwość jej talentom. Przechodząc mimo garderobii Binetti ujrzałem drzwi otwarte i zabawiłem tam przez chwilę. Wkrótce potem wszedł hrabia Branicki, ja zaś oddaliśmy się z ukłonem. Po czym udałem się do Casacci, bardzo zdziwionej że odwiedzam ją po raz pierwszy: wyrzucała mi to w najmiłszy sposób, na co odpowiadałem komplementami. Potem, uściskawszy ją, przyrzekłem, że ją odwiedzę.

INCYDENT W GARDEROBIE

W chwili gdy trzymałem ją w objęciu, wszedł Branicki, którego przed kilku minutami zostawiłem w garderobie u jego bogdanki. Jasne było, że szedł za mną. Ale po co? Oczywiście by szukać ze mną zwady, bo nie mógł mnie znieść. Towarzyszył mu podpułkownik Biniński. Skoro się tylko zjawił, podniosłem się, trochę z grzeczności, a trochę dlatego, że i tak chciałem odejść; zatrzymał mnie wszakże mówiąc:

— Jak widzę, wszedłem tu waszmości bardzo nie w porę; widzi mi się, że kochasz tę damę?

— Istotnie, czyli ekscelencja nie znajduje jej czarującą?

— Owszem, jest czarująca ponad wszelką miarę; tolejęj nawet; kocham ją, a nie zwykłem cierpieć rywali.

— Skorom się o tym dowiedział, panie hrabio, nie będę jej już kochał.

— Ustępujesz mi tedy waszmość?

— Z miłą chęcią. Tak dostojnemu panu każdy musi ustąpić.

— To pięknie. Wszakże ten, co drugiemu ustępuje, zda mi się być tchórzem.

— Ta uwaga jest trochę za mocna!

To mówiąc zmierzmy go dumnym wzrokiem i położyłem dłoń na rękojeści szpady. Trzech czy czterech oficerów było świadkami owego zajścia.

Nie uszedłem jeszcze czterech kroków, gdy usłyszałem za sobą wołanie, że jestem weneckim tchórzem. Mimo, że krew uderzyła mi do głowy, opanowałem się i odwróciwszy się rzekłem doń spokojnie i dobitnie, że poza obrębem teatru łatwo może wenecki tchórz położyć trupem walecznego Polaka. Nie czekając odpowiedzi, zszedłem na dół po szerokich schodach, wiodących do głównego wyjścia z teatru (...).

Konieczność otrzymania pełnej satysfakcji nie uległa dla mnie wątpliwości, przemysliwałem zatem, jak ją osiągnąć. Zamierzałem jednak postępować z rozważą, pragnąłem bowiem bronić swego honoru, ale zarazem, ile możliwości, mieć też na oku swój interes, czyli — jak to mówią — trzymać dwie sroki za ogon. W tej myśli udałem się do palacu wojewody Czartoryskiego. Byłem zdecydowany opowiedzieć wszystko królowi i nakłonić go, by zmusił swego faworyta do dania mi satysfakcji. Wojewoda, ujrawszy mnie, jał mi wyrzucić w przyjacielskim tonie, że dałem na siebie czekać, po czym siedliśmy do naszej partii tre sette. Byłem jego partnerem i myślałem się ciągle. Gdyśmy drugą partię rozegrali, spytał mnie:

GIOVANNI GIACOMO CASANOVA

Przemyślenia w Warszawie

Słynny uwodziciel włoski, Giovanni Casanova, wędrując po Europie, odwiedził również Polskę. Przez kilka miesięcy bawił w Warszawie, gdzie 220 lat temu stoczył krwawy pojedynek z Franciszkiem Ksawerym Branickim, łowczym wielkim koronnym, pijakiem i awanturnikiem.

Światowy rozgłos zyskały pamiętniki Casanovy, które w sumie liczą ponad 2400 stron. Prezentujemy z nich mniej znane fragmenty związane z pobytem w Polsce.

— Gdzieś waszmość podziął dziś swoją głowę?

— O cztery mile stąd, ekscelencjo.

— Gdy się z uczciwymi ludźmi gra w tre sette, trzeba mieć głowę przy grze, a nie o cztery mile.

Z tymi słowy rzucił książę karty na stół i począł się przechadzać po sali. Byłem nieco stropiony, opanowałem się wszakże, wstałem i podszedłem do kominka. Według moich kalkulacji król powinien był nadejść lada chwila; odczekawszy jednak pół godziny, zobaczyłem kamerdynera, który przyszedł z wiadomością, że jego królewska mość nie będzie dziś miał przyjemności widzenia się z wojewodą.

Ta wiadomość ukłuła mnie w serce, wszelako nie dałem po sobie poznać doznanej przykrości. Gdy dano do stołu, siadłem na zwykłym miejscu, po lewej ręce wojewody, który się na mnie dąsał. Było nas osiemnastu przy stole, ja zaś, wbrew swemu zwyczajowi, nie nie jadłem. W czasie posiłku przyszedł książę Kasper Lubomirski, generał-lejtnant w służbie rosyjskiej, i siadł przypadkiem u końca stołu, naprzeciw mnie. Skoro mnie tylko zauważył, wyraził głośne swe współczucie z powodu owego zajścia:

— Żal mi waćpana — odezwał się — ale Branicki był pijany, a pijany nie może człowieka honorowego znieważać (...).

POJEDYNEK

Zrzuciłem futro i na wezwanie Branickiego wziąłem pierwszy z brzegu pistolet. Branicki wziął drugi i powiedział, że ręczy swoim honorem za broń, którą wybrałem.

— Spróbuję jej — odparłem — na głowie waszmości.

Zbiadł, rzucił szpadę jednemu ze swych sług i odkrył pierś. Musiałem uczynić to samo, jednakże pożalowałem tego, albowiem szpada była, po oddaniu strzału z pistoletu, jedyną moją bronią. Obnażywszy również pierś, odstąpiłem pięć albo sześć kroków. Podstoli uczynił to samo. Dalej cofnąć nie mogliśmy się.

Gdy ujrzałem, że się zatrzymał i tak jak ja spuścił pistolet ku ziemi, zdjąłem lewą ręką kapelusz z głowy i poprosiłem go, aby uczynił mi ten zaszczyt i strzelił pierwszy. Po czym nakryłem głowę.

Zamiast niezwłocznie zmierzyć się ku mnie i strzelić, stracił podstoli dwie albo trzy sekundy na celowanie, kryjąc głowę poza broń. Nie byłem w możności tak długo czekać, aż on ukończy te wszystkie przygotowania. Podniosłem nagle pistolet i wystrzeliłem w tejże samej chwili, kiedy i on strzelił. Nie może tu być żadnej wątpliwości, bo osoby stojące obok oświadczyły jednoznacznie, że słyszały jeden strzał. Uczniłem, że jestem ranny w lewą dłoń i włożyłem ją do kieszeni; ujrzawszy jednak, iż przeciwnik mój pada, rzuciłem pistolet i pośpieszyłem do niego. Można sobie wystawić moje zdumienie, gdy nagle ujrzałem nad głową trzy nagie klingi. Trzech dobrze urodzonych morderców chciało mnie porąbać na sztuki nad ciałem swego pana, obok którego ukleknę. Na szczęście Branicki nie stracił przytomności ani sił. Krzyknął na nich piorunowym głosem: „Zostawcie tego kawalera w spokoju, hołoto!”.

Zdawało się, że skamieniała na dźwięk tego głosu. Ująłem podstolego prawą ręką pod ramię, a generał potrząsnął go z prawej strony. Tak zaprowadziliśmy go do gospody oddalonej od ogrodu o sto kroków. Branicki siedzi skulony i spoglądał na mnie z uwagą, nie pojmując, skąd się wzięła krew ciekająca po moich spodniach i białych pończochach.

Wszedłszy do gospody, rzucił się Branicki w wielki fotel i wyciągnął się. Rozpięto mu surdut i spodnie i podwinęto w górę koszulę, aż do łożadka. Oglądał swoją ranę i widział, że jest niebezpieczna. Moja kula trafiła go z prawej strony pod siódmym żebrzem i wyszła pod ostatnim dołym żebrzem z lewej. Oba otwory rany były od siebie oddalone o dziesięć cali. Widok to był wielce niepokojący; według wszelkiego prawdopodobieństwa przeszyte były wnętrzności, a człowiek ten był zgubiony. Branicki ożwał się do mnie słabym głosem:

— Zabijeś mnie waćpan. Ratuj się, bo grozi ci śmierć na szafocie. Znajdziesz się w obrebie starostwa, a ja jestem dygnitarzem koronnym i kawalerem Orderu Orła Białego. Nie trać czasu, uciekaj, a jeżeli nie masz pod dostatkiem pieniędzy, weź moją sakiewkę!

Ciężka jego kiesa spadła na ziemię; podniosłem ją, włożyłem z powrotem do jego kieszeni, podkolekwałem mu i rzekłem, że nie mi po sakiewce, bo jeśli bym był winny, postradałbym życie, które bym natychmiast złożył u stóp króla.

— Mam nadzieję — ciągnąłem dalej — że rana pana hrabięgo nie jest śmiertelna, i jestem w rozpacz, że wielmożny pan mnie zmusił, bym mu ją zadał.

Po czym ucałowałem go w czoło i wyszedłem z gospody. Na dworze nie spostrzegłem jednak ani powozu, ani koni, ani służby.

Wszyscy puścili się w dalszą drogę po lekarza, chirurga i księdzę, a także z wiadomością do krewnych i przyjaciół rannego. Byłem sam jeden, bez szpady, na zaśniętym polu; byłem ranny i nie wiedziałem, w którą stronę się udać, by dostać się z powrotem do Warszawy. Poszedłem na los szczęścia i spotkałem chłopca z pustymi saniami. Krzyknąłem doń: „Warszawa!” i pokazałem mu dukata. Zrozumiał tę mowę; podniósł grubą rogóżę i nakrył mnie nią, gdy tylko wyciągnąłem się w sianach. Po czym polską modą puściliśmy się galopem.

W kwadrans potem ujrzałem najlepszego przyjaciela Branickiego, Binińskiego, który z gołą szablą leciał galopem. Widocznie szukał mnie. Na szczęście nędzne moje sianie nie wzbudziło w nim podejrzenia; gdyby był spojrzął w bok, byłby dostrzegł moją głowę, a nie wątpię, że byłby ją ściął jak trzcinę. Zajeżdżając do Warszawy, kazałem się wieść do palacu księcia Adama Czartoryskiego, by go prosić o schronienie, nie znalazłem wszakże nikogo. Nie tracąc ani sekundy postanowiłem schronić się do pobliskiego klasztoru reformatorów.

U bramy klasztornej zadzwoniłem. Furtan, człowiek nieużyty, otworzył drzwi; ujrzawszy mnie oblanego krwią, odgadł przyczynę mego przyścia i chciał szybko bramę zatrzasknąć. Ja jednak byłem zważszy od niego i nie dałem mu na to czasu. Kopnąłem go tak silnie, że się przewrócił i wszedłem do środka. Na jego krzyk zbiegło się mnóstwo wystraszonych mnichów; zawołalem, że żądam schronienia, i zagroziłem im na wypadek, gdyby mi go odmówili. Jeden przemówił w ich imieniu, po czym zaprowadzono mnie do malej celi, która wyglądała jak więzienie. Pozwalałem bez protestu robić wszystko z sobą, w tym głębokim przekonaniu, że w krótkim czasie zmienią swe mniemanie. Zajądłem posiłki, który by sprowadził moich służących; gdy moi ludzie nadeszli, wysłałem ich po Campioniego i chirurga.

ODWIEDZINY MAGNATÓW

Nim ich sprowadzono, zaamonsował swe przybycie wojewoda podolski. Nigdy nie miałem zaszczytu z nim rozmawiać; wszelako za młodych lat miał on pojedynkę, teraz zaś, poznawszy zajmujące detale mego spotkania, przystał z okazji, by mi zaraz opowiedzieć o swoim. W chwilę później zjawił się wojewoda kaliski, książę Jabłonowski i Sanguszko i wojewoda wileński Oginski. Wszyscy oni oburzali się na mnichów, którzy obesłali się ze mną jak z galernikami. Biedacy wymawiali się tym, że poturbowałem im furtianą. Magnaci śmiali się z tego, tylko mnie nie było do śmiechu, bo rana biała mnie bardzo. Mnisi ofiarowali mi natychmiast dwa najlepsze pokoje.

Kula weszła powyżej wskazującego palca, strzaskała jego nasadę i utkwiała w dion. Guzik metalowy kamizelki osłabił się kuł, prócz tego drasnęła mnie lekko w brzuch, w okolicy pępka.

Trzeba było teraz wydobyć kulę, która dokuczała mi bardzo. Chirurg nazwiskiem Gendron, pierwszy, jaki się nawinął, po przeciwległej stronie zrobił mi otwór, tak że teraz miałem podwojną ranę. Podczas tej bolesnej operacji opowiadałem całemu towarzystwu przebieg pojedynku, zaciskając zęby z bólu, który sprawiał niezręczny chirurg, grzebiąc mi w ciele kieszczeni, by znaleźć kulę. Jakże silnie działa próżność na cielesne i duchowe siły człowieka! Gdybym był sam, byłbym na pewno zemdlał.

Gdy Gendron odszedł, przybył chirurg wojewody ruskiego i zastał się raną, upewniając mnie, że tamtego byłby przepędził, i że ja bowiem paracz i nie należę do cehu. W tejże chwili wszedł książę Lubomirski, zięć wojewody ruskiego; wprowadził nas wszystkich w zdumienie, opowiadając, co zdarzyło się bezpośrednio po moim pojedynku. Biniński przybył na Wołę i zobaczył ranę przyjaciela. Nie widząc mnie, skoczył na koń, przysiągł, że mnie zabije, skoro tylko mnie napotka, pognął jak szalony. Ponieważ przypuszczał, iż jestem u Tomatisa, udał się do niego. Zastał go w towarzystwie jego kochanki oraz księcia Lubomirskiego i hrabiego Moszyńskiego. Ponieważ mnie tam nie znalazł, spytał, gdzie jestem, a gdy mu Tomatis rzekł, że nie wie, wypalił z pistoletu, mierząc w jego głowę. Widząc ten skrytobójczy zamach, hrabia Moszyński chciał go wyrzucić przez okno, szaleniec wyrwał mu się jednak, zadawszy trzy ciosy szablą, z których jeden przeciął policzek i wyrbił mu trzy zęby (...).

Następnego dnia goście odwiedzali mnie gromadnie, a równocześnie nadeszły kłasy pełne złota od magnatów z partii wrogiej hrabiemu Branickiemu. Oddawcy tych trzosew oświadczyli mi z polecenia swych panów i pań, którzy je posyłał, że jako cudzoziemiec potrzebuję zapewne pieniędzy i w tym przypuszczeniu pozwalają sobie posłać mi nieco gotówki. Podziękowałem i odeślałem pieniądze z powrotem. Tym sposobem odesłałem przynajmniej cztery tysiące dukatów, pyszniąc się ze swego postępku. Campioni znalazł heroizm mój śmieszny i miał słuśność, bo później żałowałem tego. Jedynym darem, który przyjąłem, było dobre jedzenie na cztery osoby, które książę Adam Czartoryski przysłał mi regularnie każdego dnia, chociaż nie nie jadłem, bo mój eskulap, który prochu nie wynalazł, był wielkim zwolennikiem kuracji głodowej.

GROŹBA AMPUTACJI

Moja rana na brzuchu goła się szczęśliwie. Jednakże czwartego dnia groziła mojej ręce gangrena, a chirurgzy byli zdania, że wyzdrowienie bez amputacji jest niemożliwe. Ten wynik ich fachowej rady wyczytałem następnego ranka w dworskiej gazecie. Dziennik ten drukowano w nocy, otrzymawszy poprzednio aprobatę króla wyrażoną podpisem na manuskrypcie. Ponieważ nie zgadzałem się wcale z opinią moich żeńników, śmiałem się serdecznie z ich ignorancji, a przed południem śmiałem się w nos wszystkim, którzy wyrażali mi swoje współczucie. Dworowałem sobie, gdy hrabia Clary chciał mnie przekonać, że powinienem zgodzić się na operację (...).

Przyszli lekarze w liczbie czterech. Uznano, że moje ramię jest dwa razy grubsze niż normalne i że posiniało już do łokcia; gdy wyzdrowienie bez amputacji jest niemożliwe. Ten wynik ich fachowej rady wyczytałem następnego ranka w dworskiej gazecie. Dziennik ten drukowano w nocy, otrzymawszy poprzednio aprobatę króla wyrażoną podpisem na manuskrypcie. Ponieważ nie zgadzałem się wcale z opinią moich żeńników, śmiałem się serdecznie z ich ignorancji, a przed południem śmiałem się w nos wszystkim, którzy wyrażali mi swoje współczucie. Dworowałem sobie, gdy hrabia Clary chciał mnie przekonać, że powinienem zgodzić się na operację (...).

Przyszli lekarze w liczbie czterech. Uznano, że moje ramię jest dwa razy grubsze niż normalne i że posiniało już do łokcia; gdy wyzdrowienie bez amputacji jest niemożliwe. Ten wynik ich fachowej rady wyczytałem następnego ranka w dworskiej gazecie. Dziennik ten drukowano w nocy, otrzymawszy poprzednio aprobatę króla wyrażoną podpisem na manuskrypcie. Ponieważ nie zgadzałem się wcale z opinią moich żeńników, śmiałem się serdecznie z ich ignorancji, a przed południem śmiałem się w nos wszystkim, którzy wyrażali mi swoje współczucie. Dworowałem sobie, gdy hrabia Clary chciał mnie przekonać, że powinienem zgodzić się na operację (...).

Nie chcę bliżej wchodzić w szczegóły, mimo że dalszy przebieg wypadków dosyć jest interesujący. Jednakże czytelnik winien mi będzie wdzięczność, jeśli mu nie więcej nie powiem ponad to, że pewien chirurg francuski, przebywający w domu księcia Sułkowskiego, na przekór swym uczonym kolegom pielęgnował mnie według mego życzenia i wyleczył mnie tak, iż nie tylko zachowałem ramię, ale i dłoń.

W dzień Wielkiejnocy udałem się na mszę z ręką na temblaku. Leczenie moje trwało tylko dwadzieścia pięć dni, ale dopiero po osiemnastu miesiącach mogłem znowu prawidłowo używać lewej ręki.

C.D.N.

Z książki „Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców”. (Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji).

Potrzeba odwagi

1. No i mamy już mistrza świata w piłce nożnej. No i mamy już Mundial '86 z głowy. Mogę się teraz przyznać, że liczyłam na Argentynę. Ale w meczu finałowym z RFN lekko się przestraszyłam, gdy drużyna niemiecka wyrównała na 2:2. Wydawało się, że precyzyjna niemiecka maszyna do gry w piłkę nożną pokona radosny futbol z Południowej Ameryki. Jednak nie zawiodłam się na Argentynie. Grał z fantazją, szybko, sprawnie. Byli lepsi od Niemców i wygrali. W Argentynie cieszą się z tego pewnie do dziś. Trudno im się dziwić.

W RFN nie powojnił się jednak smutek. Wicemistrzostwo — to też duża rzecz. Tym bardziej, że drużyna RFN nie grała od początku zachwycająco. Oskarżano piłkarzy RFN, że dopelzili do finiszu. Może to przesada, ale faktem jest, że choć nie bliznęli na Mundialu '86, to przecież do finału dotarli, wyeliminowali Meksyk i w końcu zostali wicemistrzami świata. Też pięknie.

2. Zawiedli mnie Belgowie. Liczyłam, że zajmą przynajmniej trzecie miejsce, a oni grali ospale, ciężko, bez fantazji, bez polotu, jakby bez celu. Oglądając ten mecz miałam często wrażenie, że oglądam trochę lepszy mecz ligowy, że trzecie miejsce Belgów nie interesuje, że wcale im na wygraniu tego meczu nie zależy. Co się stało? Czyżby zmęczenie turniejem? Ciężkim, prawdziwym, ale przecież na takie trudy trzeba było się przygotować. Zawiedli i rozczarowali mnie Belgowie.

Jestem natomiast pełna uznania dla Henri Michela, który czwarte miejsce miał już w kieszeni, ale postanowił zaryzykować. Do stracenia miał niewiele, do zyskania trzecie miejsce. Aby to osiągnąć trzeba było wyrzucić z drużyny starszych zawodników, którzy już zdobyli wszystko i którym nie udała się walka o finał. Nie zawahał się więc usunąć z drużyny Michela Platini i sześciu jego kolegów. Młodzi piłkarze — słusznie jak się okazało rozumowali — nie mają nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Mają szansę pokazać się na Mundialu '86. I pokazali się z dobrej strony. Zdobyli trzecie miejsce, co przecież w światowym futbolu powinno się też liczyć. Henri Michel miał odwagę zaryzykować.

3. W Mundialu '86 nie popisał się polscy piłkarze i nie popisał się polscy sprawozdawcy telewizyjni. Czegoś takiego jeszcze nie było. Nie myślę tylko o fatalnych pomyłkach. Najpierw Wojciech Zieliński nie widzi strzelenego gola przez radzieckiego piłkarza, a później Dariusz Szpakowski myli żółte i czerwone kartki, rozdał je nie tym, co trzeba i nie wtedy, kiedy faktycznie dostali.

Wojciech Zieliński przynajmniej dostrzegł swój błąd i wcale śladnie go sprostował, przepaszając „z marszu” telewizorów. Dariusza Szpakowskiego musiano zmuszać do tego z Warszawy. Głupio się później tłumaczył, że to upał w Monterrey tak na niego podziałał. Jak się czegoś nie potrafi, nie umie, to lepiej nie zasłaniać się siłami przyrody.

Z żalem wspominam nieodżałowanej pamięci Jana Ciszewskiego, na którym sama wieszam psy, ale który przecież umiał wzbogacić obraz swoim komentarzem. Słuchałam też kilku sprawozdań radiowych z Meksyku i muszę powiedzieć, że byli o kilka klas lepsze. Rozumiem, że sprawozdawca radiowy musi opowiedzieć radiosłuchaczowi to, czego ten nie widzi, musi słowami zbudować dla niego obraz. Sprawozdawca telewizyjny tego nie musi. Ale obraz telewizyjny nie może usprawiedliwić braku kompetencji. Jak się nie ma nic do powiedzenia, to się na ogół opowiada o tym, co i tak wszyscy widzą. A przecież komentator telewizyjny musi wyjść poza obraz, uzupełnić go informacjami, których na obrazie nie ma, a które są niezbędne dla pełniejszego zrozumienia dziejącego się widowiska. Poza wszystkim ma to być komentarz, a nie opowiadanie kto ma piłkę i do kogo podaje. Stanowczo nie popisał się nasi komentatorzy telewizyjni.

A już poza wszystkim kierownictwo TVP powinno naszym sprawozdawcom telewizyjnym kupić służbowe zegarki i nauczyć ich posługiwania się nimi podczas sprawozdań. Gdy zegar z tablicy świetlnej zepsuł się, Andrzej Zydorowicz zrobił się bezradny i nie potrafił powiedzieć, ile już minut meczu upłynęło. A nie łaska spojrzeć na własny zegarek, który powinien chodzić znakomicie? Sprawozdawca powinien przecież i taką ewentualność przewidzieć. Po to jest na stadionie, aby być pomocnym dla telewizzka oddalonego od stadionu o tysiące kilometrów i zdanego tylko na obiektyw kamery.

4. W Algierii bardzo poważnie i surowo potraktowano mundialowe występy narodowej reprezentacji. Stwierdzono publicznie, że „piłkarze zaprezentowali się fatalnie nie tylko pod względem sportowym, lecz także moralnym i etycznym”. Trener Rabah Saadane został zwolniony, a wszyscy piłkarze, którzy byli w Meksyku zawieszani i nie mogą aż do odwołania występować w narodowej reprezentacji.

5. Dzienniki podały, że wielu piłkarzy, którzy grali na Mundialu '86 albo już ma kontrakty w zagranicznych klubach podpisane, albo podpisze je w najbliższym czasie. Z naszej drużyny takie możliwości mają Włodzimierz Smolarek i Roman Wojcicki — obaj z RTS Widzew. Należy im się to.

6. Piękny dowcip udał się Barbarze W., która słuchając rozmowy przy stole o grze Polaków, zdziwiła się, że strzelili tylko jednego gola. — Jak to — powiedziała — sama widziałam w telewizji, jak raz strzelił pan Smolarek, a raz pan Repley. Więc były dwa gole.

7. Odnoszę wrażenie, że Antoni Piechniczek oszukuje sam siebie. Oto w wywiadzie dla „Expressu Wieczornego” powiedział między innymi:

„Występ w Meksyku na pewno nie był zbyt efektowny, ale jednocześnie reprezentacja nie poniosła jakiegokolwiek klęski. Przypomnę, że plan minimum zakładał wyjście z grupy i osiągnięliśmy to. I naprawdę nie tylko dzięki zwycięstwu Maroka nad Portugalią. Przecież my jednak sami zdobyliśmy te 3 punkty...”

Jak pisał w ostatnim dniu Mundialu '86 Ryszard Dyrja Polska zajęła ostatecznie 14 miejsce. Polacy strzelili tylko jedną bramkę. Antoni Piechniczek zasłania się tym, że odpadli też inni, jak ZSRR, Dania, Anglia, Włochy. Owszem, odpadli, ale po jakiej grze. Po co oszukiwać, przede wszystkim siebie? Potrzeba odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Antoni Piechniczek nie potrafi tego zrobić. Na Okęciu zaatakował niektórych dziennikarzy, odmaiwając im prawa pisania o... piłce nożnej.

8. Dziś całą winę zwała się na ligę. Mam jednak dobrą pamięć. Otóż przed laty lansowano taką tezę: Anglia ma znakomitą ligę i fatalną reprezentację. Polska ma fatalną ligę i znakomitą reprezentację. Rzeczywistość dziś pokazała, że jest to teza fałszywa ze wszech miar. Ligę złą mamy nie od dziś. Mielśmy ligę złą, mamy gorszą, a jak się nie radykalnie nie zmienić, to będziemy mieli jeszcze gorszą.

Liga jest zła dlatego, że system szkolenia jest zły. U nas uczy się grać w sposób kunktorowski, defensywny, uczy się bronić wyniku, temisu, kalkulować, co nam się opłaci. Z taką — pożałuj się Boże — taktyką i umiejętnością pojechaliśmy do Meksyku. Skutki widzi każdy. Panowie, otrząśnijcie się i spojrzcie prawdzie w oczy!

9. Włodzimierz Smolarek o szkoleniu: — „...u nas wszyscy trenują jednakowo. Napastnicy razem z obrońcami. Nie prowadzi się oddzielnego szkolenia dla piłkarzy mających strzelać bramki i w Polsce nie ma kto tego robić”.

10. Wypowiedział się też prezes PZPN — Edward Brzostowski. Potwierdził, że polska ekipa osiągnęła „plan minimum” — to znaczy wyjście z grupy. Można było założyć jeszcze mniejszy plan minimum — pojechać do Meksyku, a tam już wcale nie grać. Też byłby sukces. Tylko, czy o to chodzi? Kiedyś lansowano tezę, że na Olimpiadzie trzeba być, to już wiele, wyniki tam uzyskane mają jakby mniejsze znaczenie albo żadne. Ale to również fałszywa teza.

Daniel Passent i KTT wyrażali w „Polityce” pogląd, że zupełnie bez sensu oczekiwaliśmy sukcesu od piłkarzy. Ten sukces miał nas leczyć z kompleksów. Ale nie można oczekiwać sukcesu od piłkarzy, skoro również w innych dziedzinach naszego życia nie ma sukcesów. Polska piłka nożna jest taka jak wszystko — nijaka. To prawda, ale wcale z tego nie wynika, że nie mamy dążyć do przezwyciężania nijakości, średniości, braku ambicji, braku umiejętności, bezmyślności. Trzeba stawiać sobie i innym wyższe wymagania. Kryzys nie mógł ominąć sportu, ale z tego nie wynika wcale usprawiedliwienie dla piłki nożnej. W końcu można wymagać od 22 młodych mężczyzn, żeby posiadli przynajmniej — takie umiejętności, jakie mają inni i aby nie plasowali się na 14 miejscu. Co innego przecież mieć pretensje o to, że popełnili błąd w grze z tą czy inną drużyną, a co innego, że zostali źle przygotowani do Mundialu '86.

Prezes Edward Brzostowski twierdzi, że „tak dobrego przygotowania do startu w mistrzostwach jeszcze w historii polskiej piłki nie było. Zrobiono prawie wszystko, co było możliwe, aby przygotować drużynę i zapewnić jej dobre warunki w Monterrey...”. A więc mimo kryzysu można było zdobyć się na wysiłek, aby zrobić wszystko, co było możliwe. Nie mogę jednak zgodzić się z prezesem PZPN, że to było dobre przygotowanie. Ocena powinna być wyniki, a nie nakłady. Być może poniesiono duże nakłady, ale przygotowywano drużynę nie do Mundialu, nie tę drużynę, co trzeba było, nie do takiego poziomu i tak dalej. Jak można mówić o dobrym przygotowaniu, skoro drużyna zajmuje 14 miejsce i strzela tylko jedną jedyną bramkę? Przypomnę, że w Argentynie za czasów Jacka Gmocha przynajmniej tłumaczono się, że Polska zajęła od 6 do 8 miejsca. Było to też naciąganie „ideologii” do faktów, ale klęska nie była tak wielka. Polacy nie zaprezentowali w Meksyku nic godnego uwagi. Jak więc można mówić o dobrym przygotowaniu?

Zresztą prezes Edward Brzostowski sam sobie przeczy, bo po pochwalę przygotowań powiada, jakby nigdy nic, że polskie piłkarstwo „stało w miejscu”. Następnie dodaje: „Teraz trzeba po prostu grać inaczej, dynamiczniej, nowocześniej”. Czy tego nie wiedzieliśmy wcześniej? Przecież już mecze kontrolne polskiej reprezentacji pokazywały, że Polacy grają źle. Jak więc można, przecząc faktom, mówić o dobrym przygotowaniu? Czyż znów brakuje odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy?

11. Dariusz Dziekanowski na Okęciu powiedział dziennikarzowi „Expressu Wieczornego”: — „Nie był to na pewno zbyt udany występ, ale chyba na tyle było nas stać. Teraz marzę tylko o odpoczynku, przede wszystkim psychicznym”.

Czym się tak Dariusz Dziekanowski zmęczył w tym Meksyku?

Ryszard Niemiec napisał w korespondencji z Meksyku dla krakowskiego „Tempa”: „Dziekanowski, grający wszędzie w polską i nie wierzący w swój talent, egzekutora, unikający strzałów z dystansu, w dodatku czujący się świetnie po odpadnięciu z turnieju (radosny uśmiechek z czoła twarzy nie zniknął do momentu opuszczenia hotelu „Ca mino Real” w Guadajajarze). Podzielał jego wesołość z powodu konieczności pożegnania się z wielbicielkami jego filmowej urody, ale jest mi smutno, bo Darek nie objawiał stosownej gorzoty z powodu pożegnania się ze sceną wielkiej piłki”. Mnie też smutno.

BOGDA MADEJ

1

Mózg i pieniądze

Dowiedziałem się z „Expressu Ilustrowanego”, że posiadam w Łodzi małe o geniusza. Małego nie pod względem jakości, ale wieku. Łukasz P. ma bowiem 11 lat i zdał do liceum ogólnokształcącego. Ośmioklasową szkołę podstawową ukończył w cztery lata. Jak dobrze pójdzie, to szkołę średnią też ukończy w krótszym czasie i pójdzie na studia. Zna pięć języków obcych. Wykazuje wybitne uzdolnienia zarówno w przedmiotach ścisłych, jak i humanistycznych. Zbiera znaczki i monety, pływa i gra w piłkę nożną. Jak inne dzieci. Nie jest więc małym staruszkim, przemądrzałym, wykazującym wybitne uzdolnienia tylko w jednym kierunku. Jest po prostu wybitnie uzdolnionym chłopcem. Zmartwienie polega teraz na tym, że dorośli, którzy są odpowiedzialni za wykorzystanie tych wybitnych zdolności, aby nie błądnieły i zgasiły, ale aby zostały tak ukształtowane, że genialny chłopiec stanie się genialnym dorosłym mężczyzną, nie bardzo wiedząc, co ma robić.

Przeczytałem informację własną „Expressu Ilustrowanego” i zadumałem się. Czy inni chłopcy chcieliby być tak zdolni jak zdolny jest Łukasz P.? Czy chłopiec ten stanie się, czy może się stać dla nich przykładem godnym naśladowania? Bo przecież zdolności — to jedno, a praca, doskonałość tych zdolności, ich wykorzystanie — to drugie. Więc, czy zechcą być tak pracowici, aby też móc imponować swoją wiedzą?

Rozmyślałem nad tym i tak się złożyło, że znalazłem się przed Grand Hotelem na ulicy Piotrkowskiej. Jest to hotel z klasą, zatrzymują się tu zagraniczni goście, a przed hotelem stoją samochody różnych zagranicznych marek z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi. Właśnie stał jakiś mikrobuz z RFN i mały blondynek w różowej koszulce pieczołowicie czyścił szyby i wszystko inne, co czyścił tylko się dało. Pod ścianą stał drugi bardzo młody człowiek i czekał swojej kolejki, aby czyszczeniem samochodu zarobić sobie kilka... Chciałem napisać groszy, a przecież on zarabiał w ten sposób nawet nie złotych, tylko marki, dolary, korony, funty, franki.

Hotele gromadzą ludzi, którzy szukają różnych sposobów zarabiania walut wymienialnych. Można powiedzieć, że jest to swoisty system usług. Panienci świadczą usługi seksualne za dolary na ogół, cinkciarze umożliwiają wymianę pieniędzy na cgoł z korzyścią dla siebie, mali chłopcy myją szyby zagranicznych samochodów też za drobne sumy w walutach wymienialnych. Takich chłopców zdążyło się już mi widzieć nie tylko przed hotelami, ale i na stacjach benzynowych, na których zatrzymują się zagraniczne samochody.

Komu chłopcy bardziej zadowolą? Łukaszowi P., który wykazał niecodzienne zdolności, czy przedsiębiorcom młodzieńcom, którzy kupują coś do mycia i biorą kawał szmatki i zarabiają wymienialne pieniądze? Jaki wzór bardziej się u nas może przyjąć?

Niecodzienne zdolności nie zdarzają się często, ale są przecież chłopcy i dziewczęta, którzy dobrze się uczą. Czy oni są przykładem, wzorem dla innych? Czy młodzież chce być uczonymi w przyszłości, czy sportowcami, emerytami z dużą

emeryturą, właścicielami sklepów prywatnych, badylarzami? Jakie wzory są powszechne? Co bardziej się opłaca: dobrze się uczyć, czy myć cudzoziemcom auta pod hotelami? A przecież ci chłopcy nie myją tych aut z nędzy. Powodem jest kult dolara i w ogóle każdej innej waluty wymienialnej.

Mój znajomy cudzoziemiec był niedawno na wiejskim weselu pod Łowiczem. — Wesela trwało cztery dni — opowiadał mi z niejakim zdziwieniem — ale musiałem wcześniej wyjechać. Było 150 osób. Zabito trzy świniaki i jedno cielę. Grała orkiestra. Musiano wydać ogromne pieniądze i wy mówicie, że u was jest kryzys.

Kiwnąłem niezdecydowanie głową.

— A ja byłem niedawno w Afryce — ciągnął mój znajomy cudzoziemiec. — Tam nie ma kryzysu. Ale na każdej stacji można zobaczyć gromady dzieci głodnych, które proszą o kawałek chleba. One ten chleb natychmiast zjadają.

Nic nie powiedziałem, choć zrobiło mi się głupio.

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Więc już wiem, jaki wzór jest najbardziej powszechny. Niestety!!!

ZENON POROWATY

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Żeby takie wesela urządzać, trzeba mieć pieniądze i to najlepiej w walutach wymienialnych. I na inne rzeczy też. Na przykład, żeby kupić kolorowy telewizor, magnetowid, komputer osobisty czy urządzenie tylko dobrze mieszkanie. Czy takie pieniądze może zarobić najbardziej uzdolniony młody człowiek? Czy muszę na to pytanie odpowiadać?

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(7)

— Ile trzeba ci czasu na zebranie tych aktorów? Chciałbym ich mieć możliwie szybko.

— To kupa ludzi, Brian, spory zespół teatralny — zauważył Ethonov z pobręknącym w słuchawce namysłem. — Po-czekaj. Jest teraz godzina dwię-tu wieczorem. Przynajmniej tu, w Nowym Jorku. Jeżeli nie żal ci forsę na trzynaście biletów lotniczych, możesz mieć to stadko u siebie pojutrze rano. No i dojdą koszty ekstra. Muszę być elastyczny przy ustalaniu gaży, rozumiesz.

Brian wyraził zrozumienie i przystąpił do omawiania kwestii finansowych. Było to cztery dni temu.

Hy Ethonov dotrzymał słowa i spisał się doskonale. Przysłał przez niego aktorzy nawet bez charakterystyki robili wrażenie osób, których role mieli zagrać. Na przeciwieństwo tych ról Brian dał im półtorę doby. Zarezerwował dla nich jedno piętro w hotelu — tanim, ale wyposażonym w wysokie lustro, i podczas gdy Hugh i Kuhn pilnowali interesów firmy, on krążył od pokoju do pokoju, przyglądał się próbom członków swojego zespołu i pouczał, instruował i poprawiał. Pod wieczór zarządził do Twiggie, dziewczyny o urodzie drapieżnej, ulubionej przez sadomasochistów. Oprócz przewiewnej, rozkloszowanej bluzki do pasa, za przyodziewek służyły jej wyzywające kuse i obcisłe szorty, bezwzględnie białe podkolanówki i srebrne pantofelki na słupkowym obcasie. Miała niezłą figurę.

— Jak wyglądam? — zapytała patrząc na jego odbicie w lustrze.

— Jak dziwka — odparł z niesmakiem.

Odwrociła się do niego zdziwiona.

— Chyba o to panu chodziło, panie Bliss?

— Niezupełnie, panno Twiggie. Chodziło mi o dziewczę, która udaje, że nie jest dziwka.

— Może więc ładna sukienka marengo z białym kołnierzykiem i włosy zaczesane gładko do tyłu, ściągnięte gumką?

— Nie dręcz mnie, Twiggie — jęknął Brian. Podszedł do łóżka i usiadł na nim ciężko. — Dopiero teraz widzę, ile roboty przyjdzie w to włożyć, żeby was wszystkich ustawić należycie.

Twiggie wsparła dlonie o biodra.

— Zapewniam pana, że dam sobie radę. Coś na próbę? Niech to będzie na przykład podejrzliwy facet, zakuty purytań, typ farmera z Nebraski.

— Nie, do takiego cię nie pośle. Każę ci się zamknąć i wynosić do diabła, zanim otworzysz geby.

— No to może starsza pani, wdowa, podupadła arystokratka. Postanawia wyjechać na stałe do swojej siostry, ale nie ma pieniędzy. Dom, w którym mieszka, to jedyny jej kapitał, wiąże ją z nim wspomnienia i chciałaby go oddać w dobre ręce. Dziewka udająca, że nie jest dziwka, chociaż dziewczkarstwo bije od niej na mle, nie będzie miała z taką łatwego zadania, no nie?

— To również nie jest klient dla ciebie, Twiggie.

— Więc co jest dla mnie?

Brian opadł plecami na poduszkę.

— W porządku — powiedział. — Masz przed sobą chciwą babę bez skrupułów. Waha się ze sprzedażą swojej posesji, bo te katastroficznie niskie ceny wolała o pomstę do nieba. Jest przerażona, że spadną jeszcze niżej, ale jest też uparta jak mół i przekonana, że przed jej późniejszą ustrzelą jelenia, z którego zdrze skórę.

Z twarzy Briana Twiggie przeniosła spojrzenie na ścianę nad jego głową i zlustrowała ją zaciekawiona.

— Śliczny dom — stwierdziła.

Brian dzwignął się na łokciach.

— Pani w sprawie kupna? — spytał.

— O, dzień dobry. Jestem

Twiggie. Tak, w sprawie kupna. Czy to pani jest właścicielką, pani... pani.

— To ja, pani Toad. T.O.A.-D. Niestety...

Dziewczyna parsknęła cichym śmiechem. Brian zmarszczył czoło.

— Co jest, do licha? Czy człowiek nie może nazywać się Toad? Zaprzępaścisła wspaniałą okazję.

— Przepraszam, panie Bliss. — Końcami palców Twiggie ujęła fałdy wymaginowanej spodniczki dygając z wdziękiem.

— No, dalej — powiedział Brian. — Niestety, ten dom został już sprzedany.

— Ach tak, szkoda. Widocznie ktoś zapomniiał usunąć tę tabliczkę z furtki. Przepraszam panią, pani Toad.

— Tak prawdę mówiąc, to jeszcze nie zapadła ostateczna decyzja. Jest wielu chętnych na tę posesję i ciągle trwają pertraktacje.

— Ach tak, ja jestem w podobnej sytuacji. To znaczy prowadzę pertraktacje.

— Pani?

— Chcę kupić dom. Tamten, widzi pani? — wznieśliście ramie Twiggie wskazywało wypaczone drzewczki ściennej szafy. Wskazywało tak sugestynie, że Brian mimo woli spojrział na te drzewczki. — Tamten z oliwkową fasadą.

— Dom Robinsonów?

— Tak, zdaje się, że ci państwo to Robinsonowie.

— Robinsonowie sprzedają dom?

— Właściwie tośmy się już ugodzili na dziesięć tysięcy...

Brian przerwał jej machnięciem ręki i usiadł na łóżku.

— Nie! — powiedział.

Przesadnym gestem Twiggie przytknęła dłoń do ust i cisnęła kolana z udaną trwogą.

— Dziesięć tysięcy to za dużo?

— Nie to — warknął Brian. — Ile i za co, ustali się doraźnie.

Ale mówiąca nowojorskim akcentem otrząskana dziwka nie może używać żargonu jakiegoś ćwoka z Poludnia. „Właściwie tośmy się już ugodzili!” i skończ wreszcie z tą zgryźliwą panienką z watołną w kroczu. Masz być lekkomyślna, ale nie głupia.

— Przepraszam, panie Bliss — Twiggie odetchnęła głośno i powróciła do swojej roli.

Właściwie zaakceptowała już cenę. Oni chcą dziesięć tysięcy za wszystko, zabierając tylko meble. Ale postanowili przedtem rozejrzeć się po okolicy i trafili tutaj. — Znowu zlustrowała ciekawie ścianę. — Pani dom jest naprawdę śliczny, rozciąga nieokreśloną aurę intymności... Tamten jednak ma korzystniejsze położenie, wygodniejszy podjazd i... no, nie widziałam pani domu od wewnątrz, ale tamten ma chyba bardziej przestronne pokoje, czy tak?

— Wystarczy — Brian klepnął się po udzie. — Na tym powinnaś poprzestać, zrobić wymowną pauzę i dać jej czas do namysłu. Resztę grymasów zostaw sobie na potem. Ona będzie miała do wyboru dwie możliwości: albo zaprosi cię do środka, albo zatrząśnie ci drzwi przed nosem. Jeśli wybierze pierwszą, to poślę ją do ciebie, Twiggie.

— Pojdziesz do państwa Robinsonów i odstawisz ten sam numer. Zasugeruję im, że pertraktują z panią Toad.

Brian wysunął do przodu głowę i unosząc brwi zatopił wzrok w oczach dziewczyny. — Pojdziesz, jesteś, Twiggie. Bystra.

— Kiedyś miałam sposobność podpatrzeć, jak robią to mistrzowie.

Po swoim występie straciła do siebie zaufanie. Będą mogli zapewniać się wzajemnie ile wlezie, że naplotłaś im wierutnych łgarstw, że żadne z nich nie zamierza sprzedawać czegośkolwiek i opuszczać tego rozkosznego zakątka raju. Nic tu nie pomoże. Stana się ostrzeźniejsi, zaczną mówić ogólnie i słuchać sceptycznie. I będą czujnie węszyć, żeby się nie

dać uprzedzić sasiadom. Wtedy do akcji wkroczy ktoś inny z naszego zespołu. — Nadal patrząc na dziewczynę Brian klepnął dla odmiany kapę okrywającą łóżko. — Usiądź tu przy mnie, Twiggie.

Teraz Twiggie uniosła brwi i zatopiła wzrok w jego oczach. Znowu parsknęła cichym śmiechem.

— Cemu nie? — powiedziała. — Przecież jestem dziewczką. Ale żeby w przyszłości nie było nieporozumień, panie Bliss...

— Brian.

— ... pan mnie wynajął jako aktorkę, z gażą czterystu siedemdziesięciu pięciu dolarów dziennie plus zwrot kosztów utrzymania, na podstawie umowy, która ściśle określa prawa i obowiązki pańskie i moje i nie przewiduje świadczenia... hm, ubocznych usług. A ponieważ w te kloki nie jestem gorsza od wysokiej klasy call-girl, zapłaci mi pan tyle, co wysokiej klasy call-girl, czyli stówę. Dodatkowo. Fakt, że się z panem ewentualnie prześpię, niczego w naszej umowie nie zmienia. Ani mnie, ani panu nie będą przysługiwać z tego tytułu żadne ulgi, żadne przywileje. Czy wyrażam się dostatecznie jasno, panie Bliss?

— Jesteś rzeczywiście wyrażająca się jasno, Twiggie.

— Cieszę się, że spełniam pańskie wymagania.

— A ja mam nadzieję, że bodaj jedno z was, ten Paul, który przypadkiem nosi nazwisko owiane legendą i bardzo stosowne...

— Sacco.

— ... ten Paul Sacco nie przejmie się tak swoją rolą gangstera i jutro nie obudzi się z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Przyjmujesz cześć?

— Przyjmuję.

Więc Brian wydołał książeczkę czekową. Było to dwa dni temu.

Paul Sacco zachowywał maniery dyplomaty, uczył się byskawicznie, polecenia wypełniał sumiennie i w lot chwytł cudze intencje — w czym przypominał gangstera; był także uczuciowy, delikatny i cierpliwy na transwestytyzm — co różniło go od gangstera. Nie poderżnął Brianowi gardła, zatelefonował

natomiast do niego z Florydy i oznajmił, że większość członków zespołu dotarła już do Coral Gables (każdy osobno i na własną rękę) i rozlokowała się w hotelu „Muszla Pacyfiku”, tak jak zostało to ustalone.

— Dla pana wynajęłam pokój obok pokoju Twiggie — powiedział.

Brian pobłogosławił w duchu jego rezolucję. Było to dzień i pół godziny temu.

Opasły Boeing wśród pomruku silników wydał odgłos niemych leżących na podłożu przy młodym tłustym mężczyźnie wertującym kieszonkowe wydanie książki pod dwuwierszowym tytułem. Ustęp, którego treści szukał, roił się od sapnieć, szlochów i szmatczyńnych westchnień. Brian wyjrzał przez okno i zobaczył, jak ziemia zapada się pod nim w dół i jak z jego pola widzenia nikną ostatnie splachy lotniska. Potem głosnik pozwolił rozpaść pasy i włączono telewizor pod stropem kabiny.

— „O-o-aachch-aachch!” — szamotała bohaterka książki czytanej przez tłuszciano — „O-o-ouch... o-o-ouch... mmmhaachchch!-chaach!-chaachchch!” — przypuszczalnie wijąc się w pościeli. Szampowem westerem zakończył się triumfalnym akordem i miejsce walecznego dowódcy konnicy zajął na ekranie komik parodiujący ograne dowódcy Roba Hope'a. Ubrana w strój dający pięćdziesięciu siedmiu pasażerom przedsmak widoków czekających na nich na przybrzeżnych promenadach stewardesa roznosiła kanapki, słodycze i napoje. Było to pół godziny temu.

Teraz Brian obracając w palcach szklankę z resztką soku pomarańczowego parzył w okno, zawieszony nad pojedynczymi kłódkami strzępiastych, białych, rzadko rozsiągniętych obłoków i oczyma wyobraźni widział tysiące akrobów ziemi skupionej od uciekinierów z Florydy i na nowo poparcelowanej, której był właścicielem. Widział również tysiące zniechęconych przez jego firmę domków — taniach, ale estetycznych, wygodnych i funkcjonalnych, zespolonych w malownicze kondominia noszące nazwy:

„Różowa Koncha”, „Laguna Korali”, „Molo dla Samotnych”, „Pienista Bryza”. „Słoneczny Taras” — kondominia, które kiedyś (któż to przewidział) mogły połączyć się ze sobą i utworzyć odrębną miejscowość znaną jako Threeb's Beach?

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Ostatnie minuty przed uodzieniem „G”.

— Sir.

Maty Eddie stanął w postawie zasadniczej na progu salonu, gdzie jego dziadek, emerytowany pułkownik, siedział na bujaku przed telewizorem i posapując słuchał przemówienia prezydenta. Oboj — to znaczy dziadek i prezydent — byli zdenerwowani i napięci. Dziadek, oprócz tego, że posapował, zaciskał pięści, aż zbiełała mu skóra na kłykciach i po ciemniatym brzoświe plamy na dłoniach, a prezydent mówił drżącym głosem i często się mylił, chociaż tekst przemówienia odczytywał z kartki. Zapewniał, że jest przerażony i do głębi wstrząśnięty jakąś koszmarną awarią i nawoływał społeczeństwo amerykańskie do zachowania spokoju.

— Sir — powtórzył maty Eddie. — Kapral Dowd melduje wykonanie rozkazu.

— Zaczekaj, Eddie — wysapał pułkownik wpatrzony w prezydenta, coraz bardziej zdenerwowany i napięty. — Zaczekaj...

Bo to jest, do piekiel nędzy, sensacja na skalę światową, wydarzenie, na które czekał długi czas. Ta „koszmarna awaria”, ta pomyłka „podczas ćwiczebnych zrywań systemów komputerowego sterowania rakietami międzykontynentalnymi” może zmienić oblicze polityczne Europy albo i całej naszej planety, może wszystkich socjalistów, komunistów i anarchistów odesłać tam, skąd przybyli — do piekiła. Tylko dlatego ten dający się Kreniowi wodzić na pasku dureń apeluje o zachowanie spokoju?

Prezydent skończył przemawiać i zastąpił go brzmienie trochę historycznie głos sprawozdawcy. Maty Eddie przystąpił z nogi na nogę.

Nieprzepisowo wykreślił głowę, by zobaczyć, co dzieje się na ekranie telewizyjnym. Pokazywany krajobraz i rozmieszczone w równych odstępach kratery betonowych silosów pozabawione elementów maskujących, w których głębi pogardliwie zadzierali w górę swoje tępe nosy pociski balistyczne — nieruchome, spoczywające w zupełnej ciszy przerywanej jedynie świstem wiatru i słowami komentatora. Głos sprawozdawcy to wznosił się, to opadał, a po ekranie sunęły fragmenty anonimowej bazy wojskowej — jej zabudowania, drogi, dojazdowe, ciężki sprzęt i wyposażenie techniczne. Wreszcie kamera zatrzymała się na reflektorze parabolicznym anteny radiolokacyjnej. Przysłunięta do ziemi, rozłożysta i żurawia, wyglądała jak przewrócony szkielet konstrukcyjny muszli koncertowej. W jego środku tkwiła przypominająca bulawę głowicę wymierzona w niebo i zasłuchana w elektromagnetyczną mowę satelity rozpoznawczego, który bezzeleśnie zmierzał kosmiczną pustką. Antena ta wobec małych i ruchliwych anten zainstalowanych tu i ówdzie, na dachach budynków i pojazdów, mogła wchodzić za wyłęgającą się w stońcu samiec, obojętną na figle swoich dzieci, baczną jednak na każdy ruch w otoczeniu dostępnym jej zmysłom.

— Sir — odezwał się Eddie przybierając na powrót postawę zasadniczą. — Kapral...

— Zaczekaj, Eddie — wysapał znowu pułkownik Dowd skupiony w bujaku przed telewizorem.

Eddie? Zwyczajnie Eddie? No, dziadek najwyraźniej zapomniat o regułach gry, do

licha, albo co. Gotów jest jeszcze popsuć całą zabawę oglądając ten film o „nieporozumieniu nuklearnym”, chyba wojenny, bo ktoś tam gada o „poważnym konflikcie zbrojnym”, bardzo dziwny film, jakby to było naprawdę. Oho... a teraz wstaje z bujaka i podchodzi do barku i... Oj! Wyjmując butelkę whisky, chociaż wujek Norman ma nas odwiedzić dopiero jutro... Butelkę whisky i szklankę i nalewa okropnie dużo tej whisky... Coś takiego! Przecież dziadek nie pije alkoholu, nawet wina, nawet piwa nie pije, mówi, że od alkoholu w mózgu robią się dzmury i męcząca migrena jak suchar w połowie latryny, a już picie na służbie jest wręcz niedopuszczalne, bo osłabia morale. No, coś takiego!

Na dwie, może na trzy sekundy ażurowa paraboliczna antena zasłoniła przekrzywioną planszę od miszery reklamująca tanie, nowoczesne i precyzyjne rentgenometry do użytku cywilnego, po czym inna kamera zjechała do wnętrza tej bazy wojskowej. W podziemnym i niskim pomieszczeniu, pod słabym światłem jarzendeł, ubrani w polowe mundury pracowali dyżurni przy stacji radiolokacyjnej. Siedzieli w dwóch rzędach, zwróceni do siebie tyłem, śledząc promienie wirujące po ekranach radarów lub obsługujące koncówki komputerowe. Ich głowy tułyły w objęciach drucianych kłeszczyk słuchawek, z których wyprasały się ramię mikrofonów przesyłających informacje podawane monotonnie przez dyżurnych komus, kto rozstrzygał o sprawach ostatecznych. Panował tu nieustanny ruch — ożywiony, ale planowy, a komentarz sprawozdawcy naszpikowany był sformułowaniami: „radiolokatory”, „kontrola obszarów powietrznych” i „pełna gotowość”. Bojąc się, że z komentarza tego urońi jakieś ważne słowo, pułkownik Dowd ze szklanką whisky wrócił na bujak, zrzęgnął z ręki szklankę, którą znajdował się aż w kuchni. Zagarnął tylko leżące na stole do gry w karty pudełko cygar i w ten sposób kategorycznie wyraził posłuszeństwo doktorowi Tessarze w stopniu majora.

Ale to, do piekiel nędzy, nie jest pora na myślenie o własnym zdrowiu. Teraz ważą się losy świata, całej ziemskiej cywilizacji. To jest moment przełomowy. Ludzkość czekała na niego przez dwa i pół tysiąca lat, od czasów antycznej Grecji, żeby demokracja rozkwitła w każdym zakątku naszej planety. Więc niech ten dureń przestanie męczyć o zachowaniu spokoju i uprzytomni sobie, że w kierunku Ameryki lecą rakiet strategiczne. Okay, to byśmy zaczęli, ale czy ta awaria systemów komputerowych to nie był palec boży? I skąd on ma pewność, że po uruchomieniu gorącej linii i po naszych uczuciach i rzetelnych wyjaśnieniach, tamci również uczucie i rzetelnie podali wszystkie dane o zastosowanych środkach odwrętojących, że nie pominieli taktycznym mierzaniem drugiego uderzenia, które spadnie na nas zniechęca, kiedy będziemy ufinie zajęci niszczeniem rakiet podpruwających nam przez nich chętrze? A co się stanie, jeśli nie uda nam się jakiegś zniszczyć? Bo to jest wysoce prawdopodobne, że się nie uda i część z nich przeniknie naszą zaporę i gruchnie w wyspie Manhattan, w półwyspie Floryda, w miasto Chicago, w stan Kalifornia, Teksas, Wyoming, Minnesota, Luizjana, jak grad posypie się na Wschodnie Wybrzeże...

C.D.N.



Rys. Janusz Szymański-Glanc